

TEODOR FILIPOWICZ

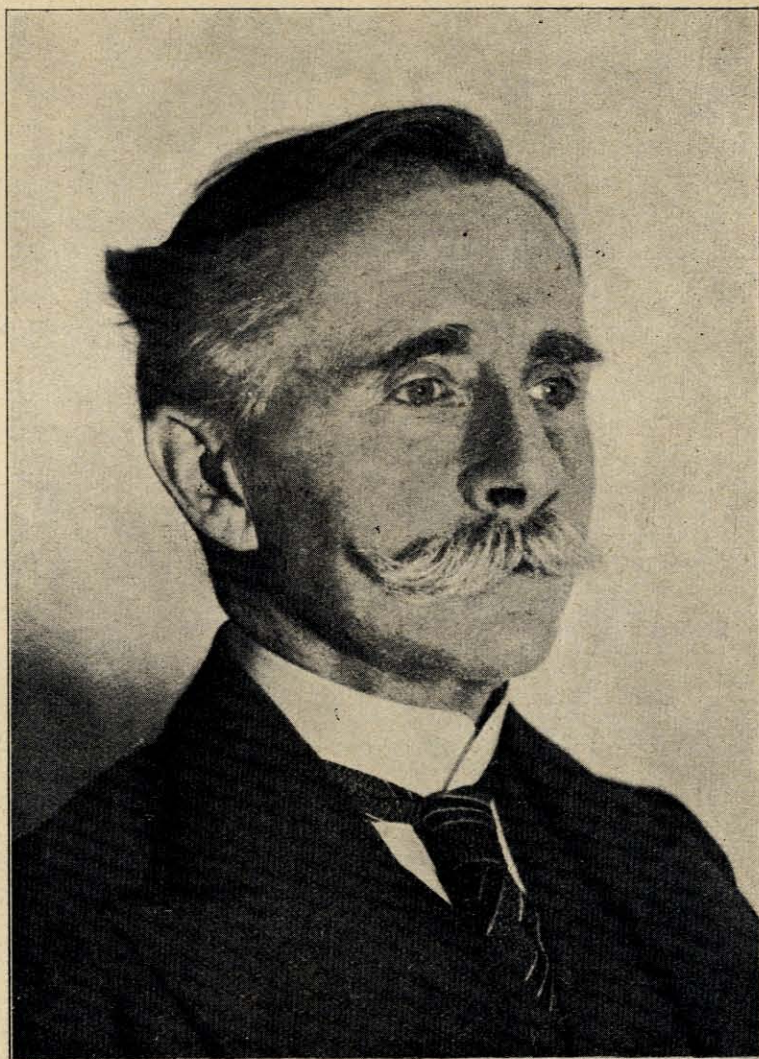
MOJE WSPOMNIENIA

(1860-1932)

POZNAŃ, 1933

SKŁAD GŁÓWNY: KSIĘGARNIA J. DİPPLA W POZNANIU
PLAC WOLNOŚCI 11.

MOJE WSPOMNIENIA
(1860 — 1932)



T. Filipowicz

TEODOR FILIPOWICZ

MOJE WSPOMNIENIA

(1860-1932)

POZNAŃ, 1933

SKŁAD GŁÓWNY: KSIĘGARNIA J. DİPPLA W POZNANIU
PLAC WOLNOŚCI 11.



166889

NAKŁADEM AUTORA

ODBITO W Drukarni Polskiej
Spółce Akcyjnej
w Poznaniu, Św. Marcina 70.



1950 d 529

D-253/84

TREŚĆ:

PRZEDMOWA DRA ANDRZEJA WOJTKOWSKIEGO

str.
XI

I. SZKOŁA POWSZECHNA, GIMNAZJUM UNI- WERSYTET

1—21

W Lesznie 1 — Zatargi z żydami 1 — W gimnazjum poznańskim 2 — Moja stancja na wyspie tumskiej 3 — Profesorowie Polacy 3 — Profesorowie Niemcy 4 — 5 profesorów kończy w domu oblakanych 5 — Koledzy gimnazjalni i samobójstwa uczniów 6 — Wycieczki szkolne 7 — Walka o śpiew polski w kościele gimnazjalnym 8 — Uniknięcie deklamacji w rocznicę urodzin cesarskich 9 — Tajne kółko samokształceniowe 9 — Najwybitniejsi koledzy 10 — Jan Kasprówicz 10 — Moje korepetycje 11 — Brak podniety duchowej 13 — W domach ziemiańskich w czasie wakacji 14 — Władysław Grabski z Kurcewa, Zofja Sokolnicka 14 — Siodło Karola Marcinkowskiego 14 — Epizod z „walki kulturalnej” 15 — Nauka rzadkiego siewu 15 — Martwota duchowa w dworach szlacheckich 16 — Pobyt w Krakowie i czytanie „Ogniem i mieczem” 1884 r. 16 — Hilary Retz umożliwia mi udanie się na studia uniwersyteckie 17 — Zamiłowanie do językoznawstwa 17 — Wykłady Nehringa we Wrocławiu 18 — Prof. Wojciech Jarochoński, przyjaciel młodzieży polskiej we Wrocławiu 18 — Życie koleżeńskie 18 — Praca w „Tow. Literacko-Słowiańskim” 18 — „Kółko filozoficzne” 19 — Praca wakacyjna nad słownictwem w „Zawołaniach i klejnotach” Helcla 19 — Uznanie Nehringa 19 — Pożegnanie Nehringa 20 — Polscy artyści dramatyczni we Wrocławiu 20 — Władysław Mierzwiński zachwyca Wrocław śpiewem 21 — Przerwanie studjów i przejście do zawodu kupieckiego 21.

II. ZAWÓD KUPIECKI NA OBCZYŹNIE

22—43

Zapisanie się do „Verein für Handlungscommis” w Hamburgu 22 — Posada wolontariusza w Har-

V

burgu 22 — Jak można wyżyć z pensji miesięcznej w wysokości 40 marek 22 — Zatarg z Niemcami w obronie Francji 23 — Awans na kasjera i wykrycie nadużyć poprzednika 23 — Spotkanie się z Polakami w Hamburgu 24 — Wilja r. 1887 w Hamburgu 24 — Mój szef harburski 24 — Obliczanie zasobów łupka 25 — Rozstanie się z dotychczasowym szefem; nowa posada 25 — Przeniesienie się do Hamburga 25 — Posada w firmie Miulos Breuer & Co. 26 — Handel na ogromną skalę z Ameryką południową 26 — Stopniowe wypieranie wyrobów francuskich i angielskich przez niemieckie 26 — Egzamin z języków obcych 27 — Pierwszy list angielski 27 — Praca biurowa do późnego wieczora 27 — Self-made-man Breuer; z chłopca posyłkowego multimilionera 28 — W domu szefa 30 — Udzielenie mu lekcji o Polsce 32 — Stosunek szefa do urzędników firmy 32 — Zaufanie szefa do mnie 33 — Możliwości dorobienia się w oddziałach amerykańskich firmy 33 — Firma buduje okręty 34 — Wizyta rodaków z Kongresówki 35 — Założenie własnego przedsiębiorstwa wysyłkowego 35 — Założenie domu komisyjnego pod własną firmą 35 — Typy kupców hamburskich 36 — Galerja Schultego 36 — Patrycjat hamburski 37 — Sympatje angielskie Hamburga i ich koniec 38 — Ciasne horyzonty młodzieży kupieckiej w Hamburgu 39 — Giełda hamburska 40 — Przeludnienie miasta 40 — Wybuch cholery 1892 roku 41 — Nieporządki w szpitalach 41 — Doświadczenia handlowe z Kongresówką 41 — Założenie własnego sklepu kolonialnego 43 — Wątrobianki czempińskie w Hamburgu 43.

III. PRACA SPOŁECZNA WŚRÓD POLAKÓW W HAMBURGU I WYJAZDY DO KRAJU

Tow. „Nadzieja” w Hamburgu 44 — Intrygi 46 — Niechęć robotników do inteligentów 46 — Tow. „Kłosy” 47 — Bójki na kije w „Nadziei” 48 — Wznowienie tow. „Kłosy” 49 — „Tow. św. Stanisława biskupa” w Wilhelmsburgu 49 — Starania o księdza polskiego dla Hamburga 50 — Tarcia z dwoma księżmi, przybyłymi z Małopolski 51 — Założenie towarzystwa rękodzielniczego katolicko-polskiego 51 — Walka o uposażenie księdza polskiego 52 — Założenie związku towarzystw polskich w Hamburgu 52 — Niesnaski w nowym związku na tle religijnem i narodowem 53 — Jeszcze sprawa uposażenia księdza polskiego 54 — Tow. polskie socjalistyczne w Altonie 55 — Ksiądz Niemiec wzywa Polaków do jedności z Niemcami 56 — Pierwsze kobiety w „Kłosach” 56 — Gwiazdki dla ubogich dzieci polskich 57

— Zachęcanie dzieci do uczenia się po polsku 57 — Obchody i zabawy 57 — Czesi w Hamburgu 59 — Przedstawienie amatorskie w „Kłosach” 59 — Młodzież z Kongresówki w Hamburgu na czele 60 — Koncerty polskie w Hamburgu 61 — Próba założenia polskiego banku ludowego 62 — Chybiona próba eksportowania obuwia polskiego 62 — Wykład o eksporcie polskim we Lwowie 63 — w Warszawie 64 — w Poznaniu 65 — Referat o przeniesieniu szkoły w Batignolle do Parany 65 — Zabiegi około założenia Związku Towarzystw Przemysłowych 65 — Rozstanie się z firmą hamburską 66.

IV. HANDEL ZBOŻEM W POZNANIU. PRACA SPOŁECZNA

Potęga żydów poznańskich 67 — Zależność rzemieślników polskich od nich 67 — Walka żydów ze zbożowcami, bankami i blawatnikami polskimi 68 — Kupcy wielkopolscy na Pomorzu i na Śląsku 68 — Żydzi z Rzeszy pomagają kupcom polskim do usamodzielnienia się 69 — Hasło „swój do swego” 69 — Odwet hakatystów 69 — Niemcy za utrzymaniem charakteru rolniczego Wielkopolski 70 — Początki przemysłu polskiego 70 — Założenie spółki zbożowej z H. Retzem i A. Rekowskim 71 — Pierwsze kupno jęczmienia 72 — Trudności kredytowe 73 — Żydzi jako dostawcy ziemian wielkopolskich 74 — Etyka handlowa ziemian 75 — Etyka handlarzy żydowskich 77 — Ziemiaństwo wobec innych warstw społecznych 78 — Import herbaty („Fu-Kien”) 79 — Korporacja kupców chrześcijańskich 79 — Obojętność jej członków 79 — Żywotność Tow. Młodych Przemysłowców 80 — Praca w Związku Towarzystw Przemysłowych 80 — Zasługi prezesa Czypickiego 81 — Przyczyny usterek w działalności Związku 81 — Wystawy przemysłowe 82 — Walka przeciw udziałowi Polaków w wystawie przemysłowej 1911 r. 83 — Tygodnik „Przemysłowiec” i jego redaktorowie 84 — Trudności w redagowaniu „Przemysłowca” 85 — Związek pod moim kierownictwem 86 — Roman Szymański 88 — Praca narodowa kobiet 89 — Wzmoczenie się kredytu polskiego 89 — Walka o ziemię 90 — Marcin Biedermann 91 — Tygodnik jego „Praca” 91 — Karol Rzepecki i jego „Czarna Księga” 91.

V. SPÓŁKA STOLARSKA, DOM PRZEMYSŁOWY. DALSZY CIĄG PRACY SPOŁECZNEJ

Stolarze i kupcy w Spółce Stolarskiej 93 — Początek silniejszego rozwoju Spółki 93 — Kierownicy Spółki 94 — Potęga Spółki w końcu 1918 r. 94 — Założenie fabryki mebli 1919 r. w Poznaniu 94 — Fa-

bryka mebli w Patoce 95 — Przejęcie fabryki mebli w Kościanie 96 — Fabryki pracują z deficytem 96 — Jubileusz pracy mojej w Spółce 97 — Późniejsze napaści na mnie 98 — Próby ze stylem zakopiańskim w Wielkopolsce 99 — Meblarstwo niemieckie 100 — Wyzyskiwanie stolarzy swarzędzkich 100 — Kalkulacja stolarzy polskich 101 — Potęga żydów w meblarstwie niemieckim 101 — Powojenne meblarstwo wielkopolskie i pomorskie 101 — „Dom Przemysłowy” w Poznaniu 102 — „Grand Café Restaurant” 102 — Spółki parcelacyjne 103 — Popieranie Tow. Naukowej Pomocy i Tow. Muzealnego 104 — Badanie ksiąg handlowych „Rolnika” w Kamieniu 104 — Objęcie kuratorjum nad Tow. Uczniów Handlowych 105 — Władze szykanują Towarzystwo 106 — Zebrania i wycieczki Tow. 106 — Wykład ks. Kłosa 108 — Wykłady z historii handlu polskiego w „Tow. Wykładów Ludowych” 109 — „Rada Narodowa” i „Skorowidz” firm polskich 110 — Pomoc ulomnym dzieciom szkolnym („Znicz”) 110 — Zaznajomienie się z zabawkarstwem małopolskim 110 — Udział w jubileuszu H. Sienkiewicza 111 — Praca „Sokoła” 114 — Wydział Ekonomiczny Korporacji Kupców Chrześcijańskich 115 — Daremna próba uratowania Ignatowicza 115 — Założenie Banku Handlowego w Poznaniu 116 — Związek Fabrykantów 117 — Związek Towarzystw Kupieckich 117 — „Hurtownia Tekstilia” 117 — Bursa rzemieślnicza 118.

VI. BANK PRZEMYSŁOWCÓW I FINANSOWANE PRZEZEŃ PRZEDSIĘBIORSTWA 119—141

Wpływ mój na losy Banku 119 — W r. 1919 Bank wywozi nadmiar pieniędzy do Warszawy 120 — Uzależnienie finansowe Poznania od Warszawy 120 — Nabywanie kamienie, fabryk i placówek handlowych od żydów po wypędzeniu Niemców 120 — Ucisk fiskalny od 1924 r. 121 — Nowe oddziały Banku w Polsce, Niemczech, Francji i Holandji 122 — Zajęcia uboczne dyrektorów 122 — Zakładanie spółek akcyjnych przez Bank 123 — Banki i społeczeństwo, oprowadzanie manją zakładania towarzystw akcyjnych i handlowania akcjami 123 — Lekkomysłne inwestycje i brak doświadczenia 125 — Możliwość łatwego dorobku 126 — Dyktatura bankowców w zakresie akcji i kredytów 126 — Odepchnięcie rad nadzorczych od wpływu 127 — Zamiar nabycia Ćmielowa 127 — Oddziały Banku w Westfalji 128 — Troska o polskość dzieci wychodźców westfalskich 128 — Oddział Banku w Berlinie 129 — Oddziały w Gdańsku i w Bydgoszczy 129 — Rozmach Bajońskiego i Szaflika 130 — Bank Przemysłowców na Śląsku 130 — Plan wiel-

kiego koncernu meblowego 131 — Angażowanie się w browarach, młynach i fabryce likierów Kantorowicza 131 — Walka o cysterny 132 — Jak Bank wyszedł na mydło bydgoskiem 133 — „Kerament Polski” 133 — Fabryka wapna w Piechcinie 134 — Czekolada „Hanka” 135 — Udaremniona próba Banku Związku Spółek Zarobkowych wchłonięcia Banku Przemysłowców 136 — Niebezpieczna rewizja w „Wagonie” ostrowskim 136 — Jak rada nadzorcza Banku pracowała i ucztowała 137 — Współpraca z „Kupcem” 137 — Tartaki i młyny w Dębienku 138 — Smutny koniec udziału Banku w Dębienku 139 — „Przędza” w Stęszewie 139 — Hurtownia drzewa „Wisła” w Bydgoszczy 139 — Import kawy i herbaty 140 — Żegluga morska 141.

VII. PRZEDSIĘBIORSTWA MNIEJ LUB CAŁKIEM NIEZALEŻNE OD BANKU PRZEMYSŁOWCÓW 142—158

Hurtownia Skór i Centrala Skór 142 — Rząd pruski w r. 1914 zachęca rzemieślników do jednoczenia się 142 — Założenie Hurtowni z pomocą ks. Stanisława Adamskiego i Cyryla Ratajskiego 142 — Utworzenie Urzędu Rozdzielczego 1919 r. 143 — Walka Koblinera z Hurtownią 143 — Opanowanie handlu skórą niegarbowanymi 144 — Hurtownia szkła 145 — Fabryka bielizny 147 — Przyczyny niepowodzeń przedsiębiorstw przemysłowych 147 — Niefachowość dyrektorów 148 — Praca moja w towarzystwach gimnazjalnych i akademickich 149 — Zamknięcie Tow. Literacko-Słowiańskiego we Wrocławiu 150 — Spis organizacji, w których pracowałem 150 — Kandydatura moja do sejmu polskiego 153 — Rozumowanie posłów chłopskich 153 — Wykład o stosunkach gospodarczych w Wielkopolsce i na Pomorzu wobec sędziów małopolskich 154 — Próba opanowania handlu drzewem, udaremniona przez Jewelowskiego 155 — Komisje ulgowe kredytowe dla rzemiosła 155 — Starania o tani węgiel dla Wielkopolski 156 — „Aero” 156 — Księgowość w Kurjerze Poznańskim 157 — Zamiar założenia hotelu w Krynicy 157 — „Len”, „Przędza” i inne efemerydy 157.

VIII. PRÓBY PIÓRA I PODRÓŻE 159—174

Artykuły w „Kurjerze Poznańskim”, „Dzienniku Poznańskim” i „Słowie Polskim” 159 — Oddźwięk wśród młodzieży akademickiej 160 — Sposób pisania niniejszych „Wspomnień” 160 — Moje wiersze 161 — Artykuły jubileuszowe 161 — Odczyt o eksporcie polskim 161 — Podróże do wód 162 — W Zakopanem 162 — Artykuł o Wojciechu Brzedzie 162 — Poznanie młodej Polski literackiej 162 — Kapiel Jana

Kasprowicza i żyda w Dunaju 163 — U Stanisława Witkiewicza 163 — Polacy w Kissingen około 1810 r. 163 — Na Obchodzie Grunwaldzkim w Krakowie 164 — Poznanie wsi śląskiej (Skrońsk) 165 — Drewniane kościoły na Śląsku 165 — W Truskawcu 166 — Pożar „Oil city” w Boryslawiu 166 — Wycieczka do Urycza 166 — Lekceważenie kupców polskich przez ziemianstwo 167 — „Krytyka” krakowska o szlachcie i urzędnikach w Małopolsce 168 — Powody lekceważenia kupców 169 — Z Kongresówką łatwiejsze porozumienie 170 — Skażenie języka 170 — Walka z żargonem adwokackim 171 — Zdobyć prawa obywatelskiego dla „wytwórni” 171 — Nad morzem 172 — Tadeusz Miciński kapie się w Połudzie 127 — Ile razy tonąłem w morzu? 172 — Zalety Połogi 172 — Administracja niedołężna 173 — Wrogi nastrój Litwinów i Łotyszów 173 — Spotkanie z robotnikami polskimi w Meklemburgji 174 — Podróże w Niemczech 174 — Szwajcaria 174.

IX. MOI SPÓŁCZEŚNI 175—181

Jarogniew Drwęski i przygotowania do przewrotu 1918 r. 175 — Walka z przewagą żydowską w podatkowej komisji szacunkowej 175 — Stefan Cegielski i niewyzyskanie jego wielkich zdolności 176 — Idealny marszałek sejmikowy 176 — Stanisław Kłobukowski we Lwowie 176 — Entuzjasta czarnej soi i herwamaty 177 — Wiktor Ungar 177 — Franciszek Piekosiński i panie w Zakopanem 177 — Tadeusz Korzon i Stefan Żeromski 178 — Kasprowicz wyręcza Przybyszewskiego 178 — Walka wyznawców Słowackiego z wyznawcami Mickiewicza 178 — Stanisław Brzozowski mówi 178 — Henryk Sienkiewicz wraca z Afryki 178 — Pies rozumiejący po polsku i po niemiecku 179 — Banaszak dyryguje podwójną pruską orkiestrą wojskową 179 — Zasługi Józefa Kuzała 179 — Zygmunt Światopełk-Słupski 179 — Poznanie Smólskiego 180 — Dyplomy uznania od Izby Rzemieślniczej, Izby Przemysłowo-Handlowej, Korporacji Kupców Chrześcijańskich i Tow. Uczniów Handlowych 180 — Złoty krzyż zasługi 181 — Przepowiednia mojego profesora 181.

DODATKI 182—187

Podobizny dyplomów uznania 182 — O konkursowej sztuczce ludowej Anny Karwatowej z muzyką Bolesława Dębińskiego 187 — List szefa z Hamburga 187.

SKOROWIDZ NAZWISK I NAZW MIEJSCOWOŚCI 189—195

PRZEDMOWA

Pamiętnikarstwo polskie, mimo sprzyjających ze wszech miar warunków, rozwija się po ostatniej wojnie słabo. A przecież generacja, której działalność zawodowa i narodowa przypadła na okres najciekawszy w nowszych dziejach naszych, na okres najintensywniejszej walki narodowościowej polsko-niemieckiej, na okres wielkiej wojny i odbudowania państwa polskiego, ma do powiedzenia z pamięci i z korespondencji swojej wiele rzeczy, których przyszły dziejopis ich epoki nie znajdzie w żadnych innych źródłach historycznych. Próby nakłonienia owej generacji do spisywania wspomnień są prawie zawsze bezskuteczne. W najlepszym razie zdobędą się zachęcenia na jeden lub kilka artykułików. Na opisanie całego życia swojego nie mają odwagi. Boją się pisanja, komponowania i ogłaszania drukiem grubych książek, w których z konieczności musieliby mówić o sobie, o swoich pracach, zasługach i niepowodzeniach i wydawać sądy, niekiedy ujemne, o swoich współczesnych.

Trudną też rzeczą było nakłonić autora niniejszej książki do podjęcia się takiej pracy, bynajmniej nie łatwej, wymagającej żywego poczucia odpowiedzialności za wygłaszane sądy i opinie. A jednak wytrwale namowy i utawiczne interesowanie się postępami pracy miały w tym wypadku bardzo pomyślny skutek w postaci „Wspomnień”, które autor oddaje w ręce publiczności.

Są to wspomnienia kupca i działacza patriotycznego, przedstawiciela warstwy mieszczańskiej, tej warstwy, której powstanie w wieku XIX za sprawą Karola Marcinkowskiego uczyniło społeczeństwo wielkopolskie podobnem do społeczeństw zachodnio-europejskich; wspomnienia kupca z akademickiem wykształceniem — filologicznem, nie kupieckiem, które się zdobywa na akademjach handlowych.

Obranie zawodu kupieckiego przez inteligenta mającego za sobą gimnazjum i uniwersytet, wymagało wielkiej odwagi 50 lat temu, w ostatnich dziesięcioleciach wieku XIX. Nietylko w Małopolsce, ale częściowo także w Wielkopolsce, panowały wówczas jeszcze szlacheckie przesady w stosunku do kupiectwa i handlu.

Kto z uniwersytetu szedł do kantoru kupieckiego, ten w oczach społeczeństwa szlacheckiego degradował się społecznie. Wystarczyło w liście kuracyjnej zdrojowisk małopolskich podać swój zawód kupiecki, aby odstraszyć od siebie wszystkich dygnitarzy, mniejszych i większych. Wśród tak nieprzyjaznych nastrojów społeczeństwa trzeba było trwać na posterunku i w sposób łagodny przekonywać niechętnych, że kupiec, a zwłaszcza kupiec wykształcony tak samo jest potrzebny narodowi jak urzędnik.

Typowy Polak, z podkładem romantyzmu w duszy, obdarzony poetycznym raczej, niż praktycznym, na świat spojrzeniem, przecież siłą woli dokonał tego, że go uznali za doskonałego kupca nawet trzeźwi nawskroś magnaci handlu zaoceanicznego w Hamburgu. Subtelne pióro urodzonego artysty autor „Wspomnień” kreśli ich sylwetki i rozmach największego na kontynencie europejskim portu handlowego. Kontrast, jaki w porównaniu z temi stosunkami, zakrojonemi na miarę planetary, stanowią nakreślone w dalszych rozdziałach, stosunki poznańskie, jest wręcz uderzający. Oczarowani cyframi wkładów oszczędnościowych w przedwojennych bankach naszych, nie przeczuwamy nawet rzeczywistej słabości przedwojennego handlu naszego i zależności jego od żywności obcych. W tej mierze wspomnienia niniejsze pouczają nas o stanie rzeczywistym a zarazem i o tem, że opanowanie życia gospodarczego w Wielkopolsce przez żywiol polski zostało umożliwione dopiero przez odbudowanie Polski.

Przedstawienie życia tego w okresie inflacji i następującym po nim okresie deflacji, a zwłaszcza zobrazowaniu psychozy giełdowej i akcyjowej, która w czasie inflacji ogarnęła mieszkańców miast, należy do najciekawszych rozdziałów książki niniejszej. Czytelnik poweźmie zarazem z tych rozdziałów nieco otuchy, dowiadując się, że częściowe załamanie się naszego życia gospodarczego w okresie deflacji zostało spowodowane przyczynami, których usunięcie tylko od nas zależy, mianowicie głównie brakiem fachowego przygotowania u kierowników.

Wziąwszy wszystko to pod uwagę, a nadto dokładne dane o nieznanem zupełnie życiu naszej emigracji zarobkowej w Hamburgu i okolicy, można powiedzieć, że Wspomnienia, które autor przedkłada czytającej publiczności, stanowią ważny materiał historyczny dla przyszłego dziejopisa i ciekawą lekturę dla miłośników najbliższej naszej przeszłości.

Dr. Andrzej Wojtkowski.

MOTTO:

*„Żyć mi, póki chcę i umiem być
pożytecznym swemu społeczeństwu“.*

I.

SZKOŁA POWSZECHNA, GIMNAZJUM, UNIWERSYTET

Urodziłem się w listopadzie 1860 r. W r. 1867 zacząłem naukę w szkole miejskiej w Śremie; od r. 1869 do 1871 chodziłem do szkoły wiejskiej w Szoldrach. Nauczyciel doradził wtedy, by mnie rodzice przenieśli do szkoły miejskiej. Jesienią 1871 odwiozła mnie matka do Leszna, ulokowała w szkole miejskiej i umieściła na pensji u swej siostry Pauliny. Ciotka, żona po młodo zmarłym urzędniku, utrzymywała pięcioro małych dzieci i siebie ze skromnej renty po mężu i z szycia białej bielizny. Cały dzień rozlegał się turkot maszyny, przerywany tylko gotowaniem obiadu. Ciotka była zawsze serjo usposobiona, w domu panował spokój, cisza. O naszym wychowaniu nie miała czasu myśleć. Mieszkanie: nieduży pokój frontowy i alkowa ciemna, w której sypiałem z kuzynem. Cała nasza szóstka kształciła się w szkołach miejskich. Wikt nasz był bardzo skromny. Na wieczerzę podawała ciotka zazwyczaj kęs chleba i szklankę wywaru z cukrowanych łusek kakaowych. Gości nigdy, zabaw żadnych, poza szkołą życie jednostajne. Czasem gra w piłkę gumową, czasem przyglądanie się przy bliskich koszarach ćwiczeniom rekrutów, o ile Polaków, wyzywanych srodcze przez podoficera czy kaprała. Gniewałem się o to zawsze. Drobiazg z owych lat. W Lesznie jest pałac i park po Leszczyńskich; w parku odbywała się nasza gimnastyka. Żydzi wtedy mieszkali wyłącznie w oddzielnej części miasta. Gdy rząd pruski tę oddzielność prawem skasował, zdobyli żydzi swobodę ruchu, a dzieci ży-

dowskie wysyłano odtąd również na gimnastykę do parku Leszczyńskich. Na to nas, chłopców, święte wzięło oburzenie. Nie pozwoliliśmy żydziątkom wejść do parku, zagnaliśmy je z wielkim impetem hen na ich stare śmieci. Na miejscu ściągnął mi nagle stary żyd czapkę z głowy, więc ja z małą czeredką chrześcijańskiej dziatwy na żyda. Oddał niechętnie czapkę.

W niedzielę razporaz wybieraliśmy się pieszo przez lasy rydzynskie do babki naszej, w Rydzynie, 8 kilometrów drogi, jedyne miłe wyprawy.

Kiedym po wakacjach wracał do Leszna, zawsze matka dawała mi 5 trojaków na osobiste wydatki; cóż, kiedy ciotka je zagarniała! Jakaż była radość, gdy raz znalazłem 5 trojaków na ulicy!

Gdym w marcu r. 1875 z chlubą ukończył szkołę w Lesznie, matka zapytała nauczyciela ordynariusza, co ze mną począć. Radził on, bym przeszedł do gimnazjum. Ponieważ dyrektor w Lesznie nie przyjął mnie jako za starego do seksty, nauczyłem się w 6 tygodni pensum seksty w łacinie sam i zdałem egzamin jesienią 1875 r. do kwinty w gimnazjum św. Marji Magdaleny w Poznaniu. Poprzednio od Wielkanocy do św. Michała tegoż roku przebywałem w szkole przygotowawczej Zielkego, w której niczego się nie douczyłem, za co zdobyłem doskonale świadectwo.

W kwincie, pod ordynariuszem drem Bronisławem Cybichowskim, byłem w I. kwartale na 56 uczniów piątym, a w ostatniem półroczu pierwszym uczniem klasy i przy promocji otrzymałem nagrodę: „Sibirien und das Amurgebiet“. Bardzo to ciekawa książka. Co rok otrzymywałem promocję aż do wyższej prymy włącznie. Wskutek zakażenia krwi podczas wakacyj uległem kwartalnej, ciężkiej chorobie, byłem operowany, więc za poradą dyrektora gimnazjum, Meinertsa, przeszedłem do prymy wyższej oddział B, opóźniając tem maturę o pół roku. Był to dla mnie cios moralny.

W kwincie było nas ogółem 56 uczniów, z których tylko Fahle i ja bez przerwy w promocjach dostaliśmy się do prymy wyższej.

Mieszkałem tanio w zamkniętem przez rząd pruski podczas Kulturkampf'u seminarjum duchownem na wyspie tumskiej u kasztelana Adama Pukackiego, pocziwiny, gdy był trzeźwy, warjata, gdy pijany wracał do domu. Wtedy bywałem świadkiem nieznośnych scen z ząną żoną. Jadałem u ks. kanonika Koźmiana obiady. Pozatem mieszkali w olbrzymim tym gmachu księża profesorowie Likowski (późniejszy arcybiskup), Wojciechowski i Pędziński. Zimą pokój mój nie był nigdy opalany. Rano czasem w miednicy była bryła lodu! Myłem się wtedy na podwórzu śniegiem. Pukacki miał dwóch synów, starszego zwano w gimnazjum „Apisem“. Uczył się bardzo kiepsko, okradał matkę, na kwarcie skończył. Starego Pukackiego opisałem w „Przemysłowcu“ w r. 1906 pod tytułem „Adam Wąsik“! Podczas powodzi wiosną w r. 1876 ulokowano zalewem domów dotknięte rodziny chwaliszewskie także w seminarjum duchownem. Zaroilo się wtedy w gmachu. Już w pierwszy dzień pobytu powodzian znikły 3 koty tłusciuchne, a w następny dzień pies-olbrzym. Głodni z apetytem zabrali się do tych łakoci.

Sposób nauczania w gimnazjum nie podobał mi się nigdy; było tak zwane paukowanie pamięciowe i jakby dryl, zresztą sprawiedliwy zazwyczaj i nieuciążliwy. Najlepszym moim pedagogiem był dr. Cybichowski, mój ordynariusz aż do prymy z wyjątkiem wyższej tercji. Miałem, oprócz Cybichowskiego, profesorów Polaków: Laskowskiego starszego i młodszego, Kolanowskiego, Krzesińskiego, Lindnera, Molińskiego, ks. Bielewicza, Szulca, Wituskiego i Teodora Jakowickiego. Żaden z nich nie odznaczał się jako pedagog poważniej, żaden nie zdobywał należytych wpływów, nie umiał kierować ku ideałom, podsycać szlachetnego poczucia ku naukom, krzesać ducha. Nie wypada jednak mówić o nich źle. Jako Polacy mieli stanowisko utrudnione w sto-

sunku do nas; zawsze musieli w swych porywach patryjotycznych być jaknajdalej powściągliwymi. Beznaganni byli Wituski, Kolanowski, Moliński; Szulc był bardzo inteligentny, lecz skończony dziwak w braniu się wobec nas; umiał być niesprawiedliwym. Trochę na oryginała zakrawał Teodor Jakowicki, zresztą zacny człowiek. Z Niemców najlepszymi pedagogami byli Priem i dyrektor Meinerts. Sylwetek pisać nie chcę. Śród Niemców profesorów nie jeden posiadał zdolności, ale częstokroć i przywary, które go ośmieszały i autorytet jego obniżały. Z moich nauczycieli Niemców był Raysky i dziwak i niezawsze sprawiedliwy. Ficher, nieciekawy, Bindseil, wróg Polaków, mnie nie lubiący; Fütterer, bardzo inteligentny, dziwak, umięjący jednak klasę zainteresować więcej niż inni. Zenses był zadowolony, gdy uczeń skopjował dobrze opowiadanie jego z dnia poprzedniego; gdy uczeń nie powtarzał „*quasi verboten*“, Zenses go nie uznawał. Zimmermann miał zawsze za uszami. Giese lubił poezję grecką, był oryginałem, chętnie deklamował po grecku, cośmy często wyzyskiwali dla zabawy naszej i ku jego radości. W niższych klasach byłem doskonałym w matematyce. W sekundzie udzielał lekcji matematyki i fizyki Fahle; mówił po westfalsku i wogóle wyrażał się dziwacznie. Już podczas pierwszej lekcji śmianiem się naraziłem mu się na zawsze. Nic nie pomogły moje późniejsze staranne prace pisemne, moja uwaga, ni umiejętność. Fahle zawsze w stosunku do mnie był zajadły. Polubił on zazwyczaj dwóch, trzech w klasie, a resztę prawie że negował. Imponował mu najwięcej kolega nasz, Cwojdzinski, późniejszy profesor we Lwowie. Slany, nie bardzo zdolny, określany był formułką matematyczną $S (= es) l (= el) an (= âne) y$; „Esel“ i „âne“ = Esel zum Quadrat mal y.

Bindseilowi przy wypracowaniach niemieckich zależało nadzwyczajnie i przedewszystkiem na dobrych, najbardziej drobiazgowych dyspozycjach, przy których nie starczył nigdy alfabet łaciński, więc dobierano grecki, posługu-

jąc się nieraz potrójnem delta, poczwórnem gamma i t. d. Napisałem raz dobrą dyspozycję i kiedy na wieść o tem chciałem się uśmiechnąć, zepsuł mi Bindseil nastrój, dodając, że jednak mógł mi dać tylko „*genügend*“ w cenzurze. Steiner był miły, wcale ciekawy, lecz już skruszały i całkiem pokrzywiony fizycznie. Fütterer podyktował w sekundzie ekstemporale łacińskie o kwiatach; (oryginał jakiś) najlepszy uczeń zrobił 38 błędów! Fütterer chodził w butach o długich cholewach, ciągle, niemal codziennie, wysyłał telegramy do Bismarcka.

Fahle jako fizyk w laboratorium chemicznem nie umiał się nigdy obchodzić z aparatami fizykalnemi. Zawsze się coś psuło, zawsze coś nie było w porządku, zawsze rzekomo popsuł poprzednio jego spółzawodnik Wituski, mimo, że tenże fizykę wykladał daleko lepiej i poważniej, niż Fahle. Ale Fahle był jego przeciwnikiem. Raz chcąc demonstrować lokomobilę i wprowadzić ją w ruch, niezgrabnie rozlał palącą się okowitę. Przestraszył się dużym płomieniem Fahle i zawołał: „*Kinder pustet*“. Z fantazją dmuchano mu wprost w twarz i śmiano się z tego. Przypominam sobie, że raz Fahle, mozolił się nad rozwiązaniem zadania matematycznego dla abiturjentów w szkole realnej, podanego w programie gimnazjalnym, całą noc daremnie. Gdy podał w klasie zadanie, odrazu Cwojdzinski je rozwiązał nawet w 2 sposoby, czem Fahlemu zaimponował nadzwyczajnie. Raz Fahle nocą szedł ulicą „Za Bramką“, tocząc się. Wtem zarzucono mu duży worek i tak go zostawiono, nie mógł wyjść z matni i upadł. Następnego dnia opowiadał o tem z oburzeniem w klasie. Gdy raz w kwarcie ugniewał prof. Giese kolegę naszego Konstantego Korytowskiego, ten w tej chwili wskoczył na ławę i nuże z obسادką i piórkiem na profesora. Przeraził się strasznie długi Giese, wołając: „*Gib deine gefährliche Waffe!*“

Stwierdzam, że tylko pokrótce poruszyłem sprawę naszych profesorów. Wiele szczegółów pominąłem. Lecz pod-

kreślał, że 5-ciu profesorów moich, samych Niemców, pokutowało później w domu obłąkanych!

Wszystkich kolegów mam spisanych, aż do prymy, w osobnym zeszycie, w osobnym znów zeszycie podane są cenzury z prymy. W owych czasach gros kolegów bardzo poważne: to synowie ziemian, mianowicie w klasach niższych. Ta warstwa przeważnie nie uczyła się tak, aby corocznie otrzymywać promocję. Bywało np., że moi koledzy Kaczkowski i Karłowski już drugi rok siedzieli w kwincie, kiedy ja wstąpiłem do niej, a gdy składałem maturę, oni sterczeli w innem już gimnazjum, jeszcze w niższej tercji. Później jeden i drugi odziedziczył majątek w bardzo młodym wieku i stracił go. Kol. Mittelstaedt, nadzwyczajnie sympatyczny, nie otrzymawszy po 2 latach promocji do tercji, po zagrożeniu, że nie ma się ojcu bez niej pokazać, wybrał się, zaraz po wyjściu z klasy z dwoma kolegami na Szeląg i, rozmawiając najswobodniej po drodze, nagle się odwrócił i celnym strzałem z rewolweru pozbawił się życia. Kolega Franke także się zastrzelił z tych samych pobudek. Przechodząc do pogodniejszego tematu, wspomnę, że kolega Korytowski jako kwintaner obraził się razu pewnego na kol. Miśkiewicza o to, że tenże na placu Bernardyńskim wobec przechodzącej panienki był nieco swawolny. Wyzwał go więc na pojedynek, który się odbył za kościołem bernardyńskim z całym aparatem świadków, tylko bez lekarza. Rej wodził Wiktor Sokołowski, późniejszy medyk; nabił rewolwery kartoflami. Odważny Korytowski oparł się trwożnie o drzewo i gdy usłyszał huk strzału kartoflą tuż obok świszczącą, zemdlął. Następnego rana ordynariusz Cybichowski już ode drzwi przywołuje do siebie Korytowskiego, wiedzie go do pedla, który mu porządnie wysypnął. Korytowski po tej łaźni pędzi wściekły do klasy, nie płacze, lecz wymyśla „Cybuchowi“ zawzięcie. Profesor, słysząc te niebaczne słowa, ponownie go prowadzi do pedla na zdwojoną rację cięgów, po nim Miśkiewicza. A tymczasem zawsze wesoły, zawsze dowcipny „Sokół“ śmieje się

z takiego obrotu do rozpuku i całą niemal klasę pobudza do śmiechu. Dobrze to zmiarkował „Cybuch“ i zaprosiwszy jednego po drugim sekundantów na chłostę do pedla, skończył na Sokołowskim, który także otrzymał podwójną rację. Wracając „Sokół“ już się nie śmiał.

W prymie był kolega Zahn (żyd), najstarszy z nas, najgorszy w matematyce, najpraktyczniejszy i doświadczony, bo już był żonaty i miał dwoje dzieci, o czym wtedy nikt nie wiedział.

Kol. Flajszer, mój serdeczny w kwincie przyjaciel, jadąc na wakacje przeczuwał nieszczęście i zapowiadał, że chyba już się nie zobaczy ze mną. Rzeczywiście, napiwszy się, po żwawej gonitwie z towarzyszami, zimnej wody, umarł nagle.

Kol. Masłowski nakłonił kol. Jonasa, jeszcze w kwincie, by razem poszli na wojnę w Hercogowinie. Dotarli tylko do Wrocławia piechotą i, wyczerpani fizycznie i z pieniędzy, wrócili, odesłani przez władzę do Poznania, ale już się rozstali z nami na zawsze.

Kol. Rajewski podziwiał mój zeszyt rysunkowy ze szkoły miejskiej w Lesznie, gdzie, mojem zdaniem, rysunkowość była wyższą, niż w niższych klasach gimnazjum. Ten zeszyt „zwędził“ mi R., a później, zdaje się po wielkanocnej spowiedzi, zwrócił go, podsuwając mi niespostrzeżenie. Wszędzie starannie moje nazwisko wytarł a wpisał swoje, przed oddaniem zaś powycinał swe podpisy, a tylko jeden zostawił przez niedopatrzenie niewycięty. Po tem poznałem ptaszka.

Przez 8 i pół roku pobytu w gimnazjum zrobiliśmy jedyny raz z profesorami wycieczkę koleją do Puszczykowa, stamtąd pieszo nad góreckie jezioro.

Profesor Pfuhl wykładał botanikę. Raz mu przywiozłem z Kunowa pod Bukiem węży 1½ m długości, okaz nadzwyczajny. Na górcie w Kunowie była moc tychże węży. Raz w słoneczne południe laską zabiłem parę węży w towarzystwie Grabskich. Wtem nadszedł młynarz, pozbierał zabite

węże, opowiadając, że są bardzo smaczne, że skórą ich oprowia laski, które dobrze sprzedaje. W końcu zaprosił nas wszystkich na obiad węzowy. Odmówiliśmy jednak.

Nasze śpiewy w kościele bernardyńskim były stale polskie. Naraz nakazano nam śpiewać po niemiecku. Wprzód dy prof. śpiewu Schoen nas poduczał, co szło szalenie tępo. Zwolniłem się od tych śpiewów, dostarczywszy profesorowi świadectwo lekarskie; nie chciałem śpiewać w kościele po niemiecku. Mimo to nakazano mnie i innym po kilku dniach śpiewać na chórze w tym języku. Nie śpiewaliśmy. Więc dwóch profesorów a na czele dyrektor Deiters kontrolowało nas zaciekle przy śpiewie. Ale i kontrola nie pomogła wiele. Śpiewano obłudnie tak cicho, że na dole nie nie słyszano. Strajk nam się udał. Jeden tylko kolega się wyłamał (Stef. Bar.), co nas oburzyło. Po długich naradach nauczycielstwo uchwaliło śpiew po łacinie, a po podniesieniu po polsku. Próby z łaciną szły lepiej niż z niemieczyzną, i profesorów zadowolili jako tako, ale gdy po podniesieniu zaryknął na dole nasz kolega Kulas, tubalnym głosem wszechpotężnie, aż, jak mi się wydawało, kościół drżał, to i chór śpiewał z wielkim zapalem, a na dole w ławach całe gimnazjum należycie i potężnie nam wtórowało.

Kol. Kostanecki był to typ wzorowego ucznia, przytem utalentowany, miły w obejściu, nadwyraz sympatyczny, o anielskim wyrazie twarzy, zawsze pilny, zawsze prymus w klasie. Był jedyny, którego wszyscy profesorowie lubili i cenili. Kol. Echaust uczył się jako tako, był figlarz. Raz, tuż po wakacjach, wsadził profesorowi Szulcowi, „szewcowi“ z przydomkiem ze względu na jego dziwaczne buciska, obrazek z pytaniem „Wo ist die Katz“. Wszyscy koledzy wiedzieli o tem, tak samo Szulc, który jednak nie zdradził się z tem. W ostatni dzień przed wakacjami prosi Szulc dyrektora gimnazjum do naszej klasy, wyciąga z kieszeni surdutowej ów obrazek, demonstruje go nam, podaje do odczytania dyrektorowi i pyta się z sarkastycznym uśmiechem, kto mu go wsadził do kieszeni. Gdy nikt się nie przy-

znał do winy, za zgodą dyrektora nałożył nam Szulc 2 godziny aresztu, zwalniając jedynie Kostaneckiego. Była to jedyna kara, na którą mnie skazano w gimnazjum, wogóle w szkołach.

Prawda, że już poprzednio stary profesor Laskowski chciał mnie trzcinką mocno poczęstować za to, że podczas obchodu urodzin cesarza Wilhelma I. usunąłem się od zadeklamowania na auli gimnazjalnej. Było tak. Spiknęliśmy się z Wiktorkiem Sokołowskim, że ani ja, ani on, jako ewtl. mój zastępca, nie będziemy deklamowali. Sokół poszedł po lód w pobliżu, przyniósł go w wiaderku i w naszej klasie nakładał mi go na głowę. Byłem niby chory. Laskowski wściekły wpada do klasy i żąda, bym natychmiast przyszedł na aulę. Na to ja nic, a Sokół: przecież pan profesor widzi, że robię koledze okłady lodem, bo chory, a ja nie przeczuwając, że Filipowicz zachoruje tak nagle, nie nauczyłem się oczywiście deklamacji. Z kwitkiem poszedł Laskowski, zdetonowany do najwyższego, a tymczasem Sokół w dalszym ciągu niby to lodem okłada mi czoło. Następnego dnia nie pozwoliłem się w żaden sposób ukarać. Jakos wszystko mi uszło. Taką była kwinta!

Na 56 uczniów w kwincie było 2 Niemców katolików i 1 żyd z Kongresówki, mówiący doskonale po polsku, reszta — Polacy.

Później stosunek pogorszył się niestety, Polaków coraz więcej odpadało, a Niemców i żydów przybywało. Ostatecznie zdawało razem ze mną maturę w lutym 1884 r., na ogólną cyfrę 18-tu — 10 Polaków, 2 Niemców i 6 żydów. 1 żyd przepadł. T. Szuldrzyńskiego zwolniono od egzaminu ustnego.

Już od tercji uprawialiśmy pozaszkolnie naukę literatury i historii polskiej, zawsze z przeszkodami, wskutek zbytnej czujności władz szkolnych. Uprawiało się naukę po polach, łąkach. W wyższych klasach był naszym przewodnikiem Antoni Laubitz, obecny biskup. Laubitz był zawsze poważny.

Pięciu miałem kolegów szkolnych, którzy później odznaczyli się nadzwyczajnie, oto:

Kazimierz Kostanecki, prezes Polskiej Akademji Umiejętności, Jan Kasprowicz, poeta, Antoni Laubitz, kapłan, biskup, Józef Paczkowski, profesor uniwersytecki, dr. Władysław Rabski, literat i dziennikarz. Zaznaczył się także bardzo poważnie, mianowicie jako prezes Centralnego Towarzystwa Gospodarczego dr. Tadeusz Szuldrzyński. Kolegą naszym był też Maciej Wierzbński, powieściopisarz.

Kiedyśmy przygotowywali się: W. Sokołowski, T. Szuldrzyński i ja do egzaminu abiturjenskiego, to Sokołowski każdego dnia walnie przeszkadzał. Uczyliśmy się w mieszkaniu państwa Szuldrzyńskich z Lubasza. „Sokół” tak nas obu niepokoił i kułakami i fraszkami, uniemożliwiając nam w ten sposób uczenie się, że powiedzieliśmy, iż zdanie egzaminu będziemy uważali za cud.

Z kolegami żyłem zawsze zgodnie, nie przypominam sobie żadnej z nimi zwady. W sekundzie i prymie często wsłuchiwałem się w wiersze Jana Kasprowicza, lubił cytować w własnym tłumaczeniu Shelleya, którego najwięcej cenił, wielbił. Najserdeczniejszym przyjacielem Kasprowicza był kolega Laubitz, czytany, inteligentny, mądry, chociaż w klasach się nie odznaczał, był średnim jak ja, nawet częstokroć w cenzurach gorszym ode mnie. Moim najserdeczniejszym kolegą był Wiktor Sokołowski, usposobieniem i charakterem zresztą zupełnie inny ode mnie. W tercji już bawiłem się w pisanie wierszy. Ukrywałem je. Ale raz czytałem ich parę Sokołowskiemu, którego coś skusiło, aby powiedzieć Kasprowiczowi, że i ja się zabawiam w poezję. Jakże mnie dręczył Kasprowicz, abym mu je pokazał. Zanie w świecie nie chciałem tego uczynić. Żyłem się lepiej z kol. T. Szuldrzyńskim, z którym rozpocząłem naukę w gimnazjum jesienią 1875, a skończyłem 29 lutego 1884.

Lubo z Janem Kasprowiczem żyłem w przyjaznych stosunkach, jednak poza szkołą stykaliśmy się rzadziej, i z tego źródła czerpałem mało. Mogłem z nim mówić o poezji, ale

to nie był mój dział, o socjaliźmie, do którego czułem wstręt, a którym Kasprowicz już w gimnazjum zajmował się poważnie. Zresztą z Kasprowiczem jak i Laubitzem w gimnazjum nie przebywałem zbyt długo, gdyż obaj wstąpili tutaj do gimnazjum dopiero w najwyższych klasach i obaj więcej żyli z sobą, niż z innymi.

Kasprowicz już wtedy odznaczał się niezwykle zdolnością do rysunków. Tematy — to żydzi i chłopci w karykaturze. Wszystkie były doskonałe, pełne życia. Później z malarzy polskich zajmował mnie najwięcej Wyspiański swą nadzwyczajną naturalnością w rysunku, w uchwyceniu typów, czym również odznaczał się Kasprowicz. Żałuję, że nigdy nie wpadłem na to, aby poprosić Kasprowicza o parę karykatur, któreby mi był bardzo chętnie ofiarował.

Z Kasprowiczem bywałem wieczorami u pani Śliwińskiej. Miała śliczną córkę, która mi się bardzo podobała. Ale Kasprowicz stroił do niej koperczaki i miał prym nademną. Te wieczory były bardzo miłe — nie tylko dla panny Śliwińskiej.

Pozatem moje towarzyskie stosunki w gimnazjum były bardzo skromne. Bywałem w gościnnym domu rodziców Sokołowskiego, niezbyt często zresztą, oraz u p. Brelińskich, gdzie dwa lub trzy razy do roku tańczono. Sam poduczyłem się tańca dopiero jako wyższy sekundaner, gdy podczas imienin zmuszono mnie do tego.

Poza szkołą zabawiałem się ochoczo w palanta oraz w gonitwy w środy i soboty.

Już jako tercjaner wyższy udzielałem lekcji. Najpierw Niemcowi Jentschowi przy ul. Wrocławskiej, później Witoldowi i Bronisławowi Grabskim z Kunowa pod Bukiem, w mieszkaniu bardzo sympatycznych dwóch ciotek Grabskich. Po lekcjach bywała stale wyborna kawa. Przez pół roku udzielałem lekcji już jako prymaner wyższy bratu kolegi Tadeusza Szuldrzyńskiego, Kazimierzowi. Tutaj w niedzielę bywałem na obiadach, o ile stary p. Szuldrzyński z Lubasza przebywał w Poznaniu.

Udzielałem też lekcji Władysławowi, synowi Juljanostwa Grabskich. Lekcje te były bardzo sympatyczne, bo uczeń zachowywał się wzorowo, był pilny, a matka okazywała mi dużą życzliwość jako obcemu. Ojciec, Julian, jako inżynier ustawicznie podróżował lub zajęty był pracą techniczną. W czasie lekcji zawsze była dobra herbatka bez dodatków, w której się lubowałem.

Najlepszym moim uczniem był Feliks Sęcki, starannie wychowany i posiadający dużą wiedzę, której się ani w szkołach ani z ksiąg nie nabywa, tylko w codziennym życiu. Feliks był w obejściu nadewszystko miły. Niestety i on i młodszy brat jego zmarli w parę lat później, niemal równocześnie, na jakąś zakaźną chorobę. Doktor Sęcki był wówczas najlepszym operatorem, mimo że lubował się w węgrynie, i stąd ręka mu się trzęsła.

U państwa Sęckich, spokrewnionych ze znaną rodziną Hipolita Cegielskiego, przebywała elita inteligencji, która wpływała nadzwyczaj dodatnio na wychowanie i rozwój umysłu obu synów. Ja będąc może dobrym korepetytorem, lecz nie mając dotąd żadnej osobistej łączności z światem inteligentów, mogących na mój rozwój duchowy wpływać, czułem się wobec bystrości umysłu Feliksa, mego ucznia, zadającego mi co chwilę pytania oryginalne i ciekawe, na które należało odpowiadać, stale nieco krępowanym, gdyż niedoświadczonego w wiedzy ogólnej łatwo było nawet młodemu Feliksowi zdybać na nieuctwie. A na to nie pozwalało moje stanowisko jako korepetytora ani słuszna, zdaje się, ambicja. Na niedzielę dr. Sęcki stale mnie zapraszał osobiście na obiad i na kawę. Na tych obiadach rzadko widziałem gości. Pani Sęcka była i piękna i miła, uosobienie życzliwości. Dla mnie te obiady były rozkoszą duchową, przytem były wyborne.

Udzielanie lekcji przysparzało dochodów, lecz zabierało dużo czasu, tak, iż najczęściej dopiero po kolacji mogłem odrabiać swoje pensum szkolne oraz czytywać książki. Gdy raz matka w jakiejś sprawie mojej była u dy-

rektora naszego gimnazjum, powiedział jej tenże, że jestem bardzo pilny, ale uczę się z pewnym trudem. Tak może się rzecz miała, w rzeczywistości nie byłem bardzo pilnym, raczej mało pilnym, talentu nie posiadałem, ale pojmo- wałem łatwo i szybko. Nawet do pewnego stopnia zaniedbywałem się, rozczytując się zbytnio w dziele powieściowym biblioteki gimnazjalnej. Pochłaniałem Kra- szewskiego, Rzewuskiego, Korzeniowskiego, Czajkowskiego, Kaczkowskiego i innych autorów polskich, poza tem po- wieści obce w tłumaczeniu. Zaznajamianie się z historją polską zajmowało mnie niestety słabiej.

W czasie mego 8 i pół rocznego pobytu w gimnazjum ani jednej nie poznałem osoby, któraby wpływała na mą umysłowość, któraby mi wskazała jakiś kierunek, napro- wadzała na jakieś myśli wyższe i dążenia, poprostu mnie budziła i pobudzała. W tym kierunku byłem jako gim- nazjasta bryłą, którą dopiero znacznie później życie twarde i otwierające mi światy i horyzonty, ociosało jako tako. Czego mi poskąpiły w wiedzy warunki życiowe, nigdy już życie późniejsze nie dało ani w tej sile, ani w tej krasie, co byłbym niezawodnie ochoczo i pojętnie przejął w latach młodzieńczych.

W Poznaniu bywałem w domu wuja, urzędnika pocztowego, zawodową pracą wyczerpanego, przytem słabowitego, a naukowo niewybitnego. Wpływała na mnie do- datnio, lecz za mało, żona wuja, młoda, przytem bardzo in- teligentna ciotka, także mocno zajęta, czy gospodarstwem domowem, czy drobną swą dziatwą (było jej czworo). Istniał w tej rodzinie jakiś pokarm duchowy dla mnie, którym się chętnie sycilem.

Ze szkół w Lesznie zjeżdżałem na wakacje jedynie do domu rodzicielskiego. Były to wakacje nieco smętne i nudne, urozmaicone tylko przechadzkami samotnymi w lesie, nad wodą. Gości nie przyjmowaliśmy nigdy.

Z Poznania tylko z niższych klas przepędzałem wakacje u rodziców. Od października r. 1881 bywałem podczas wa-

kacyj najpierw u pana St. Grabskiego w Kunowie. Wyjeżdżaliśmy trzech Grabskich i ja umajoną helą ze Świętego Marcina, z mieszkania pań Grabskich, przez Sady, Swadzin, Tarnowo, Kaźmierz itd. Życie w Kunowie było skromne; gości się nie widywało. Zbierała się tu tylko młodzież szkolna, spokrewniona blisko z panem Grabskim, a więc Marja Brownsford, późniejsza wysoce zasłużona nauczycielka w wyższym zakładzie szkolnym panny Danysz, jej siostra i brat Witold, obecny administrator dóbr, nieco głuchy, dr. Antoni Grabski, chemik (późniejszy właściciel znakomitej piekarni wiedeńskiej w Poznaniu), następnie posiedziciel Rzetni, a ostatnio 4000 morgowego majątku Kozłowice pod Olesnem na Śląsku), jego brat Władysław (późniejszy właściciel Kurcewa, działacz polityczny; w czasie wielkiej wojny emisariusz stronnictwa narodowo-demokratycznego do Szwajcarii. Zawoził, mimo braku zdrowia, komitetowi polskiemu w Lozannie stąd wieści o nas, a wracał z wiadomościami politycznymi, dla nas wielce ważnymi). Panna Zofja Sokolnicka piastowała wtedy równoległy urząd honorowy i tak samo jak W. Grabski, była narażona na nieobliczalne konsekwencje, w razie wykrycia przez policję pruską. Emocje te przypłaciła życiem tak, jak i Władysław Grabski, z którym, aż do jego zgonu, żyłem w szczerej przyjaźni. Był to charakter naskroś zacny.

W Kunowie nauczyłem się konnej jazdy naoklep na zrebakach oraz sztuki polowania na zwierzynę. Oba te rzemiosła stały się jakoby mą namiętnością. P. Stanisław Grabski używał mi drogą łaski zużytego, nadpsutego siodła po Karolu Marcinkowskim, który zajeżdżał ongiś z Poznania do Kunowa konno. Zawsze się na tem siodle raniłem, ale mimo to tyle już razy żałowałem, że nie pomyślałem o tem, by to pamiątkowe siodło uprosić dla muzeum w Poznaniu. Niechybnie byłby p. Grabski je na ten cel ofiarował.

W Kunowie przebywałem na wakacjach parokrotnie i przypominam sobie z tego okresu taki szczegół. Panowała wtedy walka kulturalna. Księża pokątnie odprawiali nabożeństwa, za co ich ścigali żandarmi pruscy bezwzględnie. Właśnie ks. Andersz odprawiał mszę św. w prowizorycznej kapliczce w dworku kunowskim, gdy straż, osobno dla opieki księdza stworzona, donosi, że jadą żandarmi. Ks. Andersz natychmiast wyskoczył przez okno do ogrodu i wymknął się żandarmom. Kapliczkę rozebrano w okamgnieniu. Rewizja w dworku była bez wyniku, a szukanie po ogrodzie daremne, bo za późne.

Później Wiktor Sokołowski polecił mnie w porozumieniu z prof. Lindnerem państwu Sewerynostwu Radońskim w Kociałkowej Górcie jako korepetytora. Przyjechałem powozem w księżycową noc z prof. Lindnerem do Kociałkowej Górki, by objąć korepetycje. Lekcje sprawiały mi dużą radość, bo dwaj chłopcy zachowywali się wzorowo, a w naukach robili znaczne postępy. Pod koniec wakacyj moich przybył znów prof. Lindner, wyegzaminował uczniów i pochwalił mój sposób uczenia i jego skutki.

Podziwiałem raz pyszne żyto petkuskie; pan Radoński, widząc me wysokie zainteresowanie, użyczył mi pełne pudełko do cygar żyta pierwszego odsiewu, z tem, abym bardzo rzadko siał, niejako sadził. Uprosiwszy pół morgi magd. na ojcowskim gruncie rozsadziłem raczej, niż rozsiałem żyto. Grunt leżał nade drogą. Śmiali się robotnicy i wiejscy gospodarze, przechodząc, z mojej mozolnej i głupawej, ich zdaniem, roboty. Gdy wiosną ujrzano, miasto runi, tylko zielone kępki zboża, nie było końca pokpiwaniom. Cała wieś miała stąd uciechę, a ja, przybywszy Wielkanocą na wakacje, musiałem się przysłuchiwać niewczesnym żartom. Ale zupełnie inaczej wyglądało na Zielone Świątki. Z korzenia weszło 6 do 9 pędów, żytko śmiało się do mnie w lśniacej w słońcu zieleni. Żniwa w lipcu były tak wspaniałe, że zdumiała cała wieś i nawet dalsza okolica. Miałem zbioru z $\frac{1}{4}$ hektara przeszło

13 węgpli i słomę tak długą, tak potężną, jakiej tam przedtem nikt nie oglądał. Wszystek plon sprzedałem gospodarzom w mig, nawet słomę wykupiono. Więc już wtedy stosowałem system późniejszy Lossowa: rzadkiego siewu. Jedyńy raz w życiu byłem hreczkosiejem!

Jako prymaner wyższy udzielałem lekcji podczas wakacyj dwóm synom p. Kaźmierza Chłapowskiego z Kopaszewa. Pani Chłapowska zastrzegła sobie, bym chłopców traktował łagodnie i nie bił, pozatem podsłuchiwała podczas lekcji. Chłopcy byli bardzo sympatyczni, swobodni, do nauk niebardzo sposobni, lubo nie bez talentu. Nauka szła nieco opornie, z powodu więzów nałożonych mi przez troskliwą matkę. Jeden z tych synów, to zasłużony wielce, bardzo inteligentny ziemianin, p. Mieczysław Chłapowski.

Tak, przebywając podczas wakacyj gimnazjalnych w różnych dworach, poznałem nieco życia wiejskiego, ale przyznam się, że poza Sewerynem Radońskim, nie zetknąłem się bliżej z wybitniejszymi ziemianami i wogóle nie doznawałem z tej strony żadnych poważnych wpływów na tok swego myślenia, na podniesienie poziomu umysłowego, na uszlachetnienie. Wszędy otaczała mnie z jednej strony szczerłość i życzliwość, a z drugiej jakby kompletna martwota umysłowa. Nigdy nie zasłyszano się poważnych dyskusyj ogólniejszego znaczenia, nigdy nie poruszano spraw poważnych, poza rolnictwem. Nawet u Seweryna Radońskiego nie wyczułem polotu ducha.

Zaraz po ukończeniu szkół w Poznaniu wyjechałem do ojca, przebywającego w r. 1884 w Krakowie. Tam, zachwycając się cudownym miastem, zwiedzałem Wawel, stare ciekawe kościoły, kopiec Kościuszki, muzea, bibliotekę Czartoryskich, w której raz było mi danem siedzieć tuż przy Janie Matejce, mocno zaczytanym. To w dzień. Wieczorem pogawędka z troskliwym ojcem; później pochłanianie słynnej powieści Sienkiewicza: „Ogniem i mieczem“. Wówczas była ona wydarzeniem nadzwyczajnem

w całej Polsce. Musiałem powieść przeczytać w trzy doby, a później zaraz oddać. Niesłychany był zapal w rozchwytywaniu tej wspaniałej powieści. Bawiłem w Krakowie dwa tygodnie. Nie mając czasu na spisanie wrażeń, podałem tylko kilka całkiem luźnych, lichu napisanych uwag na piśmie, z których co do formy i treści dziś się śmieję.

Nim rozpocząłem w listopadzie 1884 r. studja uniwersyteckie we Wrocławiu, straciłem pół roku czasu. Nie było pieniędzy na studja filologiczne. Tow. Pomocy Naukowej im. K. Marcinkowskiego na filologję nie chciało udzielić mi stypendjum, chyba na teologję, a do tej nie czułem powołania, mimo, że tem byłbym uszczęśliwił matkę.

W tym okresie bezrobocia bawiłem na wakacjach u p. Radońskiego w Stareżyńcu. W jakiś trzeci dzień swego pobytu zjechali się goście na kawę, poczem grano w karty. Wyszedłem na podwórze. Wtem podąży za mną p. Retz z Damasławia i pyta o moją przyszłość. Powiedziałem, że na studja niema pieniędzy. A ile potrzeba? pyta się. 600 marek rocznie odpowiedziałem, nie przygotowany wcale. Na to on w tej chwili oświadczył gotowość płacenia mi tej kwoty aż do końca studjów. Byłem wysoce uszczęśliwiony, a równocześnie zdumiony tem, że obywatel, z którym się przed rokiem lekko poznałem, tyle umiał mi okazać zaufania swą pożyczką, za co mu dozgonnie jestem wdzięczny. Był to szczególny obywatel, żyjący z wszystkimi w sąsiedztwie ziemianami w największej harmonji a z Leonem Guttrym z Piotrkowic w szczerzej przyjaźni. Gdzie tylko mógł, szczerze i zawsze służył i pomagał każdemu radą i czynem. Z Niemcem starostą w Gnieźnie żył Retz stale w zaciętej walce rzeczowej. Wraz z swą małżonką, nad wyraz miłą, poważną ziemianką, nieustannie zapracowaną, otaczał mnie przez całe życie niezwykłą życzliwością, wprost przyjaźnią. Nie pojąłem nigdy, skąd jej źródło, tem więcej ją ceniłem.

Marzeniem mojem w gimnazjum było zostać profesorem języków słowiańskich na uniwersytecie w Krakowie.



Słuchałem we Wrocławiu dwa lata filologii. Uczęszczałem pilnie na prelekcje, najwięcej mnie interesujące prof. Władysława Nehringa. Najciekawsze były wykłady prof. Studemunda. Na wykłady Nehringa, bardzo poważne, chodziło niezmiernie mało kolegów. Czasem miał dwóch słuchaczy, Stanjeka (Górnoślązaka) i mnie. Raz byłem sam. Już zamierzałem czmychnąć, ale profesor zatrzymał mnie u drzwi; zjawił się po chwili także Stánjek.

Prof. Jarochowski przy gimnazjum św. Macieja, otaczał młodzież akademicką polską szczególną trosliwością. Na wieść o tem, że Nehring tak mało ma słuchaczy, zmobilizował nas tak, że następnie sala była przepełniona słuchaczami, co Nehringa ogromnie ucieszyło. Sam Jaro-chowski uczestniczył.

Poza prelekcjami żyło się z całym szeregiem kolegów bardzo dobrze i miło i używało się stosunków koleżeńskich w pełni. Jadałem obiady po 50 fen., w niedzielę u Kijoka po 60 fen., wspólne wieczery po 25 fen. przy jakimś rynku. Urozmaicały życie knajpki, rzadkie wycieczki, zebrania towarzyskie w „Kółku“, bardzo miłe, śpiewy, muzyka, „Poczwara“, w której najwięcej odznaczał się Władysław Dalbor, a która skalpowała w soboty niemal wszystkich kolegów cięcie i rozdmuchiwała ciągły śmiech, nieraz wprost homeryczny. Mieliśmy i czytelną, grywało się w preferansa, w bilard. Nie obywało się i bez nocnych wybryzków niewinnych, po piwku u „Haczki“ w ulubionej naszej restauracyje. Uczestniczyłem we wszystkim, lubo mnie ani knajpowanie ani owe wybryczki nie bawiły. Z zamiłowaniem grywałem w szachy z Rychlewiczem w kawiarni Wendego. Ale inni koledzy lubili i knajpki i karty, przesiadując nieraz nawet całą noc i dłużej przy grze.

W „Towarzystwie literacko-słowiańskim“ uprawiano poważnie naukę. Poznałem w niem dobre siły: Hipolita Nowickiego, wcześniej zmarłego, wielce obiecującego filologa, Bron. Kaśinowskiego, literata-poetę, późniejszego profesora we Lwowie, spotkałem się z nim w roku 1912

w Opatji (Abacji), Jana Kasprowicza, Stanisława Szumana, medyka, Ignacego Klateckiego, późniejszego redaktora „Dziennika Poznańskiego“. Stykałem się też z bibliotekarzem Wrocławskiej Biblioteki uniwersyteckiej, Antonim Bederskim, znacznie starszym od nas, znanym późniejszym dyrektorem Biblioteki Raczyńskich, gorącym patriotą. Żyłem z braćmi Szeptyckimi; jeden z nich to obecny metropolita, drugi nieżyjący już generał. Nadzwyczaj zdolny był kolega Kiszewski z Trzemeszna. Już jako 17-letni student miał w „Towarzystwie literacko-słowiańskim“ doskonały wykład. Poza temże towarzystwem istniały „Koło medyków“, „Towarzystwo Górnoślązaków“, „Kółko filozoficzne“, do którego wstąpiłem razem z Janem Kasprowiczem. Byłem w niem sekretarzem, kiedy już zamierało, a tuż przed zamknięciem przez rząd pruski wszystkich polskich zrzeszeń akademickich w Wrocławiu, jego prezesem.

Kiedy raz po prelekcji zachęcał prof. Nehring, aby się ktoś podjął uporządkowania słownictwa w pracy Helcla p. t. „Zawołania i klejnoty“, podjąłem się tego trudu. Już kilku ochotników uczyniło to przede mną, ale każdy z nich zachwiał się powagą pracy i nie dokonał jej. Praca ta moja, trwająca całe wielkie wakacje, wyczerpała mnie; zacząłem nawet pluć krwią. Rodzice uważali mą robotę za warjacką. Przez cały czas pobytu u nich miałem codziennie porozkładane w dwóch pokojach kartki, porządkując materiał chronologicznie i alfabetycznie. Prof. Nehring za pokonanie mozolnej pracy podziękował mi szczerze i serdecznie listem, który brzmi, jak następuje:

„Wrocław, 26. II. 87.

Drogi Panie!

Otrzymałem Helcla Tom II., a zarazem wyciągi należące do litery N. niemniej „Zawołania i klejnoty“.

Dziękuję Panu za tę pracę, którąś Pan tak ochoczo podjął i którejs Pan dokonał i starannie i pożytecznie. Im

więcej mozółu trzeba było poświęcić zajęciu, które za stratę czasu daje tak mało wynagrodzenia, tem większa się Panu należy zasługa i dla tego serdecznie Panu dziękuję.

W tych dniach wyciągi Pana wyśle do Krakowa, gdzie zapewne z nich odpowiedni zrobią użytek.

Z wyrazem pozdrowienia i szczerzej życzliwości

(—) Wł. Nehring.

Kiedym nieco później zaszedł do prof. Nehringa, by się pożegnać, rozrzucony ujął mą głowę w obie dłonie, pocałował w czoło i wyraził żal, że opuszczam ławy nauki, by się zabrać do kupiectwa.

Bawiła raz latem trupa teatru poznańskiego ze Skirmuntem na czele trzy dni we Wrocławiu. Złożyliśmy na jej przyjęcie pieniędzy, mieszkania i serca zapalne. Były trzy przedstawienia na sali Liebiga, pierwsze „Chata za wsią“ przy przepełnionej sali. Grano znakomicie, więc brać w sobie nie było końca. Podnieceni poszliśmy potem z całą rodziną aktorów i aktorek na piwko. Wtedy aktorzy gościli nas niebacznie, nie wiedząc co będzie jutro, jak to świat cygański. Przy knajpce było bardzo wesoło i serdecznie. Zato na drugi wieczór pustki na sali, bo akademickie kiesy wszystkie się wyczerpały już wczoraj. Depeszuje Skirmunt do Franciszka Dobrowolskiego w Poznaniu o telegraficzną nadsyłkę pieniędzy, niezbędnych na odjazd trupy. Trzeci wieczór był jeszcze marniejszy. Rozpacz! Ja tymczasem, nie wiedząc, że Skirmunt trzeciego dnia nie wyjechał, bo Dobrowolski nie nadesłał forsy na czas, wykombinowałem, iż wyjadę na wakacje o 1 dzień później, byle nie jechać z przemilą cyganerją razem, gdyż za to byłaby mnie „Poczwara“ strasznie wytarmosiła. Wsiadam najspokojniej do wagonu, aż tu nagle zjawia się cała trupa, i 7 aktorek pakuje się właśnie do mego przedziału. Nieszczęsny ja! Podróż nasza była arcywesoła; a rej wodziła sławna później Gabryela Zapolska. Było południe, piekło żar słoneczny, paliło pragnienie. Na stacji w Lesznie, o dłuższym postoju,

prosi Zapolska grzecznie i figlarnie, bym kupił (aż) 3 funty czereśni. Był to straszny haracz, który mi wyrwał z kieszeni cały zapas floty. Aktorki wdzięczne były za mój „dar“ mimowolny, bo o zapłacie nie pomyślały naturalnie. Podróż trwała wesoło aż do pożegnania się na dworcu w Poznaniu.

Pamiętny dla mnie jest występ koncertowy sławnego naówczas śpiewaka Władysława Mierzwińskiego na sali Liebiga we Wrocławiu w r. 1886. Już samo ukazanie się koncertanta dobrze zbudowanego, o sympatycznej twarzy i wytwornych ruchach, działało niezwykle dodatnio na słuchaczy. Entuzjazm Niemców i Niemek był tak olbrzymi, o jakim dotąd nie miałem pojęcia. Kiedy zaś wyśpiewał cudownie „Ich grolle nicht“ Schumann, to w miejscu, kędy w transmisji rozbrzmiało wysokie C w paru taktach pianissimo, zaparł się dech wszystkim słuchaczom. Napięcie to było tak olbrzymie, że mistrz już skończył, a n a r ó d, mianowicie panie, z rozdziawionymi ustami, słuchał dalej cudownych tonów, które się rozlewały w ich duszach. Po chwili zaledwie zdołano wyrazić najwyższą wdzięczność mocarzowi tonów huraganem oklasków. Była to w życiu mem jedna z najpiękniejszych uczty duchowych.

Studjów filologicznych we Wrocławiu nie ukończyłem, gdyż dla filologa wówczas nie było wolnych posad w Niemczech, a już wcale nie dla Polaka. Po dwóch latach przerzuciłem się nagle na kupiectwo, nie pożegnawszy się nawet z kolegami. Wybór takiego zawodu był zupełnie przypadkowy. O handlu dotąd nie miałem najmniejszego pojęcia, w życiu mem dotychczas nie poznałem ani jednego kupca. Pociągu do kupiectwa ani nie posiadałem, a n i e z d o b y ł e m n i g d y. Interesowały mnie jedynie języki słowiańskie, a ojczysty przedewszystkiem. Jeszcze dziś czuję w sobie resztki zamarłego „językoluba“.

II.

ZAWÓD KUPIECKI NA OBCYZYŃNIE

Jako akademik razu pewnego wspólnie z kolegą Cwojdzimskim zająłem u kupca Affeltowicza przy Chwaliszewie w Poznaniu smaczne kiełbaski czy minogi. Zachęciło mnie to później do zapytania tegoż kupca, jaką drogą najodpowiedniej zdobyć posadę w handlu. Doradził mi zapisanie się na członka do „Verein für Handlungscommis von 1858“ w Hamburgu. Uczyniłem to, a otrzymawszy kilka ofert ze sfer handlowych i przemysłowych za pośrednictwem tegoż zrzeszenia, przyjąłem w kwietniu r. 1887 posadę w przedsiębiorstwie spedycyjnem Anton Günther w Harburgu n./Łabą jako wolontarjusz. Pierwszą moją czynnością było przepisanie karty pocztowej, źle skoncypowanej przez chłopaczka. Jako były student czułem się tem nieco dotkniętym. Niebawem zabrał mnie do kolacjonowania przy robotach bilansowych starszy ksiązkowy i kasjer. Byliśmy z siebie wzajem zadowoleni, bo wszystko pojmowałem w lot, co jemu ułatwiało zadanie, ja zaś zaznajaniałem się zupełnie dobrze z podstawami i praktykami ksiązkowości. Gdy w 2 miesiące później ksiązkowy, poróżniwszy się z szefem, odszedł, objąłem ksiązkowość i kasę, a szef, mimo, że był strasznym sknerą i angażował mnie na jeden rok bezpłatnie, raczył mi w uznaniu wyznaczyć 40 mrk. miesięcznej pensji. Z tej skromnej pensji wydawałem przez 7 miesięcy 35 mk. na stół i stancję, 10 fen. co sobotę na piwo w restauracyjce ze wszystkimi niemal kolegami biurowymi, a resztę na pranie, listy i niezbędne

wydatki. Starczyło na wszystko. Pracowało się dziennie od 8 do 1-ej, od 3 do 9-tej, czasem dłużej, w niedzielę od 10-tej do 2-iej godziny. Jedynie pierwsze święto Wielkanocy i innych wielkich świąt były wolne.

Zaraz w pierwsze tygodnie pobytu, gdy przypadkowo, będąc w restauracji, usłyszałem Niemców, wymyślających na Paryż o to, że nie pozwolono tamże grać „Lohengrina“, i przemówiłem w obronie Paryża, zamierzali zawzięci Niemcy obić mnie niewiedząc nawet, że jestem Polakiem. Na szczęście ujął się za mną jakiś pocziwy Saksończyk, i obyło się bez awantury.

Jako kasjer, tuż po objęciu kasy w pomienionej firmie, dostrzegłem różne błędy swego poprzednika. Ponieważ byłem początkującym, przeto poprosiłem starszego kolegę o skontrolowanie. Mimo, że i ten dostrzegł nieformalności, poszedłem za jego poradą do swego poprzednika, który — bardzo wymowny, starszy już pan, usunął moje wątpliwości. Gdy wracając do domu rozważałem, że jednak sprawa nie jest dostatecznie jasna, badałem nazajutrz księgi i stwierdziłem poprzednie nieprawidłowości, a przytem jeszcze inne. Ponownie poszedłem z tem, za poradą starszego kolegi, do poprzednika, a tenże znów starał się rozproszyc moje wątpliwości. Ostatecznie stwierdziłem oszukańcze manipulacje już od drugiego dnia jego pracy i podałem szefowi do wiadomości. Skończyło się ciężkim więzieniem za tę oraz inną sprawkę. Pospołu z ekspedjentem firmy usunął on władzy kolejowej czy cłowej 2 wagony towaru. Szef poprosił dla szczegółowego badania ksiąg firmy głównego księgowego z naszej centrali w Hamburgu, który po dwudniowych badaniach przy mojej pomocy polecił szefowi, aby dalsze badanie mnie porучzył, gdyż znakomicie się orjentuję. Naskutek rozprawy sądowej miałem również wgląd w księgi urzędu cłowego, ile razy potrzebowałem. Częstszymi swemi wizytami w urzędzie cłowym zraziłem sobie poważnie panów celników, zwłaszcza, że wykazałem ich spółwinę przy manipulacjach.

W jakieś pierwsze święto r. 1888 zwiedziłem w Hamburgu ogród zoologiczny, bardzo piękny i bogaty w zagraniczne okazy zwierząt, ptaków i t. d. Nagle natknąłem się na dwóch moich szkolnych kolegów Grabowskiego i Wilkońskiego. Spotkanie to było naszą ogólną radością. Ponieważ dla mnie nie było rzeczą łatwą widywanie się z nimi w Hamburgu, więc odwiedzali mnie w niedziele razem z Cichowiczem w Harburgu. Wszyscy trzej pracowali w biurach hamburskich kupców. Zaprosili oni mnie raz na Sylwestra do Hamburga, aby wspólnie pojechać do zacnego Władysława Szynkowskiego, urzędnika cłowego. Był on bardzo gościnny. Korzystała z tego w pełni młoda Polonja.

Ciekawe, że, kiedym się spotkał z kolegami w ogrodzie zoologicznym po 5-ciu kwartałach pobytu w Harburgu, gdzie z nikim nie rozmawiałem po polsku, wtedy, lecz tylko na krótko wydała mi się mowa ojczysta jakąś dziwną, a ja sam — jakoby mówił z lekkim lękiem.

W Harburgu r. 1887 zaprosiła mnie gosposia, u której mieszkalem, bardzo prawa jak i jej mąż, na wilję. Odmówiłem jednakże, bo już przedtem z innym kolegą przyrzekliśmy razem przepędzić wilję w restauracji. Wpadliśmy na tem. Prócz nas nie było żadnych gości. W kuchni nie gotowano tego dnia wogóle. Podano na zimno kotlet wieprzowy, do tego piwo. Dla mnie wszystko było wstrętne. Takiej wilji nie miałem nigdy.

Mój szef miał lat 32, był dosyć ograniczony i wysoce zarozumiały. Szefostwo odziedziczył nieprzygotowany. Był straszny narwaniec, wprost warjat. Nikt prawie nie mógł wytrzymać u niego. W dużym naszym przedsiębiorstwie pracowało tylko dwóch starszych, poważnych panów, reszta sami jednorocznicy i 2 uczniaków do posług. Każdy jednoroczny pobierał jako wolontarjusz po 2 latach pracy 50 mk. miesięcznie — nigdy więcej. Szef codziennie jeździł na giełdę do Hamburga. W tym czasie kantor opustoszał zupełnie, koledzy bowiem spieszyli na piwko, zostawałem sam, bo

ekspedjent starszy jeździł także na giełdę, a drugi starszy niemal stale podróżował. Raz szef spóźnił się na pociąg i wrócił do biura. Udawałem, że pracując pilnie nie uważałem, kiedy i nie wiem dokąd wyszli koledzy.

Ekspedjent, bardzo zdolny, starszy pan, wyjechał na Boże Narodzenie do Szczecina do swej narzeczonej. Przedtem zapomniał dokonać bardzo obszernej pracy, która zawsze pod koniec roku musiała być wykończona. Szef ciągle pomstował o to zaniedbanie. Chodziło o prawidłowe obliczenie bardzo poważnych wagonowych zasobów łupku dla firmy w Kolonji. Cichaczem poduczyłem się obliczania łupku w jeden wieczór. W dwa następne obrabiałem bardzo obfity materiał szczegółowo i skrupulatnie. Czwartego dnia wypisałem wszystko na czysto, i olbrzymi kontokurent, czyściuchny, bezbłędny, położyłem z radością i wysokim zadowoleniem, że mi się ta pierwsza, tak mozolna praca udała, na biurku szefa. Rano warjat szef widzi mój wysiłek, nie przegląda zestawienia wcale, tylko orzeka wstrętnym tonem, że praca jest błędna. To słysząc, odchodzę od kasy do jego biura, rzucam mu klucze pod nogi, oddaję kasę bez rozliczenia starszemu koledze, wdziękam palto i wychodzę bez pożegnania. Spieszę do domu. Tam w pół godziny przybiegł do mnie starszy kolega i woła: „Mam posadę dla pana, znajomy mój się etabluje i już dawno czyha na pana“. Poszliśmy obaj do niego wieczorem. Zaangażował mnie odrazu z pensją 75 mk. Nowy szef był w pracy fenomenalny. Przez rok cały jeździł i za prowizją robił dla firmy hamburskiej olbrzymie obroty, tak, iż w jednym roku bilans nasz wykazał przeszło 23 000 marek czystego zysku. Szef zaczynał kapitałem 2 000 marek. Do domu zaglądał tylko co sobotę wieczorem, w niedzielę znów wyjeżdżał. Jadałem z nim kolację, grywałem w bilard. W firmie pracowałem początkowo sam, po pół roku już nas było pod moją egidą czterech. W trzecim kwartale pobierałem już 200 mk. miesięcznie z gwiazdką 400 mk. W lipcu r. 1888 przenieśliśmy biura do Hamburga, gdzie

starszy brat szefa został prokurentem, niezwykle zdolny, człowiek nadzwyczajnej woli i energii, chciwy niepomiernie zarobków. Wkrótce opanował brata, robił dzikie interesy, spekulował na giełdzie na wielką skalę, stracił w jednym miesiącu około 200 tysięcy marek, i w końcu r. 1890 doszło do likwidacji firmy.

Już 2 lutego r. 1891 zdobyłem posadę w domu eksportowo-importowym firmy hiszpańskiej Minlos Breuer & Co., która posiadając w Wenezueli i Kolumbji 10 potężnych ośrodków handlowych, przy kapitale zakładowym 32 milionów dolarów spółnie z inną tamże firmą obejmowała około 56% całego eksportu i importu tych dwóch rozległych krajów. Głównem siedliskiem było Maracaibo, miasto położone nad olbrzymiem jeziorem tejże nazwy, z świetną komunikacją lądową i wodną. O udzielanie kredytu naszej firmie dobijały się banki nowojorskie, paryskie, londyńskie, niemieckie w Hamburgu, Frankfurcie n./M. i Berlinie nieraz po 1²/₈%. Premji ubezpieczeniowej za transporty morskie płaciła firma miesięcznie 50 000 do 60 000 nawet 80 000 mk. Wielka rozpiętość interesów handlowych skłoniła firmę do założenia centrali w Hamburgu z początkiem r. 1891. Objąłem stanowisko ksiązkowego i kasjera, i jako taki w dni wielkiej poczty wypisywałem czeków i weksli sola na kilka, czasem kilkanaście milionów w najróżniejszych walutach Europy i Ameryki. Wypisywanie trat na specjalnym angielskim papierze sprawiało mi stale ból w prawej ręce i stąd jedyną przykrość w tem olbrzymiem przedsiębiorstwie handlowem. Wysyłaliśmy z Hamburga co tydzień 2 duże okręty wyłącznie na nasz rachunek płynące do Ameryki, jeden co tydzień z Manchesteru, rzadziej dwa, a z Marsylji także niemal co tydzień jeden. Z Anglii szły przeważnie wyroby tkackie i żelazo: szyny i t. d., z Francji koniaki, sardynki, koronki. W r. 1891 nabywała firma stosunkowo mało towarów z Niemiec. Ale ten zakup towarów niemieckich wzrastał co rok potężnie i już w roku 1897 przewyższał zakupy z Anglii, Francji i Hiszpanji.

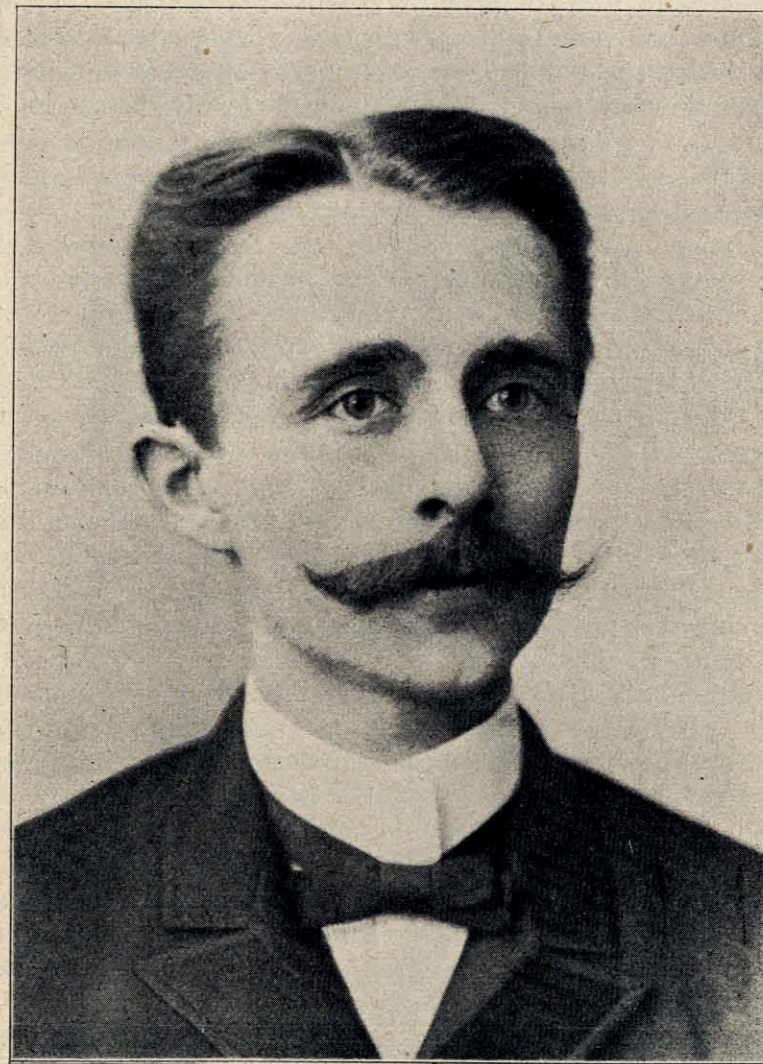
Wtedy to ekspansja handlowo-eksportowa niemiecka olbrzymiała.

Zanim mnie firma Minlos Breuer & Co. przyjęła, podległem dłuższemu egzaminowi. Musiałem odrazu władać pisemnie językami angielskim, hiszpańskim, francuskim, niemieckim, w tych językach rachunkowo korespondować. Mimo słabej znajomości obcych języków starczyło moje oświadczenie, że jako niedoszły nauczyciel języków szybko się z temi trudnościami uporam. Tak się też stało. Mój pierwszy list angielski (kupiecka korespondencja angielska jest zdaje się najłatwiejsza), napisałem samodzielnie w ten sposób: z pomocą najlepszego słownika niemiecko-angielskiego zasiadłem do tegoż listu o godzinie 8¹/₂ wieczorem, a skoncypowałem go o godzinie 4 w nocy. Trzeba wiedzieć, że przedtem przypadkowo w Poznaniu nauczyłem się zaledwie kilka słów angielskich, nieco deklinacji, naturalnie poza szkołą. Nasz prokurent, któremu list ten do oceny przedłożyłem, znalazł tylko 4 błędy. Radość moja stąd była duża. Ponieważ przyjął mnie szef próbnie na jeden miesiąc, po miesiącu wynurzyłem prokurentowi obawę o dalszy swój los. Uspokoił mnie. W biurach naszych trwała praca od 8¹/₂ do 12, od 1 do 6. Niedziela była całkiem wolna. Taka zmiana zwolniła mnie z pęt dotychczasowych. W poprzedniej bowiem firmie pracowało się rzeczywiście w pocie czoła, mianowicie wieczorami w niskich biurach, przy świetle gazowem od 8 do 1, od 3 do 10 i 11, a w niedzielę od godziny 10 do 2, nawet do 4 popołudniu i nigdy się nie zjadało wieczerzy prawidłowo. Dziaki głód pochłaniał żer. W dodatku samemu się przyrządzało u siebie wieczerzę. Stąd moje ustawiczne niedomagania żołądkowe, stąd stale liche sen i szarpanie nerwów wyczerpującą pracą biurową. A przecież szef i prokurent byli to ludzie, z którymi żyłem niemal w przyjaznych stosunkach. Ich wytężona praca była nam przykładem. Prokurent miał tę wstrętą przywarę, że załatwianie rozległej korespondencji rozpoczynał o 7¹/₂ wieczorem. Naliczyłem raz 47 listów

wieczorem napisanych przez siebie, wszystkie odmienne w treści. Nie dziw więc, że nagle przy pracy spuchła mi górna część przegubia prawej ręki. Musiałem zaniechać pisanania na 3 dni. Przed południem samem 4 urzędników bezustannie było w ruchu na pobliską pocztę, ciągle z depeszami na saletrę i t. d. Wieczorem olbrzymia korespondencja.

Wskutek tak wytężonej pracy do roku 1890 włącznie nie zdołałem się zajmować niczem innym w życiu.

Wracam do firmy Minlos Breuer & Co. Rajem, mimo wielce odpowiedzialnej czynności, była mi od lutego 1891 praca w tymże domu eksportowo-importowym. Mój osobisty szef, Breuer, hanowerańczyk, duchem Anglik, wróg Prusaka, tęg, rosły i zgrabny mężczyzna o pięknej głowie, o szlachetnych rysach twarzy, lubo samouk, bardzo inteligentny, władający językami angielskim, francuskim, hiszpańskim w piśmie i mowie płynnie i poprawnie, a nawet i włoskim niezgorzej. Jako chłopaczek przyjął posadę rozwożenia taczka towarów w Kilonji, zamiatania w sklepie i w biurach pod noc, a rano wcześniej przed domem. W Niemczech był zwyczaj rozsyłania na Nowy Rok klienteli życzeń, wtedy przyjmowano do pisanania kopert przygodnych pismaków. Gdy raz chłopaczek, z miotłą w rękę, przygląda się ciekawie tej pisaninie, pyta go szef, czy umie pisać. Chłopiec potwierdza to. „No, to napisz kopertę”. Zgrabna kaligrafja chłopca, nabyta w wiejskiej szkółce, zrobiła go odrazu uczniem. Gdy uciulał sobie mozolnie 70 marek, wyruszył do Nowego Yorku i szybko znalazł posadę w wielkiem przedsiębiorstwie spedycyjnem firmy G. Amsinck & Co. Już umiał doskonale po angielsku i hiszpańsku. Odwiedza raz firmę G. Amsinck & Co. Roberto Minlos z Maracaibo z tem, że potrzebuje dzielnego pomocnika, znającego języki. Amsinck poleca mu, jako dobremu swemu klientowi, gorąco tegoż Breuera i zwalnia go natychmiast, po omówieniu warunków z Minlosem, bardzo się uśmiechających młodzieńcowi. I ten samouk dążliwy,



Hamburg, rok 1893

inteligentny wznosi pospołu z Minlosem potężny gmach handlowy w południowej Ameryce, rozpoczęty z kapitałem 25 tysięcy dolarów przez Roberto Minlosa w r. 1865, a rozbudowany jako Minlos Breuer & Co., towarzystwo komandytowe z kapitałem zakładowym 32 milionów dolarów w r. 1891. Odtąd Minlos stał się komandytystą z kapitałem 10 milionów marek i ster zdał w ręce Breuera.

Już po kwartalnym pobycie u tejże firmy uzyskałem na dalszy okres najzupełniejszą swobodę osobistą. Codziennie wolne chwile zużywałem to na poznawanie Hamburga, na przechadzki po przepięknych okolicach małej i dużej Alstery, to na łączenie się z Polakami.

Od r. 1891 zaświtała w nowym przedsiębiorstwie poraz pierwszy w karierze mej kupieckiej swoboda czasu, a przede wszystkim cała niedziela była wolna. Więc duch młody mimo wyczerpania fizycznego szukał czegoś dla siebie. Poczęło się żyć towarzysko w szczupłych ramach życia polskiego w Hamburgu, w czym jednak zawsze byłem nieco powściągliwy o tyle, że nie łatwo się oswajałem z otoczeniem.

Równocześnie we współzyciu z obcymi — nie Polakami — rozpoczęła się dla mnie nowa, niezaznana dotąd era. Szef mój bowiem, w czasie biurowej swej pracy, od godziny 9 do ½6 bez przerwy zajęty, bez herbaty, tylko ciągle palący cygara, będąc szalenie wymogliwy w każdym kierunku, sam pierwowzór tęgiej, znoјnej pracy — poza biurem był gentelmanem całą swą istotą. Przytem obok prokurenta, bardzo zdolnego i tęgiego współpracownika, cenił mnie i nawet lubił z całego personau (78 osób) najwięcej. Co tydzień raz, czasem dwa razy zasiadaliśmy w znakomitej operze hamburskiej w łoży szefa, bywaliśmy u niego na śniadaniach, obiadach, grywaliśmy taniego skata. Szef, choć multimilioner, nie lubił przegrywać, przeto w późniejszych latach, kiedy już stale chorował, pozwoliliśmy mu zawsze wygrywać, z czego się cieszył. Zapraszając nas obu, a po ożenku prokurenta, mnie samego do siebie, kładł na

biurku 3 cygara hawańskie, a w domu podejmował coctai-lem własnoręcznie sporządzanym. Co roku raz obdarzał mnie jajami krokodylowymi, których jednak nigdy nie jadłem. Posiadał willę nad Alsterą — Aussenalster — wspólnie wewnątrz urządzoną. Jeden pokój był wyścielony kosztowną porcelaną z zegarkiem w niej, całkiem niewi- docznym. W innym pokoju płały w fontannie duże ryby, wśród nich nawet sterlety, najdoskonalsze z ryb. Żona, typowa Hiszpanka, była wesola i żywa, zawsze jeszcze piękna, mimo, że miała dorosłego już syna i 3 dorosłe córki, słynące wtedy w Hamburgu jako piękne typy kobiet o przystojnych figurach, o wspaniałych ruchach, przytem bynajmniej nie zarozumiałe, raczej naturalne, skromne, szczerze i życzliwe. Szef wydawał rocznie około ¼ miliona marek na dom, posiadał rasowe konie wyjazdowe, których osobiście w czasie biurowym nie używał ani razu; zaprzęgano je tylko do teatru, na przechadzki, na wizyty. Gości miewał stale z całego świata, a zwłaszcza z Ameryki południowej i północnej. Drugi nasz szef był Duńczykiem, żona jego Angielką. Tam panował w życiu potocznym niepodzielnie duch i język hiszpański, tu sztywny angielski. Drugi szef, to typ całkiem odmienny. Rzecz jasna, że był kupcem całą parą, a lubo wobec każdego postępował z wielką swobodą gentelmana, jednak w stosunku do swego kolegi w wielu względach pozostawał w cieniu. Breuer był bystrzejszy, przytem bardzo rozmowny, dowcipny, czasem cięty. W stosunku do podwładnych obaj panowie byli nawskroś sprawiedliwi, niepomierne życzliwi, zawsze okazujący dla nich przyjazne wprost uczucia. Szef, lubo protestant, stale bywał w kościele katolickim (Kleine Michaeliskirche) z żoną i dziećmi na nabożeństwie, stojąc tuż przy kruchcie, nigdy nie wysuwając się naprzód. U siebie, mianowicie z początku, gdy żadnego nie znałem gościa, odznaczał się wobec mnie niezwykłą uprzejmością, przy stole, gdy byli goście, zawsze siadać musiałem obok niego. Mawiał przytem, że inni znają się wzajemnie dobrze, że my w dwójkę sobie po-

gawędzimy. Gdy nie było gości, miałem przy stole zawsze dwie córy obok siebie. Nadzwyczajna ich uroda krępowała mnie, mimo swobody, z jaką one odnosiły się do wszystkich, a więc i do mnie. Pierwsza moja wizyta u szefa była taka. Jest wczesne południe wigilijne. Szef, wybierając się do domu, pyta mnie, czy mam rodzinę w Hamburgu, co pocznę we wilję. Powiedziałem, że nie mam rodziny, że pójdę do „Ratskeller'u”. Wie pan, mówi on, niech pan się w domu przebierze i spędzi z nami wilję. Pani domu wręczyła mi na wstępie drobny podarek. Odtąd każde święta, każde imieniny, Sylwestra i t. d. spędzałem u szefa, o ile nie musiałem wyjątkowo odmówić dla innej wizyty. Wieczory te były nadzwyczaj miłe, gościnność duża, wina pito przytem niewiele. Na te wieczory zapraszano wirtuoza fortepianistę. Jedzenie było wykwintne, nie za opulentne. Tylko do ostryg nie umiałem się przekonać.

Szefowi mojemu musiałem raz udzielić jakoby lekcji o Polsce, o jej geografji i historii. Był bardzo pojętnym. Później gościom swoim wykladał na mapie o Polsce.

Mimo, że w biurze wykonywałem wszystko należycie, szef w pierwszych latach, rzadka coprawda, pobudzał mnie do jakiejś korektury w pracy. Czynił to w ten sposób, że kiedy tu i ówdzie nasze domy amerykańskie wykazywały jakieś usterki hamburskiej centrali w obliczeniach ogromnie rozległych, szef w dniu poczty z Ameryki, wyszedłszy z prywatnego pokoju, wprost do mnie odnosił się z naganą, lubo nic a nic osobiście nie zawiniłem. Miałem atoli przeszło 20 ludzi z personálu pod swoją dyрекcją; za ich to przewiny owe nagany. Gdy raz szefa o taki apel, wyłącznie ku mnie skierowany, uprzejmie zainterpelowałem, odrzekł, iż nie mnie dotyczy jego krytyka, tylko mego personálu, który, słysząc to, ma się poczuwać osobiście do odpowiedzialności, a ja po każdej takiej poczcie mam osiąść tem większą słusność ganienia jego błędów i przewinień. Gdym szefowi powiedział, że nie umiem silnym gniewem wyrazić

niezadowolenia wobec personálu, doradził, bym sztucznie się gniewał. Nabrałem w tem ostatecznie wprawy.

Przez 7 lat mego pobytu szef ani nikt inny nie rewidował kasy ni razu; w ostatnich 4 latach nie spotkał mnie ze strony szefów najmniejszy zarzut; codziennie w księgowości i w pracach byłem à jour; praca, lubo bardzo odpowiedzialna, była mi zawsze arcymiłą. Z kolegami, których było 78, żyłem zawsze w najlepszej harmonji. Raz tylko ucznia, syna senatorskiego, skarciłem silnie słowami. Na to przybył ojciec senator do szefa ze skargą. Wyjaśniłem wszystko, a syn musiał mnie wobec szefa i ojca przeprosić.

Gdy szef mój oddawał mi syna swego, jedynaka, skończonego prawnika, jako ucznia, żądał, abym nie miał dlań żadnych szczególniejszych względów, tylko traktował go narówni z innymi. Jeżeliby wyjątkowo miał razem z ojcem jechać do domu, musiałby mnie zawsze wcześniej o zwolnienie prosić.

Mieliśmy olbrzymie biura, całkiem w mahoniu, w t. zw. Admiralitätshof. Był nakaz szefa, aby z wyjątkiem jednej szuflady, wszystkie biurka były niezamknięte na klucz, by szef mógł je podczas godziny obiadowej swobodnie przeglądać. Czynił to wszakże wyjątkowo. We wszystkiem urządzeniu w biurze, w pulpitych była idealna wprost wzorowość i ład. Nikt, nawet prokurent, nie śmiał się spóźnić choćby o pięć minut. Szef mój nigdy nie wyzywał, lecz najspokojniej krytykował błędy, pomyłki. Bezwzględny był natomiast, gdy się natknął na niedbalstwo.

Do południowej Ameryki wysyłaliśmy co rok kilku młodych, zdrowych, zdolnych ludzi na praktykę do kolonij. Szef każdego egzaminował bardzo ściśle. Każdy podlegał badaniu swego i osobno naszego lekarza. Przed wyjazdem wskazano każdemu, że w stosunku do kobiet należy być jak najdalej powściągliwym, a alkoholu używać jaknajmniej. Zboczenia w jedną lub drugą stronę nabawiały żółtej febry i szybko powodowały niechybną śmierć. Angażowano na dobrych warunkach na 2 lata, z tem, że wrócić można było

za rok za zwrotem kosztów. Nikt jednak nie wracał. Pensja była duża, wymagania co do kwalifikacyj również duże; żyło się towarzysko i jakby w pensjonacie ze wszystkimi swobodami, wygodami. Był wszelaki sport, gra w tenisa i t. d. Ale istniały także przeróżne niebezpieczeństwa, najgroźniejsze — żółta febra, kto nadużywał — nie uchronił się od śmierci. Pomocnik zdolny, sumienny zostawał po 5 latach prokurentem, a przy nieustającym ogromie ruchu handlowego umiejętny młodzieniec mógł na jakiejś wielkiej kolonii handlowej szybko dobić się szefostwa. Prokurent otrzymywał 1%, szef II. rangi 3%, później 5%, szef I. rangi 8, później 10%, szef główny, w Ameryce jeden tylko, 17%, dwaj szefowie hamburscy również po 17% z czystego rocznego zysku. Pracując 15 lat w Wenezueli czy Kolumbji mógł taki pan wrócić z poważnym kapitałem do Europy na wypoczynek.

Nadmieniam, że w zakres naszego działania szło także budowanie okrętów. Nasz inżynier z Wenezueli stale w Europie nadzorował budowę okrętów, później po 2 jazdach próbnych w Ameryce, znów wracał do Europy. Wojny i ciągle rewolucje w Wenezueli, czy w Kolumbji powodowały, że rebeljanci zabierali nam okręty na czas niepokoju. (Raz szef mój, pracując jeszcze w Ameryce, nie chciał dobrowolnie oddać okrętu w ręce rewolucji, za co mu groziła śmierć, której uniknął, przesiedziawszy przez dwa dni i dwie noce, ukryty gdzieś na drzewie, przywiązawszy się do gałęzi, by w śnie nie zlecieć. Nocą dzikie zwierzęta niepokoiły go niesłychanie, tak, że sypiać nie mógł ani minuty.) W Ameryce budowaliśmy własnym kosztem koleje, które potem przejmował rząd. Co tylko Wenezuela i Kolumbja produkowały, co tylko potrzebowały, przechodziło w olbrzymim odsetku przez ręce naszej firmy. Jak już zaznaczyłem, w r. 1896/7 Niemcy w eksporcie, przez nasze ręce, zdolali już zdobyć przeciw Anglii dominujące stanowisko. Dla Anglii zaś i Francji pozostało tylko to, czego w Niemczech nie produkowano. Na każdy bez wyjątku artykuł przemy-

słowy Niemcy zaginali parol, posługując się wszędzie swymi sprawnymi konsulatami, sposobnemi do wszystkiego. Fabrykaty tylko początkowo nie dorównywały angielskim, były częściowo tandetne, za to były Anglię taniością i usuwały ich konkurencję bewzględnie.

Pewnego poranku odwiedziło mnie dwóch eleganckich panów z Kongresówki w biurze. Poprosiłem szefa o zwolnienie mnie na popołudnie, dał je zaraz. Objechałem z gośćmi specjalnym wozem objazdowym, firmy Käse, za 3 marki wszystkie ciekawe punkty Hamburga. Przy tych oględzinach dotykaliśmy różnych tematów. Jeden z tych panów, M. Dąbrowski z Opola w Lubelskiem, ziemianin, dyrektor cukrowni, drugi również ziemianin, nie pomnę jego nazwiska. Zjedliśmy razem obiad, wieczorem byliśmy w teatrze. O mnie dowiedzieli się ci panowie podczas koncertu w ogródku. Rozmawiali dość głośno. Obok siedziało małżeństwo żydowskie. Żydówka, szalenie zainteresowana tymiż panami, skłoniła męża, do zawarcia z nimi znajomości. Pochodziła z Warszawy i mówiła pięknie po polsku. W toku rozmowy wywiadywali się goście o Polaków w Hamburgu. Przypadkowo poznali mnie owi żydzi na koncercie, urządzonym na rzecz artystki Jankowskiej, na który proszono także obcych, by nieszczęśliwej udzielić jaknajso-
witszej pomocy pieniężnej.

Mimo, że firma Minlos Breuer & Co. dotowała mnie hojnie, tak, iż w końcu pobierałem 5 400 mk. rocznej pensji, ciągle zdążałem do samodzielności. Już przed r. 1891 założyłem z Kazimierzem Grabowskim na spółkę skromne przedsiębiorstwo wysyłkowe. Ja dawałem pieniądze i wskazówki, Grabowski załatwiał zakupy i ekspedycję. Początek był niezły, ale rozkochany później Grabowski coraz więcej zaniedbywał sprawy. Więc zerwałem z nim i zaniechałem dalszych wysyłek. Później jednak założyłem, zdaje się w roku 1896, dom komisowy pod własną firmą. W nim działałem (przy współpracy czterech pomocników Polaków) wieczorami tylko i podczas giełdy. Zdobyłem

stosunki handlowe, mianowicie w Kongresówce, Krakowie, Poznaniu, częściowo w Ameryce południowej z tamtejszą Polonią i słabsze w Nowym Yorku, Chicago, Buffalo i t. d. Do Piotrogradu wysyłałem pomarańcze i cygara okrętem, raz nawet na dwór carski. Nie było to zupełnie w porządku w stosunku do mych szefów. To też w początku roku 1897 jakiś „pocziwina“ Polak w liście anonimowym „dobrze“ mnie opisał. Szef, oddając mi to pismo, zgóry zaznaczył, że ma do mnie największe zaufanie, że uznaje moją pracę w pełni. Wyjaśniłem mu sprawę, czego wcale nie pragnął. Na tem się oszczercza denuncjacja skończyła. Nie wywołała żadnych skutków. Wiedziałem z doświadczenia, że wszędzie się ma „dobrych“ przyjaciół. Biuro własne naturalnie zatrzymałem, i szef zgodził się na to gładko.

Kupiec hamburski odznaczał się stale pracowitością nawet w niedzielę, stary typ kupca nie umiał się dostosować do żadnych nowatorstw. Znałem kupca, któremu życie w biurze było wszystkim. Miał lat 82, był ciągle w ruchu, pracował aż po noc uciążliwie jako szef wielkiego przedsiębiorstwa. Nie uznawał elektrycznego oświetlenia w biurze, nie cenił mebli, wszystkie były aż nadto skromne, nie dogadzał sobie w niczem, odżywiał się, jakby nie starczyło na coś lepszego. Telefonu nie zaprowadził. Mimo to świat handlowy ceniał go, uznawał i szanował.

Inny, niesłychanie zabiegliwy kupiec, posiadał przy ubocznej ulicy nieruchomość w podwórzu, do której prócz wyrobnika i służącej-kucharki przez cały rok nikt nie miał dostępu, nawet listowy. Biuro załatwiało wszystko. Kto obok tej posiadłości przechodził, widział tylko bardzo długą stajnię z frontu, o szybach zatłuszczonych, lecz całych, tylko nie przepuszczających żadnego światła. Każdy, kto go znał, uważał go za skończonego dziwaka, ba — nawet warjata. Jedną miał słabość ten pan. Latem podróżował kwartał lub nawet 4 miesiące. Znał dużo świata. W największej tajemnicy nabywał, okazując szerokie znanstwo

sztuki, obrazy najcenniejsze, inne wspaniałe zabytki sztuki i antyki i wszystko gromadził z podziwu godną starannością i umiejętnością. Wtem umarł cicho. Na pogrzebie nie znalazł się prawie nikt. Szybko zapomniano o nim całkowicie. Ale testament odkrył ludziom cudowny świat typowego miłośnika sztuki, znawcę jej, pierwszorzędnego i najlepszego obywatela. Jego stajnia to tylko zasłona. Za nią ukrywał się ogród piękny, niezbyt duży, w nim stała zgrabna 2-piętrowa willa, dość obszerna, wypełniona wyłącznie dziełami i arcydziełami sztuki. Wszystko szlachetny ofiarodawca — nazywał się, o ile pamiętam, Schulte — darował miastu. Dar ten, jeden z najcenniejszych, Hamburg przechowuje pieczołowicie w okazałym miejskim muzeum, zupełnie oddzielnie, jako muzeum Schultego.

Elita umysłowa kupiectwa hamburskiego to senatorowie, zazwyczaj właściciele wielkich domów eksportowych. Jest zwyczajem senatora, iż tylko urzędowo jedzie elegancką kareta, z tyłu wtedy stoi odświętnie ubrany służący. Tak samo żaden, nawet najbogatszy kupiec hamburski, nigdy do biura swego nie wybiera się własną kareta, nigdy nią nie wraca, mimo, że mieszka w swej wspaniałej willi, często bardzo daleko od swego biura. Tych pojazdów czy senator, czy inny znamienity kupiec używa tylko do prywatnych zajęć, przeważnie z rodziną: do teatru, na przechadzki. Elita hamburska lubi teatr, koncert, często jednak uczestniczy w nich z konwenansu tylko. Taki patrycjusz jest nieraz ambitny a więcej dumny, mało dostępny, mianowicie w życiu towarzyskiem. Lubi gościnność. Zwyczajem było, że bogate rodziny spotykały się, po przejażdżce arcypiękną okolicą, w Blankenese nad Łabą w słynnej restauracji ogrodowej Jacobiego o wspaniałej panoramie z góry parku. Wyborowe cygaro pieściło nos smakosza po wytwornej uczcie.

W Hamburgu patrycjusze kupieccy to odrębny świat, do którego dostęp był bardzo trudny. Przez obu swych szefów miałem łatwość korzystania z dostępu do różnych

domów patrycjuszowskich i poznania wybitnych ludzi nie tylko ze świata handlowego. Nie wyzyskiwałem tej sposobności zbyt. Krępowałem się tem, że należało się bardzo starannie ubierać, być samemu wybitnym samodzielny kupcem, znanym człowiekiem. Mimo, że traktowano mnie zawsze na równi z całym towarzystwem dobranem, szczerze do siebie zapraszano i sympatycznie podejmowano, nigdy nie czułem się swojo, mianowicie, gdy chodziło o wykwintne panie. Cenne bukiety, w teatrze wyśmienite cukry i jeszcze inne wydatki nie konwenjowały mi jako realisćie, przylepionemu przypadkowo do bogaczy. Mogłem się być bez wielkich nawet trudów zająć jaką brylantową kobietą, starać się o jej wzajemność, ożenić się z nią. Ale na utrzymanie takiej żony, wobec jej wymagań życiowych, przywykłej do wytwornego życia, cóż znaczył jakiś tam parafjanin. Już z tego względu nie wspinałem się nigdy. Pozatem narodowość odgrywała rolę dominującą. Mogłem nawet przy takiej sposobności zostać spółnikiem handlowym, ale to było wydarzenie dość rzadkie. Skromny zresztą szef mój, gdy zamiejskowy oficer pruski starał się o rękę córki, pytaniem, czy może utrzymywać stale ekwipaż dla niej, załatwił sprawę szybko.

Bądź co bądź kojarzenie się z tym nowym dla mnie światem patrycjuszowskim otworzyło przed memi oczyma rozległy, bardzo ciekawy horyzont. W salonach pojmo- wano to życie poważnie, poruszano stale najciekawsze zagadnienia. Banalność rozkwitała tylko przy tańcach. Tańczyłem i ja, ale Angielki nie umiały mnie nigdy rozgrzać. Umiałem pisywać listy angielskie, lecz rozmawiać po angielsku nigdy, tem mniej gdy chodziło o konwersację z damami.

W owe czasy każdy patrycjusz hamburski bez wyjątku władał doskonale językiem angielskim, boć Hamburg wyrósł do potęgi głównie dzięki rozrastającym się coraz więcej stosunkom handlowym eksportowo-importo-

wym z Anglią i całym światem. Hamburg miał ongiś dla Anglii zawsze wielką cześć i jakoby synowski szacunek. Nie jeden hamburczyk w przeszłym wieku mówił lepiej po angielsku niż po niemiecku, przytem każdy patrycjusz, każdy kupiec hamburczyk władał doskonale językiem dolnoniemieckim (plattdeutsch), przeciętnie lepiej niż górnoniemieckim. Później anglomanja zwolna traciła na walo- rach, dziś już nie istnieje.

W ogólności poza kupieckością i dużą znajomością języków był wtedy Hamburg wybitnie zasklepiony, ciasne ogarniający horyzonty. Nie mówię o elicie hamburskiego kupiectwa, w niejednym kierunku zresztą także bardzo jednostronnie i ciasno myślącej.

Ogół kupiectwa hamburskiego w latach mego pobytu w Hamburgu zaznaczał swe istnienie jedynie zainteresowaniem się sprawami handlowymi, a eksportowo-importo- wami na czele. Czy starszy czy młodszy kupiec usta- wicznie tylko mówił i myślał o interesach. Każdy mło- dzik starał się o zdobycie obcych języków, by sobie przez nie ułatwić byt, zdobyć lepsze stanowisko. Każdy starał się wszelkimi sposobami o to, by się jaknajwcześniej usamodzielnąć, choćby w wieku lat 20.

Młodzież kupiecka w Hamburgu nie miała umysłowo dalekiego zasięgu, a politycznie trzymała się jednego pisma codziennego, które abonowała i czytała zapamię- tale czy w domu czy w tramwaju, który na jednej linji zimą ogrzewano. Niejedne przestrzenie tramwajem do domu były długie, niemal na trzy kwadransy. Tak po- lotnie rozmawiać o wszystkim i o niczym, jak typowy warszawiak, żaden nie umiał; jakaś sztywność angielska cechowała wszystkich. O poruszanie ogólniejszych za- gadnień przeważnie nie chodziło. Młody kupiec ham- burski był bardzo skromnym na tym punkcie, nawet ciasnym. Słaby polityk i zawsze jednostronny, więc nie warto było z nim walczyć. Duchowych wyższych pragnień

nie zaznawał. Nie lubił się popisywać. Poważna rozmowa na tle handlowem była mu najmilszym pokarmem.

Dzięki polityce liberałów, którzy Bismarckowi szli na rękę, mimo wszelkich innych z nim przeciwności, dalej dzięki cłom ochronnym i olbrzymiemu nakładowi wysiłków, specjalnie Hamburga, by eksport i import jak najpotężniej podnosić i w świecie całym jak najwyższe osiągnąć zdobycze, rozwój hamburskiego emporjum handlowego dokonywał się nadzwyczaj szybko i bardzo silnie, prężąc kupiectwo hamburskie umysłowo, nawet fizycznie, do najwyższego stopnia.

Jednym z najważniejszych czynników w życiu kupca hamburskiego była giełda, o którą się każdy ocierał. Giełda owa to istny ul, gadanie, latanie, targi, nawet kłótnie, wszystko w tempie przyspieszonym, jakoby telegraficznym, wszystko o wysokim napięciu umysłów, szarpanie nerwów. Żaden kupiec, nawet milioner, nie chciał się spóźniać na giełdę, by nie zapłacić za spóźnienie się 25 fenygów kary, kupiectwo w całych chmarach, w ostatniej chwili, ostrym krokiem lub nawet biegnąc sunęło ku progom giełdy i wciskało się wprost gwałtownie do gmachu giełdowego. Akcja ta obcemu wydawała się bardzo śmieszną, ale charakteryzowała oszczędnego kupca, ceniącego punktualność i pieniądz.

W danym okresie Hamburg ludnościowo rozwijał się ogromnie, budownictwo we wszystkich punktach miasta kładło kamienie węgielne, zwalano całe dzielnice starego miasta, służące przez wieki jako śpichrze. Były to budynki typowo portowe w najgorszym stylu, raczej bezstylowe, częstokroć obrzydliwe, w samym środku miasta. Ale i ulice mocno przeludnione padły ofiarą. Na miejscu starej powstała nowoczesna Steinstrasse, nieco krótsza od ulicy Święto Marcińskiej w Poznaniu, mieściła przedtem przeszło 40 000 ludności. Od frontu tej ulicy wiodły przydługie ganki niskie i bardzo wąskie, tak, iż mieszkaniec musiał się przyprzeć do ściany, gdy inny przechodził

— ku szalenie ciasnym podwórzom. Po obu stronach podwórza sterczały trzy- i czteropiętrowe domy. Podwórza, raczej ganki podwórzowe, były stale ciemne, i zaduch w nich panował wiekuisty i nieznośny. Przy przeprowadzkach stale windowano meble, choćby drobne, przez frontowe piętra, nawet dla nowych lokatorów w tylnych częściach domów. Schody były tak miniaturowe i skromne, że tylko młodzi umieli nimi wchodzić i schodzić, starsi posiłkowali się linami.

Komisja choleryczna podczas 4-miesięcznego grasowania cholery w Hamburgu w r. 1892, docierała do tych nor, do tych piętr zabrudzonych, po schodach połamanych z największym mozołem, nieraz z niebezpieczeństwem. Cholera wtedy zagarnęła 14 000 ludności, dzięki temu, że bogaty, wszechmocny Hamburg nie zdobył się na filtrowanie wody z Łaby, noszącej stale zarazki. Było tak, że strona hamburska ulicy miewała dziennie moc trupów, a druga strona tejże ulicy, altońska, objawiała zwykłą śmiertelność. Kto wtedy pijał wodę łabską — znikał ze świata, kto jadał ogórki, owoce, tego sprzątała cholera w parę czy kilka godzin. Od sierpnia do października wszystkie dorożki były zarekwirowane dla chorych cholerycznie i dla zmarłych. Padali ludzie na ulicach, na schodach. Hotele były puste, do Hamburga nikt nie odważał się jechać. Wszystkie odchodzące listy desinfekowano. Ku ochronie pito koniak. Wskutek tego były dni, w których żadnej butelki koniaku w Hamburgu nie było można wydębić. Lyczol miał odbyć nadzwyczajny, wszyscy mieszkańcy musieli go przy myciu przed każdym jedzeniem używać. Sam imaginowałem sobie codzień, że cholera mnie się ima, bo mi żołądek ciągle burczał. Gdy jakaś młoda dama przechodziła koło mnie, oddmuchała ode mnie bakcyle choleryczne, tak jej się zdawało. Śmiałem się z tego. Wóz z trupami przewrócił się na moście, 11 trupów wpadło do wody. Jakież nieporządki! W szpitalach każdy zmarły dostał na piersi numer. Oddzielano starannie trupów od żyjących. Moja znajoma, młoda

Polka, leżąc w takim szpitalu, widziała, jak odniesiony już do oddziału trupów osobnik się podniósł. Panika wtedy trwała wielka i rosła jeszcze wskutek niewłaściwości zarządzeń władz i z powodu dość częstej niezdarności i nie dbalstwa funkcjonariuszów. Hamburg, wystraszony, gwałtem budował potężne filtry. Nie wszystko złoto, co się świeci. Hamburg niesłuchanie tu zawinił. W czasie cholery jakiś pastor zjawiał się w domu dobrych swych znajomych, by pocieszyć żonę po zmarłym mężu. Jakież objęło zdumienie obojga, gdy niebawem nieoczekiwanie ukazał się mąż we drzwiach, całkiem zdrowy.

Tam oto, gdzie poprzednio sterczały wstrętne architektonicznie budynki i najbrzydsze rudery, Hamburg wystawił wytworne gmachy handlowe, istne pałace. Ongiś Alstera, dopływ Łaby, stanowiła w samym środku starego miasta, rozległe bagnisko. Na jego miejscu powstały wówczas 2 duże baseny o znacznym dziś ruchu pasażerskim i sportowym; oba są ozdobą miasta, tem większą i wspanialszą, że obramowanie Aussenalstery jest artystycznie przeprowadzone. Wokół niej bowiem wznoszą się romantycznie pyszne wille, każda w innym stylu, otoczona drzewami i trawnikami, spływającemi swobodnie ku wodzie, ku drodze. Różnorodność budowania i artyzm ogrodniczy stworzyły tu dla oka eldorado.

Od czasu założenia domu komisowego miałem oczywiście ze światem polskim największą korespondencję, nawet rozległą. O co mnie pytano? Jakież sprawy musiałem załatwiać? Gdy jakiś przedsiębiorca polski z Poznania poprosił mnie o murzyna, czy murzynkę, podałem mu właściwy adres. Było to moje pierwsze zlecenie.

Wspomnę, że jako komisjonerowi żadne mi się właściwie interesy z b. Kongresówką nie udawały, z powodu braku rzetelności tamtejszych kupców. Dawano próby koni czyny np. z Lublina (Sklep Rolniczy) wspaniałe, nadesłany zaś towar był znacznie gorszy, tak, że ciągle miałem z tem tarapaty i traciłem coraz bardziej zaufanie. Raz przysłano

mi na próbkę za zaliczką z Galicji 1 kilo masła. Cóż kiedy mi szelmy żydy na giełdzie w oka mgnieniu całe kilo zjedli, mówiąc z uśmiechem, że tak wybornego masła jeszcze nigdy nie mieli w ustach. Ich radość kosztowała mnie zaliczkę pocztową. Kiedym otrzymał dużą ilość prób marmuru z Kielc na okaz, niejednym się marmur kielecki bardzo podobał. Chcieli sprowadzić na próbę wagonik, wartości ca. 200 mk. Ale Kielce nie chciały wysłać wagonu bez gotówki zgóry. Więc i ten interes nie doszedł do skutku.

Ponieważ nie było obfitszych kapitałów w interesie i mej osobistej w nim całodziennej pracy, przeto rezultaty bilansowe były skromne. Mimo to i mimo, że w sierpniu 1897 przenieśliśmy się do Poznania na stałe, firmę swą hamburską, już bez zysków, zachowałem aż do r. 1900.

Zakładając pospołu z kupcem Wróblewskim w Wilhelmsburgu sklep kolonialny, chcieliśmy przyjść w pomoc swym siostronom, a przytem dać inicjatywę do zakładania interesów handlowych polskich na obczyźnie. Z kraju sprowadzało się przedewszystkiem na każdą sobotę pyszne wątrobianki z Czempinia od Szukalskiego, rzeźnika. Popyt na nie był niezwykle. Przesyłki dochodziły co piątek, w sobotę rano już nie pozostawało nic.

III.

PRACA SPOŁECZNA ŚRÓD POLAKÓW W HAMBURGU
I WYJAZDY DO KRAJU

Mówiłem dotąd wyłącznie o swej karierze kupieckiej. Poruszę teraz swoje stosunki ze światem niekupieckim, a mianowicie z Polonją. W Harburgu wiodłem życie bardzo skromne, żyłem więcej dla siebie, Polonji z początku nie znałem. Dopiero przez Kazimierza Grabowskiego i Zbigniewa Wilkońskiego, także kupców, poznałem innych Polaków w Hamburgu, a mianowicie w początkach rodziny Szynkowskich (urzędnik cłowy), Leona Wachego, Kazimierza Cichowicza i innych. Odtąd częściej się z Polonją widywałem, a osiadłszy w Hamburgu na stałe, zamieszkałem z Grabowskim. Długi czas przebywałem w małym kółku Polaków, których punkty zborne były rodzina Szynkowskich i kawiarnia Alsterpavillon. Dopiero w roku 1889, podczas hamburskiej wystawy przemysłowej miałem sposobność poznania tutejszego towarzystwa polskiego „Nadzieja”, w tymże roku założonego. Prezesem był naówczas Nikulski. Niezbyt przyjemne zrobiło to towarzystwo na nas wrażenie (z wystawy wyszedłszy kilku nas razem z Szynkowskim było obecnych na posiedzeniu) i mimo zaproszenia prezesa, aby zostać członkami, nikt prośbie nie uczynił zadość. Pomimo niesmaku wskutek owych odwiedzin odtąd częściej zaglądałem na posiedzenia, a mianowicie od czasu, kiedy p. Wł. Szynkowski został prezesem „Nadziei”; a syn jego kasjerem. Dla nich głównie odtąd bywałem na posiedzeniach, sam nie zostawszy dotąd członkiem. Pan Szynkowski miał niełatwe stanowisko, lubo początkowo schle-

biało członkom, że prezesem ich został mąż stateczny i poważny, urzędnik cłowy. Towarzystwo „Nadzieja” składało się dotąd ze skromnych, drobnych rzemieślników, po części bez zajęcia. To też poziom umysłowy a i moralny niestety był niski. Zaslugą było Szynkowskiego wraz z synem, że w towarzystwie zaprowadzili ład i wysunęli je na wyższy szczebel. Niestety nie miał prezes dostatecznej energii, był zbyt dobroduszny, nawet hojny; podchwycili jego słabą stronę ludzie niskiego umysłu i korzystali z sytuacji. Syn Szynkowskiego, Aleksy, zdalny i chętny człowiek, wzorowo spełniał obowiązki kasjera. Nadto dla towarzystwa wygotował przy sztandarze dla „Nadziei” własnoręcznie roboty artystyczno-malarskie. Chorobą cukrową zdjęty, był jednakże gorączkowy i razu pewnego wobec zarzutu niecnego, uczynionego mu przez członka (zdaje się Biedermanna), jakoby sam z kasy towarzystwa za malaturę zabrał pieniądze, uniósł się trochę nieostrożnie. Nieżyczliwi ojcu i jemu podżegacze, do których należeli także jakiś Burkert, Stępkowski i inni, działać poczęli odtąd na własną rękę i przeciw Szynkowskim. Utworzyła się partyjka przewrotu, przeciw której Szynkowski nie umiał użyć swej władzy. Złożył więc urząd, i nie było nikogo, któryby pragnął i mógł zająć jego miejsce. Proszono mnie, ale opierałem się stanowczo. Zgodziłem się dopiero wtenczas, gdy widziałem, że jeżeli ja nie obejmę steru, „Nadzieja” upadnie z kretelem. A przecież zaledwie parę tygodni przedtem, wstępując do Towarzystwa, wyraźnie sobie zastrzegłem, że pozostanę nim tylko pod warunkiem, iż nie będę potrzebował piastować żadnych urzędów. Nie chciałem jednakże, aby liczna Polonja w Hamburgu — około 3 000 — nie posiadała żadnego towarzystwa.

W jesieni r. 1890 objąłem urząd. Najpierw zaprowadziłem jakiś taki ład i energicznie począłem nawoływać do zachowywania się rzetelnego. Ostro karciełem nieczne intrygi. Świetnie się naprawiły stosunki, towarzystwo wzrastało, kasa i biblioteka się powiększały. Cały zarząd był odpo-



wiedni i pracował należycie. Urządzano uroczystości z odczytami, zabawy, poraz pierwszy nawet przedstawienie amatorskie. Ale niestety intryganci nie zasypiali. Uroiło sobie kilku, że jestem za energiczny, że właściwie oni jako założyciele powinni rządzić, nie ja ze swoimi. Nie podobały się im mój cylinder, u innego członka zarządu — binokle. Nadto ruch socjalistyczny zarywał i nasze stosunki, przebąkiwano o założeniu towarzystwa socjalistycznego, do którego miała należeć poważna liczba naszych członków. Gmach naprawiony, widocznie lekko zbudowany, mimo najlepszych chęci psuć się zaczął. Z tem wszystkim nie byłoby jeszcze tak źle, gdyby towarzystwo miało starszego i jeszcze energiczniejszego prezesa, a zarząd jeszcze wzorowszy. Wobec napaści na cylindry i binokle inteligencja młoda — kupcy — trzymała się na uboczu, wkońcu poczęści zupełnie się zniechęciła. Straciłem i ja ochotę do dalszej pracy, widząc za słabe swoje siły i nie chcąc zatruwać sobie nadal zdrowia. Okrutnie mnie gniewało, gdy na niedzielne posiedzenia przybywali członkowie i goście podchmieleni i poczęli robić burdy, a gdy razu pewnego bardzo stanowczo potępiłem takie niegodziwe postępowanie, jakiś Stępkowski, orzekł „co mi tam prezes, ja taki sam mam głos w towarzystwie jak on“. Na tę impertynencję w tej chwili złożyłem urząd, razem ze mną 2 innych panów. Tego się w żadnym razie nie spodziewano. Nie zmieniłem postanowienia, mimo silnych nalegań. Po długich rozprawach obrano na ówczesnem posiedzeniu prezesem Biedermana, a ja wraz z innymi opuściłem salę. Natychmiast zamierzałem założyć inne towarzystwo, i w tym celu zebrało się nas kilku jeszcze w ten sam dzień na naradę. Nie doszło narazie do ostatecznego rezultatu. Moją ideą bowiem było założyć towarzystwo polskie dla robotników w części miasta, gdzie Polacy mieszkali w większym zespole. Chciałem razem z jakimś p. T. działać. Nie miałem jednakże poparcia u innych, którzy pracę dla robotników uważali za bezskuteczną. Nadto o T. rozeszły się wieści, spowodowane jakimiś nie-

dokładnościami w towarzystwie św. Kazimierza (które obok „Nadziei“ istniało czas niejakiś — lecz wkrótce upadło). Wobec tego zaniechać musiałem zamiaru. Już nawet miałem gotowe miano dla nowego towarzystwa: „Kłosy“, napisałem wiersz p. t. „Kłosy“, do którego miało się dobrać melodję. Ale plan nie powiódł mi się wcale.

Wkrótce potem zebrałem kilku panów, którzy byli gotowi wraz ze mną założyć towarzystwo przemysłowo-handlowe. Zwołałem na dzień 9 listopada 1892 r. posiedzenie, na które się stawili 11 panów. Na wstępie przedstawiłem nowe ustawy, na które się zgodzono we wszystkich punktach, jedynie dla formalności miano jeszcze raz omówić je i przygotować tłumaczenie dla władzy. Ukonstytuowało się tedy dnia powyższego towarzystwo przemysłowo-handlowe z nazwą podaną przeze mnie „Kłosy“ i z prezesem Szynkowskim, którego zaproponowałem na ten urząd, lubo tylko przez grzeczność. Sam byłem przekonany, że on za mało się nadaje na to stanowisko, a że nie było prócz mnie kandydata, wysunąłem jego, sądząc, że członkowie mnie proponują z swej strony. Ale tego nie uczyniono; wybór p. S. stanowczo był błędem, w czem przewiniła niezaradność jedynie członków.

16 listopada urządzono pierwsze, dość liczne posiedzenie „Kłosów“. Odtąd co tydzień odbywały się posiedzenia, a towarzystwo miało jakie takie powodzenie. Pan S. wobec policji nie chciał podać się jako prezes, musiałem ja to uczynić. Krok to był wprost niedorzeczny, p. S. niezdatny na prezesa naszego zespołu czuł słabość swoją aż nadto, ale jednak schlebiał mu urząd. Tymczasem był absolutnie nieczynnym, nawet niezawsze przybywał na posiedzenia, tak, że je musiano odraczać, co fatalne sprawiało wrażenie. Ja zaś jako bibliotekarz — nie mieliśmy jeszcze ani jednej książki — nie miałem pola działalności, a zresztą nie chciało mi się działać tam, gdzie prezes pracować nie umiał. Brakło „Kłosom“ życia; na zebrania uczęszczano nielicznie, wkońcu tylko jeszcze prezes S., sekretarz Śmie-

tana i bibliotekarz przybywali na posiedzenia — preferansowe. Wreszcie i to ustało i „Kłosa” zawiesiły czynność na czas nieograniczony. Tymczasem rywale „Nadziei” po moim wystąpieniu dostała „wysmienity” zarząd. Zapanaował bezrząd, obrzucano się ogólnie zarzutami i wyzwiskami, nawet zdarzały się bójki na kije. Prezesem był Biedermann, nauczyciel z zawodu, pochodzący z Poznńskiego, intrygant i pijak. Będąc jednak nieco mędrszy od wszystkich innych, kierował nimi i co chciał, robił. Ale i on, mimo swych starań o utrzymanie jakie takie „Nadziei”, nie mógł zdziałać nic i musiał ustąpić. Obrano prezesem Sokołowskiego, człowieka dobrego, ale nieumiejętnego kierownika, a następnie po nim Łęgowskiego, człowieka uczciwego, ale bez żadnych zdolności. Więc bardzo nikle się wiodło „Nadziei”. Niegdyś miała 60 do 70 członków. Wówczas liczyła ich zaledwie 12-tu. I byłaby ona już dawno upadła, czego żywo pragnąłem, gdyby nie robota Biedermanna, który wszelkie dobre chęci innych podkopywał, aby samemu być wszystkim. Nie pragnąłem zgonu „Nadziei” w zamiarach samolubnych, nie, aby „Kłosa” na jej zgłiszczach szumiały, nie wskutek nieżyczliwości, ale jedynie z praktycznych pobudek. Wiedziałem ja i każdy inny, że „Nadzieja” straciła soki żywotne, że dezorganizacja popsuła wszystko, że póki ona istnieje, póty będą tam odgrywali rolę tacy Biedermannowie i inni podbechtywacze. Absolutnie mi nie zależało na tem, aby „Nadzieja” pożegnała się na zawsze z nami, owszem, gdybym tylko dla niej widział w jakimś objawie skuteczną możliwość działania, popierałbym tak samo jak „Kłosa”. Nie byłem tak zaślepiony, aby powiedzieć, że „Nadzieja” obok „Kłosów” istnieć nie może, że „Nadzieja” zbyt cenna, jak również nie byłem przekonany, aby działalność „Kłosów”, mimo niektórych zalet, miała jakieś wybitne znaczenie, aby wychodziła poza ramy wszelkich podobnych towarzystw polskich. Mówię ciągle o „Kłosach” jako o rywalu „Nadziei”. Tymczasem powiedziałem poprzednio, że „Kłosa” zawiesiły

czynność na czas nieograniczony. Otóż przeskok ten muszę wytłumaczyć. Niezawodnie, zanim o „Kłosach” jako o rywalu „Nadziei” wspomniałem, powinienem był powiedzieć, co następuje. Gdy p. Sokołowski dowództwo „Nadziei” oddał w ręce p. Łęgowskiego, „Nadzieja” stała się beznadziejną, a ponieważ garstka Polaków z „Nadziei” chciała coś lepszego niż „Nadzieję”, przeto p. Sokołowski uprosił mnie do założenia nowego towarzystwa. Niebardzo wierzyłem w całą sprawę, zwłaszcza, że mało było kandydatów na członków. To też nie chciałem inicjatywy wziąć w swe ręce, ale żądałem, aby 15 kandydatów podpisało się, a natenczas gotów byłbym na ich życzenie zostać prezesem nowego towarzystwa. Zwołałem tymczasem pierwsze posiedzenie, na które przybyło 8-u; wskutek przedwstępnych narad w tym dniu (9 listopada 1893) miało się odbyć dnia 14 listopada nowe zebranie, na którym miałem przedłożyć statuty. Lecz 14-go listopada przybyło tylko 5, tak że straciłem apetyt na taki obiad. Jednakowoż już mnie nie opuściła chęć wejścia znów w kontakt z polskim życiem społecznym i dlatego zaproponowałem, aby, nim utworzymy towarzystwo przemysłowe, ukonstytuowało się kółko śpiewackie. Stało się podług mego życzenia, i lekcje pod batutą p. R. Wiegandta odbywały się odtąd co tydzień. Ale że na kółko śpiewackie nasze siły pod żadnym warunkiem nie wystarczały, a nadto nie mogliśmy się jedynie śpiewami zajmować, przeto dla urozmaicenia zaczęliśmy podnosić sprawę odczytów. Prelegentów zgłosiło się aż 6. Wobec władzy kółko nasze nie było uprawnione do urządzania odczytów, przeto, aby się nie narażać, wyznaczaliśmy osobne posiedzenie celem rozważenia sprawy. Na tem posiedzeniu postanowiliśmy ostatecznie wznowienie „Kłosów” w lutym r. 1894. Zanim dalszy żywot „Kłosów” poruszę, nadmienię, iż tymczasem w Wilhelmsburgu powstało tow. polskie: Ś-go Stanisława Biskupa r. 1892/3 za inicjatywą poniekąd Biedermanna. Pan ten w „Nadziei” miał zwichniętą karierę, więc szukał innego punktu oparcia.

Nie zorganizował on towarzystwa pomienionego z pobudek patriotycznych, lecz w samolubnych celach. Ale bądź co bądź należy mu się za ten czyn podziękowanie, bo stworzył coś bardzo potrzebnego i tego czynu ja mu nie zapomnę. Jako inicjator miał początkowo wielki, niemal jedyny wpływ, z czasem atoli, bądźto, że nie mógł jako urzędnik hamburski otwarcie działać, bądź też, że ludzie, poznawszy się bliżej na jego charakterze, mniej mu poczuli ufać, dość, że z czasem wpływ jego obniżył się znacznie. Towarzystwo wilhelmsburskie odrazu rozwijało się dość pomyślnie, chociaż na 1500 Polaków, w tem 40% kobiet, zatrudnionych w Wilhelmsburgu przeważnie w pralni wełny, powinno było się odrazu zapisać o wiele więcej, niż 50 członków. Z czasem przystąpiło ich więcej do towarzystwa, ale prezes ówczesny nie umiał ująć całości w karby, więzy się rozluźniły, cegiełki odpadały od gmachu. I dopiero, gdy nowy prezes, Landowski, ster objął, miało się znów ku lepszemu. Nastąpiła jedność, bo prezes, lubo niewykształcony, posiadał dużo taktu i umiał się obchodzić z ludźmi.

Tymczasem od roku 1889 coraz więcej napływało Polaków do Hamburga. Powtarzano co chwilę potrzebę postarania się o księdza Polaka. Towarzystwo św. Kazimierza nawet zebrane składki, przeszło 100 marek, złożyło w tym celu u ks. Harlinga, proboszcza kościoła św. Michała. Ks. Harling sam uznawał potrzebę powołania kapłana-Polaka, ale nie chciał lub nie mógł wziąć w tem inicjatywy. Podczas bytności kapłana-Polaka zwołałem do lokalu „Nadziei“, za porozumieniem się z nim i ks. Harlingiem, Polaków na zebranie, w którym obaj wzięli udział. Przemawialiśmy wszyscy do rodaków, następnie zbierałem podpisy, do czego wszystko już było przygotowane. Podpisów zdobyłem około 300, ale to nie wystarczało, tymczasem trudno było się wystarać o dostateczną ilość podpisów, a liczniejszych zebrań nie można było zwoływać. Napisałem tedy w r. 1892 w Wielki Piątek gorącą odezwę w „Kurjerze Poznańskim“, w której wykazałem potrzebę pracy kapłań-

skiej Polaka w Hamburgu i zachęcałem do przybycia. Odezwę tę przedrukowano w rozmaitych pismach galicyjskich; odniosła ona ten skutek, że już w jesieni r. 1892 przybyli do Hamburga ks. Ś. i ks. dr. B. Pierwszy osiedlił się tu stale, ostatni bawił tylko pół roku. Ks. Ś. miał tu wielkie pole działania, rolę wdzięczną; skoroby umiał być dobrym duszpasterzem, rolnikiem, to wśród 5000 Polaków zdziałałby mógł bardzo wiele.

Mój stosunek do niego był z początku bardzo obojętny czyli, że nie obcowałem z nim wcale. Przyczyną był jego kolega B. Odwiedziłem tegoż zaraz po przybyciu do Hamburga; obiecał mi rewizytę za dwa dni, ale nie uczynił tego, co mnie zraziło. Dopiero w styczniu r. 1893 znów się z nim widziałem w „Nadziei“, tam mnie przeprosił i na serjo obiecał powtórnie rewizytę, ale i wtenczas nie dotrzymał słowa. Takiego postępowania nie pojmowałem i ostro je osądziłem, a wobec tego nie uważałem za potrzebne złożyć wizytę księdzu, który zresztą uchodził za mniej podatnego drugorzędnego kandydata. Ks. Ś. zraził się tem i przy niejednej sposobności pohopny był do wygłaszania niesłusznych i niesprawiedliwych o mnie sądów. Jego intryga nierozumna gorszyła mnie niemało; czekałem tylko na sposobność, aby księdza o niewłaściwości jego postępowania przekonać. Bolało mnie i to, że atakował „Kłosa“, jako rzekomo socjalistyczne itd. Grała tu głównie rolę obrażona duma. Nie odwiedziłem go, więc piętnował moją zarozumiałość. Lubo mi się donosy o tem narazie wydawały śmiesznymi, z czasem wywołały u mnie rozgoryczenie, gdyż powtarzał coraz częściej rzeczy niebywale, posądzenia niegodne. Kiedy właśnie powstało kółko śpiewackie, jako początek przyszłego towarzystwa przemysłowego, ksiądz zorganizował towarzystwo rękodzielnicze katolicko-polskie. Odezwa tego towarzystwa do gazet była tak niefortunna i tak mizerna, tak przedstawiająca niewłaściwie stosunek finansowy księdza do Polaków i stanowisko moralne tutejszej osady polskiej, że nie namyślałem się ni chwili, aby zdemaskować

intrygę. Odezwa opiewała, że towarzystwo zakłada się dla księdza, czyli kanonika, jak go nazwano, prosiła o składki na niego, jakby wcale nie wiadano o tem, że ksiądz Polak ma pensję skądinąd zapewnioną; oczerniała inteligencję, jakoby była przeciwniczką zasad religijno-katolickich itd. Na zebraniu koła śpiewackiego, postanowiwszy wznowienie „Kłosów“, wyznaczono przyszłe zebranie za tydzień. Na zebraniu obrano do zarządu na nowo mnie, a nadto innych panów. Na temże zebraniu odczytałem powyższą odezwę i, skrytykowawszy ją, zaproponowałem wybranie delegacji celem pójścia do księdza Ś. i przedstawienia mu śmieszności odezwy. Do delegacji wybrano mnie, prezesa, oraz p. Fajkowskiego, sekretarza „Kłosów“. Urzędowo tedy rzecz przedstawiliśmy księdzu Ś. i skłonili go do odwołania odezwy przez towarzystwo rękodzielnicze. Następnie wykazałem księdzu niewłaściwość krytykowania mojej osoby, której absolutnie dotąd nie znał. Z dziwnym uśmiechem przyjął ksiądz nas delegatów, ale wobec rozsądnego przedstawienia rzeczy później odniósł się do nas z taktem.

Tymczasem odbyła się uroczystość kościuszkowska w „Nadziei“. Udział w niej wzięły towarzystwo św. Stanisława Biskupa w Wilhelmsburgu, „Kłosy“ i Tow. Rękodzielników polsko-katolickich. Podczas tejże uroczystości poraz pierwszy podniosłem myśl złączenia towarzystw, proponując po trzech delegatów z każdego towarzystwa. Sprawa przeze mnie poruszona ogólnie wzbudziła zainteresowanie i spotkała się z gorącym poparciem. Później zwołano pisemnie delegatów na pierwsze posiedzenie celem wspólnego porozumienia się i wyboru zarządu wśród mającej stale istnieć delegacji. Wybrano mnie prezesem delegatów, Tuliszkę, prezesa rękodzielników, sekretarzem, Landowskiego, prezesa z Wilhelmsburga, zastępcą prezesa, zaś zastępcą sekretarza Łęgowskiego, prezesa „Nadziei“. W ten sposób dogodzano wszystkim towarzystwom. W dłuższej przemowie starałem się wykazać potrzebę zorganizowania rozbitych sił naszych i przyrzekłem na następnej posie-

deniu przedłożyć specjalny program naszej wspólnej działalności. Na posiedzeniu tem różni mówcy wyłuszczały swe zapatrywania ze swego stanowiska bądź religijnego bądź narodowego. Ja opierałem się na ostatnim, tak samo członek delegacji Fajkowski. Ostatni niestety niefortunnie poruszył sprawy religijne, a to poruszenie wzburzyło krew i niechętnym podało źródło do nowych knowań i intryg. Kiedy na następnej posiedzeniu delegatów przedstawiłem plan organizacyjny w całości, Tuliszka i Budnowski, członkowie Towarzystwa rękodzielniczego kat. polsk. wystąpili z ostrą krytyką przeciw Fajkowskiemu. Protokół sekretarza zawierał cały stek zgryźliwych i intryganckich uwag. Fajkowski nie był obecnym, gdyż już poprzednio Hamburg opuścił na dobre, więc bronić się nie mógł. Wystąpiłem w jego obronie, ale zgóry ukartowana intryga, podburzała niektórych nieżyczliwych delegatów. Ja bardzo stanowczo broniłem Fajkowskiego, potępiałem oględnie niewłaściwą krytykę, oni zaś w zaślepieniu nie posiadali rozsądku. Powstała otchłań, Towarzystwo Rękodzielników odstąpiło od delegacji, mimo, iż w programie swoim wyraźnie zamieściłem, że wszelka działalność delegatów jedynie na podstawach religijno-narodowych mieć będzie miejsce. Tak świetne dzieło połączenia odrazu doznało silnej porażki i niemal uległo atakowi, bo i chwiejna, słaba „Nadzieja“ nie chciała wziąć w przyszłych obradach delegacji udziału, skoro się „Rękodzielnicy“ nie przyłączą. Ale starania moje nieustannie nie pozwoliły uschnąć latorośli. Gdy i ksiądz udało mi się przekonać, iż koniecznie łączyć się trzeba, miałem nadzieję, że delegacja w komplecie 21-go września rozpocznie dalszą pracę. Podczas zabawy towarzystwa robotniczego „Jedność“ w Schiffbecku zaprosiłem również zarząd jego do wspólnej pracy i na zebranie delegacyjne do Wilhelmsburga. „Jedność“ istniała wówczas od roku, liczyła 23 członków, prezes: Kreitzmann. W Schiffbecku pracowało 200 Polek i 100 Polaków jako robotnicy w Norddeutsche Jute Spinnerei u. Weberei. „Kłosy“ — 9 członków, którzy na

zabawie byli obecni, zachęcali do dalszej pracy, do zgody, do oświaty.

Dnia 15 października 1894 odbyła się popołudniu sesja u księdza Ś. Na sesji tej przemawiał ks. Ś., po nim ja. Chodziło o utworzenie gminy kościelnej polsko-katolickiej. Ks. Ś. dotąd z innymi księżmi katolickimi pobierał od gminy tutejszej katolickiej 1700 marek pensji rocznie oprócz wolnego pomieszkania. Powiedziano mu rzekomo kilkakrotnie, że on tu nie ma właściwie pensji, że sytuacja wskutek długów kościelnych może się zmienić o tyle, że nie będzie mógł dalej liczyć na utrzymanie. Na sesji poruszono myśl, wentylowaną już od dwóch lat, aby ks. Ś. utrzymywali Polacy, ale nie ustanowiono jeszcze narazie nic ostatecznego, otrano tylko zarząd z czterech Polaków, a mnie jako przewodniczącego. Z konieczności przyjąłem ten urząd, lubo mnie nie odpowiadający. Przyjąłem w celu idealnego połączenia tutejszych Polaków pod sztandarem narodowo-religijnym. Moim sztandarem na obczyźnie była narodowość czyli ojczyzna. Jako Polakom wśród Niemców groziły nam stokrotne niebezpieczeństwa w walce plemiennej, dla katolików istniały one w mniejszej mierze. Wobec tego mnie nie katolicyzmu, lecz polskości bronić wypadało. Ale, że u ludu polskiego, narodowość polska i religja rzymsko-katolicka znaczą jedno i to samo, więc zastosuję się do tego pojęcia i na niem oprę przyszłą działalność. Ks. Ś., mówiłem dalej, nie jest uosobieniem ideału, owszem naskroś realistą, materjalistą, jest przytem zarozumiały, ale dyplomatycznie barwi szaty tak, że mało kto go prawdziwie ocenić zdolen. Nie pragnie mieć mędrszego i wyższego nad siebie, stroni od inteligencji, spółzycie z inteligencją uważa za zbyt cenne, bo też i ma po części rację. Do mnie się jednak garnie, widząc, że mimo licznej owczarni wśród najwierniejszych mu niema ani jednego, któryby mu mógł dopomóc w jego samolubnych zamiarach. Chciałby z wszystkich mieć narzędzia, a więc i ze mnie. Wolałbym innego na tutejszem stanowisku księdza, z konieczności jednak godzę się

na niego. On, gdyby mógł, wyparłby się mnie, wie jednakże, z kim się liczyć winien i musi. Jemu chodzi o upewnienie sobie niezależności od nie sympatyzujących z nim księży niemiecko-katolickich, o stanowisko i działanie samodzielne. Nie on się poświęca, tylko Polaczkowie mają mu sprawić dobre utrzymanie i t. d.

Następne zebranie sesji naznaczono na wtorek, 16 października 1894. Przybyło około 15 czyli o czwartą część mniej niż w niedzielę. P. Bielecki przeczytał po zagajeniu sesji obszerną rozprawkę o składkach na księdza, dobrowolnych i innych, ujętą w kilka paragrafów. Pożal się Boże nad tą bezmyślną a tendencyjną rozprawką. Po wysłuchaniu tego arcyśmiesznego elaboratu, świadczącego o samolubnych zamiarach księdza, z pominięciem tego przedmiotu stawilem wniosek, aby zbierano podpisy na to, że się każdy zobowiązuje zapewnić utrzymanie księdzu polskiemu składką roczną w wysokości 1 marki. Gdy w elaboracie mowa była o składce 50 fen. miesięcznie, a więc rocznie 6 marek, mój jednomarkowy wniosek znalazł wprawdzie przeciwników odrazu, ale przekonałem ich o bezpodstawności tak wysokiej sumy. Przyjęto mój wniosek. Potem wniosłem o porozumienie się z ks. prymarjuszem. Wniosek przeszedł. Przeszedł również wniosek mój o udzielanie polskim dzieciom szkolnym nauki religji św. w języku ojczystym, mimo częściowego niezrozumienia go przez zebranych. O ten wniosek księdzu Ś. mało widocznie chodziło. Dorzucił bowiem do niego parę słów odniechcenia.

W tym okresie coraz lepiej poczynano w Hamburgu i okolicy rozumieć potrzebę i doniosłość łączenia się wszystkich towarzystw z wykluczeniem towarzystwa polsko-socjalistycznego w Altonie, które, co prawda, tak samo jak organizacje socjalistyczne niemieckie, nie miało w tym okresie uprawnienia do żadnych zebrań w obrębie Hamburga. Urządzano je wobec tego w sąsiedniej pruskiej Altonie.

Po roku 1894 aż do sierpnia r. 1897 zaznaczały się w Hamburgu żywotnością przedewszystkiem „Kłasy“, towarzystwo św. Stanisława Biskupa w Wilhelmsburgu, Towarzystwo rękodzielnicze w Rothenburgsort (ulica Hamburga). Wilhelmsburg był w zależności kościelnej od Hamburga. Stamtąd dojeżdżał ksiądz — Niemiec, mówiący jakotako po polsku. Kazań jego jednak nie rozumiano. To samo było ze spowiedzią św. Gdy raz kapłan ten podczas kazania zaznaczył śmieie, że kiedy Polacy jedzą chleb niemiecki, powinni się w rzeczywistości czuć jednymi z Niemcami, innemi słowy niemczyć się, na to ja na zebraniu następnem towarzystwa św. Stanisława Biskupa do obecnego owego kapłana powiedziałem: Więc ksiądz przyznaje, że olbrzymie rzesze Niemców, rozsypane po całym świecie i żyjące w skupieniach niemieckich, jedzące np. chleb brazylijski, meksykański, kanadyjski, rosyjski powinny się uważać jako jedność z Brazylią, Meksykiem i t. d., czyli zdradzać swą narodowość na rzecz Brazylii i t. d.? Na to kapłan, gorliwy Niemiec, nie odpowiedział ani słowa!

Tow. „Kłasy“ pierwsze w całej Rzeszy zaczęło przyjmować kobiety na członków. Dwie z nich należały nawet do zarządu, zajmując urzędy sekretarki i bibliotekarki. Obecność ich w Towarzystwie i zarządzie wpłynęła bardzo dodatnio na poziom obrad i sposób odnoszenia się wzajemnego członków do siebie. Przemawiały umiejętnie, pracowały gorliwie na swoich stanowiskach, z czego największą korzyść odniosła biblioteka. Liczniej też zaczęto uczęszczać na zebrania towarzystwa, z ciekawości, jak wyglądały spólrządy kobiece w niem. Największe usługi oddawały w pracy nad dziećmi polskimi, zwłaszcza w okresie organizowania dla nich gwiazdki.

Spółpraca kobiet w „Kłosach“ rozbudziła w Polkach hamburskich chęć do zorganizowania się w osobnem towarzystwie pod nazwą „Wieniec“. Zadaniem tej organizacji było przedewszystkiem wychowywanie dzieci polskich i roztaczanie nad niemi opieki.

W grudniu r. 1895 urządziłem imieniem tow. „Kłasy“ wspólnie z jego zarządem gwiazdkę dla ubogich dzieci polskich. Poprosiłem o poparcie ks. Ś. i ks. Harlinga. Ks. Ś. dośłał nam tylko troje dzieci, ks. Harling znacznie więcej (17). Mienniejsi Polacy złożyli się na ubranka dla dzieci, na orzechy, jabłka, pierniki. Rozpocząłem tę uroczystość dla dziatwy egzaminem. Każde dziecko musiało odmówić pacierz. A było tak. Tylko jedna dziewczynka odmówiła cały pacierz zupełnie poprawnie. Ta otrzymała ubranie, buciki, pozatem pierniki, jabłka, orzechy i przytem pochwałę. Inne dzieci umiały się tylko przeżegnać po polsku, czasem lewą ręką, największa ich liczba знаła tylko pacierz niemiecki. I dzieci i rodzice uważali, że to pacierz katolicki, a więc polski. Ubranka zdobyły tylko te dzieci, które chociażby umiały przeżegnać się po polsku. Wszystkim innym dano tylko pierniki i t. d. Pozatem każde dziecko otrzymało elementarzyk polski z tem, że skoro będzie umiało za rok z tego elementarzyka czytać gładko, otrzyma ładne ubranko. Rezultat: za rok zgłosiło się 38 dzieci, wszystkie znały pacierz polski, wszystkie czytały mniej lub więcej poprawnie ustępy z elementarza. Było nam szalenie trudno zebrać 38 ubranek, zaś towarzystwa dały pierniki i t. d. i pewną ilość elementarzy polskich. Radość dziatwy była niewysłowiona; radowali się rodzice i ofiarodawcy; no i choinka, żarzyła się jasnością.

Zimą urządziły „Kłasy“ obchód Kościuszkowski i Mickiewiczowski z odczytami i wielo urozmaiconym programem. Prócz urzędnika kolejowego Śmietany i mnie, mie wali odczyty na zebraniach „Kłosów“ i innych towarzystw polskich przeważnie warszawiacy. Śpiewami wyborowemi zasłużyły się pp. pieśniarka Zawiszancka, słynna ongiś śpiewaczka operowa, oraz Eleonora Jankowska.

Raz urządzaliśmy zabawę, na którą przybyło dużo osób z lepszych sfer oraz robotników i służących i t. d. Nie tworzyłem w przyjmowaniu gości żadnych różnic, byle byli porządni i nie pili za wiele. Na tę zabawę jakiś rzemieślnik

zaprosił Polaka Etienne, który był już w fazie niemczenia się wraz z całą rodziną. Etienne obawiał się pójść, ostatecznie sprowadził żonę i dwie córki w wieku lat 16 i 8. Sam Etienne, już nieco zobojętniały na polskość, gdy zagrano oberka, tak się rozgrzał, tak zapalił, tak mu nogi spolszczały, że odrazu zaczął z werwą tańczyć; żona nie chciała być gorszą, a córeczkom podsunąłem dwóch wesołych warszawiaków. Starsza córka umiała „doskonale“ po polsku. Na wszystko odpowiadała dowcipnym warszawiakom jednym tylko słowem: „jo“ to znaczy po mazursku — tak. Warszawa mówiła lichy po niemiecku, panna „Jo“, bo tak ją później przezwano żartobliwie, mówiła jeszcze gorzej po polsku a przytem doskonale się wzajemnie rozumiano. Ośmiolatka nie umiała nawet wcale po polsku. Odtąd Etiennowie, dawniej z Francji, zżyli się z nami szybko i na stałe. Dwóch warszawiaków skłoniłem, aby co niedzielę udzielali lekcji polskiego obu dziewczynkom. Byli to Stanisław Wróbel i Mieczysław Perkowski, którzy świetnie uczyli. Dla starszej nauka była trudem, młodsza szybko opanowała język ojczysty i później świetnie deklamowała. Tak to czy taniec, czy śpiew bierze ludzi, mianowicie na obczyźnie. Trzeba tylko być czujnym na takie momenty i chwytąć nastroje.

Póki dziatwa w Hamburgu nie uczęszczała do szkół, zazwyczaj nie niemczała pod opieką matki, nie umiejącej mówić po niemiecku. Gdy szkoła niemiecka objęła kierownictwo nad umysłem dziecka, zatracała dziecina język polski, a matka stawiała się bezwładną i ulegała łatwo. Nie wiele później rodzice poczęli się z swą szkolną dziatwą porozumiewać po niemiecku. Tylko towarzystwa polskie nieco tamowały utratę języka polskiego dzieci, a w większych skupieniach polskich, jak Westfalja, odporność językowa i rodziców i dziatwy była stanowczo silniejsza, w niektórych ośrodkach nawet docydująca. Lepsze sfery polskie przy zabawach wspólnie z robotnikami zawsze szły mi na rękę, ale jeżeli chodziło o zatańczenie jakiejś pani z ro-

botnikiem, było znacznie gorzej. Kwaśiła się pani mocno, i trzeba mi było grzecznie argumentować, aby ją przekonać. No i udawało się to przy dobrej woli gościa i pewnej umiejętności wpływania z mej strony.

Zapisałem się w r. 1892 jako członek do Sokoła czeskiego i do Towarzystwa „Svornost“. Praktyczni Czesi oczekiwali ode mnie nie wiem jakiego poparcia, więc z początku w zapale obnosili mnie po sali. Później zobojętniałem im z natury rzeczy.

W „Nadziei“ rozkładaliśmy różne gazety przed posiedzeniem na długim stole, lecz nikt ich nie czytał. Przeciwnie Czesi, gdy przyszedli przed posiedzeniem na swą salę, jaknajskwapliwiej czytywali, często w trójkę jedną czeską gazetę. Mimo że Czechów w Hamburgu było mało, do ich towarzystwa należało więcej, niż do towarzystw polskich „Nadzieja“ czy „Kłosy“.

Gdy w Czechach powstała powódź, zamanifestowali Czesi w Hamburgu swą dzielność i śmiałość, bo w paru dniach zebrali u samych Niemców przeszło 23 000 mk. Tego Polacy nie byliby dokazali.

Nasze towarzystwa polskie nie doznawały nigdy trudności ze strony policji hamburskiej. Jedyny raz nawiedziło dwóch policjantów „Kłosy“, by nadzorować zebranie, żądając, bym zebranie zagaił po niemiecku. Nie uczyniłem tego, lecz rozwiązałem zebranie a po pół godzinie w tym samym lokalu urządziłem nowe zebranie już bez nadzoru.

Z trudem wielkim zdobyły się „Kłosy“ na przedstawienie amatorskie. Grano Fredry: „Piosnka wujaszka“; nut dostarczył organista Zaremba z Środy. Najtrudniej było wyszukać wśród niewiast siły, któreby umiały odegrać dobrze role i śpiewać. Przytem zdarzyło się, że na generalnej próbie warszawiak trochę swobodnie odezwał się do primadonny p. M., która rozgniewana natychmiast odeszła do domu. Mieszkała daleko. Zaimponowało jej, że następnego dnia (w niedzielę) przyjechałem po nią dorożką. Odegrano rzecz wcale dobrze. Grał Wiktor Loga i śpiewał, grałem ja

i śpiewałem jako jego wujaszek. Aby zadowolić gospodarza urządziliśmy po koncercie spólną kawę z ciastkiem za 50 fen. od osoby. Przy tem rozweselano Polonję rozmaitemi produkcjami. Takie zakończenia jak i wszystkie uroczystości i zabawy udawały się zawsze.

We wszystkim pomagała mi szczerze i ochoczo Kongresówka, skąd na studia w wyższej szkole handlowej przybywało najwięcej adeptów. Z byłego zaboru pruskiego oczywiście najmniej.

Latem urządziło się wycieczki pod Harburg i do Bergedorfu w lasy, po drodze bezustannie śpiewano z mocą, po polsku. W lasach harburskich takim marszem polskim zdobyliśmy gromadkę 5 Polaków, stale zamieszkałych w Hamburgu, dla naszego towarzystwa „Kłosa”. Pod Bergedorfem figlarz nasz wspinał się na stóg i w krótkim czasie miał setki słuchaczy zaciekawionych u swych stóp. Mówił bardzo dowcipnie po niemiecku, (co prawda bez zezwolenia zarządu „Kłosów”).

Podczas swego pobytu niemal 10-letniego w Hamburgu zauważyłem, że wśród młodzieży handlowej polskiej tamże odznaczała się, czy to w szkołach, czy w biurach handlowych najwięcej ci, co pochodzili z Kongresówki, a zwłaszcza z Warszawy. Mniej uzdolnienia wykazywała Małopolska. Były zabór pruski natomiast stał na trzecim miejscu. Tamte dwa odłamy odznaczały się umysłowo i towarzysko i łatwo je było zaciągnąć do każdej roboty, a przede wszystkim do pracy w „Kłosach”. Polakom z byłego zaboru pruskiego brakło inicjatywy, rzutkości; przytem mówili zazwyczaj niepoprawnie po polsku. Nie dziwić się temu: z Prus przybywali najubożsi adepci handlowi i niestety naukowo najmniej wyposażeni, częstokroć nieporadni. Zresztą dobre chłopaki, wzorowo pracujące w biurach. Jednak i z pod zaboru pruskiego byli niejedni osobnicy co do kultury, oglądy towarzyskiej i chęci służenia społecznie pierwszorzędni, jak Stefan Grabski, Wiktor Loga, Jan Leitgeber, a ze starszych kupców Bolesław Nawrocki, L. Laskowski.

Towarzystwo „Kłosa”, chcąc pani Eleonorze Jankowskiej, starszej śpiewaczce, będącej w trudnym położeniu materialnem, pomóc w niedoli, urządziło publiczny koncert, dostępny wyjątkowo także dla Niemców, ze względu na lepszy dochód. Sala była przepełniona, koncert udał się świetnie. Dochód był dość poważny, a rozchody jaknajskromniejsze. Uszczęśliwiliśmy wysoce panią J. Po koncercie odbyły się tańce. Wówczas Hamburg nie był jeszcze tak przejęty ani Bismarckiem, jak później, ani hakatyzmem. Więc zabawił się wesoło z nami aż do końca i wyraził podziw dla Polonji hamburskiej, o której przedtem nie miał pojęcia.

Kiedy przybył 12-letni Raoul Koczalski jako pianista do Hamburga z 3-ma koncertami, stykałem się z nim, jego chorowitą siostrą i rodzicami. Stary omijał te koncerty i siedział w kawiarni, do której przybywaliśmy po koncercie. Ojciec mało się udzielał, tem pilniej studjował w Frankfurter Zeitung i Berliner Börsencourier kursy papierów giełdowych. Siedzieliśmy poza północ. W dzień stary Koczalski spekulował na giełdzie. Mówiono, jakoby dużo z tego, co syn zarabiał, tracił ojciec na giełdzie. Wobec Raoula był ostry i wymagający. Raoul był bardzo przyjemny, uprzejmy, przytem życiowo już dojrzały chłopaczek. Ofiarował mi swą fotografię ku pamiątce, z własnym podpisem.

Poznałem i Kochańską, słynną śpiewaczkę. Miała dać koncert w Hamburgu, ale ponieważ dużo biletów nie wyprzedano, odmówiła w ostatniej chwili.

Kiedym przybył do Hamburga na posadę, koledzy moi, Niemcy, naiwnie się dziwili, że istnieją tacy, jak ja, Polacy na świecie; sądzili bowiem przedtem, że Polak to helota, to wychodzca, co chwilę oglądany w Hamburgu na nędznym wózku z jeszcze nędźniejszym tobołkiem. Śród Niemców kolegów, których ceniłem i którzy mnie szanowali, zdobyłem sobie miano „der edle Pole”.

Zanim opuściłem Hamburg na zawsze, w ostatnie lata dążyłem ku temu, by tamże stworzyć polski bank ludowy, tymczasem wykonanie tego planu było zbyt skomplikowane, i nie wiedziałem mianowicie, komu powierzyć ster. Sam w tymże banku nie mogłem w żadnym razie zająć jakiegokolwiek posterunku, chociażby w radzie nadzorczej. Nie raz zarzucałem sobie swą nieudolność w urzeczywistnieniu projektu.

Zanim się z Hamburga przeniosę do Poznania, należy mi podać jeszcze inne szczegóły mego życia emigracyjnego i spółzycia z krajem, z światem polskim.

Gdym pracował w Hamburgu, nie udzielano pomocnikom handlowym żadnych urlopów, o wyjazdach do wód nie można było marzyć. Wymyśloną chorobą w rodzinie zdobyłem raz urlop 2-dniowy na ślub w Gnieźnie, innym razem, w październiku 1895 r., objechałem w 10 dni z odczytem swym na temat: „Eksport polski“ — Lwów, Warszawę, Poznań. Później zabrałem ze sobą do Poznania (z pół-dniowym urlopem) importera i eksportera obuwia, by w cechu szewskim omówić dokładnie sprawę zainicjowania prawidłowego eksportu obuwia z Wielkopolski. Cechmistrz Fr. Andrzejewski nie stawiał się na nasze zebranie. Już tem samem misja moja była poderwana, w rezultacie nie przyniosła pożądanego skutku. Zbyt ciasne panowały wtedy pojęcia wśród cechu i mistrzów o ruchu wywozowym. Później zamówił mój importer za mojem wskazaniem w Gnieźnie 72 pary obuwia męskiego na próbę. Wybrałem Gniezno jako znaczniejsze osiedle szewskie i napisałem, że na obuwiu mają szewcy nałożyć swój zysk odpowiedni, lecz niewygórowany. Importer wywiesiwszy w swym magazynie otrzymane 72 par, zaznaczył, że ani jedna nie była równa i przekonał mnie o tem dosadnie. Skutkiem tego zaniechał zamiaru zaopatrzenia Gniezna w maszyny szewskie, straciwszy zaufanie do sprawy.

Miałem przeróżne korespondencje z Polską, największe ze Lwowem. Abonowałem tamże „Gazetę handlowo-geogra-

ficzną“, następnie „Przegląd wszechpolski“. Z dr. Wiktorem Ungarem we Lwowie zamieniałem częste korespondencje handlowe, nawiązałem również stosunki pisemne i osobiste z działaczem d-rem Aleksandrem Kłobukowskim, widywałem się z nim we Lwowie i w Hamburgu. Napisałem dla „Gazety handlowo-geograficznej“ żądany artykuł jeden i drugi, dla gazety kobiecej pod sterem p. Koczalskiej artykuł o eksporcie jaj. A w r. 1895 nakłonił mnie Lwów do przyjazdu z odczytem „O eksporcie polskim“ Odczyt na owe czasy był niezwykle, a referent aż z Hamburga! To też sala ratuszowa we Lwowie była szczelnie wypełniona elitą słuchaczy. Umówiłem się z d-rem Ungarem, że ma po referacie zainicjować dyskusję. Uzyskałem potężne oklaski, ale dr. Ungar, skromny adwokat, nie umiał się zdobyć na odwagę wobec zgromadzonych na sali dygnitarzy i władców lwowskich. Potem cała rzesza wybitnych osobistości zapraszała mnie do siebie na konferencję. Przrzekłem ją paru panom. Gdym schodził z estrady, przystąpił do mnie radośnie kolega mój szkolny, Jan Kasprowicz, mówiąc głośno: „Wiesz, świetnie mówiłeś, ale dalibóg, nic nie rozumiałem“. Poczem wielka gromada panów zaprowadziła mnie do hotelu, zdaje się, „Georga“, i tam trwała dyskusja od godziny 6-tej do 12-tej. W końcu już spałem, nie wiedząc, jak odpowiadam. Miałem za sobą dwie noce nieprzespane. Zmęczony nocą ułożyłem się do snu, lecz nerwy były tak poderwane, że, kiedy na chwilę zasnąłem, czułem, jak po grzbiecie jadą nieustannie wagoniki kolejowe. Wogóle nerwy moje wtedy tak były naruszone — może przez parę lat, że jadąc koleją na dalekie przestrzenie Hamburg — Poznań, Hamburg — Wrocław, Wrocław — Lwów, Lwów — Warszawa i t. d., nie chciałem z nikim rozmawiać, za to stale wsłuchiwałem się w muzykę eolską, która gdzieś tam w górnym kącie przedziału najwspanialej dźwięczała.

Przed południem, nazajutrz po referacie, odwiedziłem pp. Marchwickiego, dyr. Zgórskiego i prof. St. Majerskiego.

Baron Roger Battaglia, który już w Hamburgu mnie odwiedził, zainteresowany był mięsem australijskim, mrożonem, które, jego zdaniem, należałoby sprowadzać dla Galicji. Nie smakowała mi próbka tegoż mięsa, plan Battaglii uważałem za utopję. Przecież Galicja miała bydła aż za wiele. We Lwowie chciał mnie natchnąć Battaglia do założenia importu herbaty.

Chciano mnie, laika, we Lwowie zrobić półbogiem, wszystkiemu miałem zaradzić, a gdy się dowiedziano, że nazajutrz jadę do Warszawy, zasypano mnie zleceniami, które lepiej sami mogli załatwić pisemnie, czy osobiście. Widziałem przedziwną niezaradność, a sam praktycznie pomóc nie mogłem. Natomiast tematu mego o eksporcie nie naruszał prawie nikt, pism potem lwowskich nie czytałem, więc nie znam oceny mego referatu. Wiem to, że różne redakcje nalegały na mnie po referacie, abym napisał ocenę swego odczytu dla nich, czego im jednak odmówiłem.

Przyjechawszy ze Lwowa do Warszawy, byłem z wizytą u mec. Adolfa Suligowskiego, stosownie do uprzedniej umowy. Odczyt miałem wygłosić w Towarzystwie popierania przemysłu rosyjskiego pod dyrekcją Aleksandra Kłobukowskiego, ojca doktora. Suligowski, przeczytawszy odczyt, rzekł: „Proszę pana, w odczycie dla nas nie może być żadnych aluzji patryjotycznych. Teraz jest godzina 12½. Czy pan jest zdolny odczyt swój do naszych wymagań dostosować najzupełniej?” — Zapewniając go o tem, odczyt odpowiednio ołówkiem nastroiłem, przed 3-cią pracą ukończywszy, poszedłem na obiad. O piątej byłem już u dyrektora Kłobukowskiego. Śród liczego grona osób dobranych miałem referat, po nim była bardzo obszerna dyskusja. Dziękowano mi za przyjazd i ciekawy odczyt. Suligowski przy pożegnaniu zaznaczył, że doskonale przeprowadziłem poprawki. Pożegnawszy się potem serdecznie z całą rodziną Wróblów, u których gościłem, wyruszyłem do Poznania.

By tu nie zaprzepaścić dyskusji, jak we Lwowie, kazałem w drukarni „Gońca Wielkopolskiego“ wydrukować na prędce kartki, podające, że po odczycie będzie dyskusja, i przed odczytem porozkładałem je na krzesłach. Na sali Działyńskich zgromadziła się duża rzesza. Był odczyt, który zainteresował, zdaje się, wszystkich. Ale P. dyskusji nie zainaugurował. Mogłem być to uczynić sam, lecz zaniechałem tego. Mówiono mi, że P. opowiadał, iż dyskusji nie będzie, bo jestem wyczerpany i chory. Chodziło mu o to, aby zaciągnąć do swej cukierni, a później może do winiarni, jak najwięcej gości i to szybko. Na dyskusji mu nie zależało. Mimo to czekano jeszcze na nią. Prócz panów było obecnych na mym odczycie wiele pań uspołeczniionych. Do P. wybrała się tylko skromna piątka do cukierni na kawę.

Mając tylko 10 dni wolnych na całą tę podróż, spieszenie odjechałem do Hamburga, przyczem owe symfonje płynęły ku mnie z rogu przedziału kolejowego. Odczyt o „Eksporcie polskim“ przedrukowała „Gazeta handlowo-geograficzna“ we Lwowie.

Towarzystwo Akademickie w Zurychu proponowało mi, abym przyjechał na zjazd akademicki w Antwerpii z odczytem dowolnej treści. Przygotowałem referat p. t. „Szkoła w Batignolle“. Nie mogąc uzyskać urlopu na wyjazd do Antwerpii, posłałem referat, który potem, jak mi pisano, kursował po różnych towarzystwach akademickich. Z tytułu mego odczytu zrobił mnie Związek akademików w Antwerpii swoim członkiem honorowym. W referacie podsunąłem myśl przeniesienia szkoły w Batignolle do Parany w Brazylii. O ile pamiętam, na ten temat pisały parokrotnie pisma galicyjskie, a więc i „Gazeta handlowo-geograficzna“ we Lwowie.

Kiedy w r. 1892 odbywał się zjazd w Poznaniu celem założenia Związku Towarzystw Przemysłowych, brałem w nim udział. Przewodniczył ks. prałat Antoni Stychel. Referował adwokat Czesław Czypicki z Koźmina. Debaty były gorące, sprzeciw wielki. Czypicki przepadł ze swym

wnioskiem, jako nie będącym jeszcze na czasie. A jednak już po paru latach Czypicki związek stworzył, a ja byłem w nim długie lata skarbnikiem, potem wiceprezesem, a od r. 1911 przez lat 10 prezesem. Czypicki w różnych potem sprawach odnosił się do mnie. Najwięcej go obchodziła sprawa obuwnicza. W trakcie tych naszych wspólnych zamysłów zaprosił mnie Czypicki do siebie do Koźmina.

Mimo, że marzeniem mojem był powrót jaknajwcześniejszy do kraju, mimo, że miałem sposobność na najdogodniejszych warunkach pracować w firmie Minlos Breuer & Co. w Wenezueli, jednak najmilszą była mi praca w tejże firmie w Hamburgu, tak się z nią zżyłem, mianowicie ze swym szefem. I zaiste, gdy w czerwcu roku 1897 w Poznaniu wspólnie z p. Retzem zdecydował o swym powrocie do kraju, wypowiedzenie stanowiska dotychczasowego było moim największym trudem w Hamburgu. Przez dwa dni nie zdobyłem się na odwagę pomówienia z szefem na temat mego ustąpienia, i potrzeba było pójść w niedzielę, w trzeci dopiero dzień, do mieszkania p. Breuera. Szef przyjął moją decyzję z tem, że dotąd samodzielnie nie pracowałem, że mam w firmie posadę na całe życie, że udotowanie będzie coraz wyższe, ale mimo to nie chce mi się przeciwstawiać i życzy mi na przyszłość największego powodzenia. Jeden warunek mi postawił, bym aż do odejścia dostatecznie poduczył swego następcę. Nie sądziłem, że ta praca zajmie mi tyle czasu, i że następcę, gorąco polecony przez świeżo przybyłego szefa z Wenezueli, sprawi mi swem niedoświadczeniem tyle kłopotu. Szef zatrzymał mnie po naszej konferencji na śniadaniu i wieczerzy. Z obu mymi szefami korespondowałem, póki żyli. Odnosili się do mnie nad wyraz serdecznie i szczerze, zapraszając mnie do siebie w razie przybycia do Hamburga. Niektóre listy tych zacnych panów załączam.

Rozstałem się z nimi, rozstałem z Polonją hamburską i z Hamburgiem, tak mocno ze wszystkim związany. Korespondowałem co roku z prokurentem naszego domu, który jednakże, nie wiem dlaczego, umilkł po wojnie światowej.

IV.

HANDEL ZBOŻEM W POZNANIU - PRACA SPOŁECZNA

Pod schyłek wieku 19-go żydzi w Poznaniu, a zwłaszcza na prowincji, byli w każdym kierunku panami sytuacji jako finansisci, kupcy, właściciele domów. W radach miejskich mieli przewagę, a jeszcze większą w podatkowych komisjach szacunkowych. Gdy w głównej komisji szacunkowej zasiadał z nimi w r. 1919, należało do niej 9 żydów, dwóch Polaków, 1 Niemiec. Wszystkie niemal kamienice przy Starym Rynku były w posiadaniu żydów, na Placu Wolności jeszcze w roku 1918 należały z wyjątkiem trzech wszystkie domy do żydów. Wpływy tych potentatów były bardzo znaczne, Polacy nie mieli ich prawie wcale. O każdą piędź polskości musieli Polacy zorganizowaną tężyzną walczyć, by swych kandydatów w radzie miejskiej (na 60 tylko 10) utrzymać. Przytem kredytu hipotecznego miejskiego udzielały tylko banki niemieckie, polskich na to nie było.

W konfekcji, powiedzmy żydowskiej, nie damskiej albo męskiej, wszechwładni byli żydzi, którzy krawców i krawczynie wyzyskiwali bez ceremonji. Przedsiębiorstwa drzewne, z wyjątkiem dwóch polskich, całkiem drobnych, były wyłącznie w posiadaniu żydów, którzy ubogich stolarzy Polaków bez żadnych skrupułów wyzyskiwali, zazwyczaj nawet oszukańczo. Polak rzemieślnik siedział ustawicznie w kieszeniach żydowskich. W dodatku żyd upokarzał wielu sposobami Polaka, biorącego na kredyt lichy towar po wygórowanych cenach, odmierzony mu

nierzetelnie. Nędza meblarzy (stolarzy) swarzędzkich była znana, a ich zależność od żydów całkowita.

W podatkowej komisji szacunkowej żydzi lekceważyli doszczętnie polskich podatników, wiedząc, że nie można z nich ściągnąć wiele podatku. W późniejszych czasach walczyli ukrycie, gdy zaczęli się rozwijać zbożowcy Polacy, banki polskie, blawatnicy polscy. Tych przy opodatkowaniu mieli żydowscy członkowie Głównej Komisji Szacunkowej na oku, szacowali ich ostro (nie powiem ohydnie), bo tylko te trzy działy kupieckie były dla nich konkurencją. Gdy mały Kajetan Ignatowicz dzięki swej dzielności szybko zaczął porastać w pióra, cały Poznań coraz więcej się cieszył, że przecież i Polak jako tęgi kupiec może z żydem konkurować skutecznie. Uznanie dla I. było przez lata niesłabnące. Drugi taki to Jan Łuczak, który także umiał się wybić w konfekcji męskiej i wysunąć poważnie. Ale to były już zdobycze pierwszych lat XX. wieku. Obok nich wysunął się na pierwszy plan szalenie pracowity, dzielny i uczciwy kupiec Józef Czepczyński, handel drogerijny, który również już się zalicza w większej mierze do początków w. XX, oraz Bronisław Śniegocki, drogerzysta, jak i inni.

Młodsze kupiectwo polskie wskutek trudności w zdobywaniu odpowiednich posad u samodzielnych firm polskich, a tylko niechętnie pracujące u kupców żydów w Wielkopolsce, poczęło szukać pracy na Pomorzu, a nieco później na Górnym Śląsku, co dla jednej i drugiej dzielnicy nabierało znaczenia, mianowicie w pierwszym i jeszcze więcej w drugim 10-leciu w XX. Samodzielne poznańskie kupiectwo polskie było niemal w wyłącznej zależności od hurtowników z głębi Niemiec. Wskutek olbrzymiego rozwoju przemysłu i handlu niemieckiego rozmach narastał bezustannie tak dalece, że rozmnożone w nadmiarze niemieckie firmy handlowe i przemysłowe zaczęły wśród siebie wytwarzać coraz silniejszą konkurencję. Jak szarańcza nawiedzały Wielko-

polskę celem zbytu swych towarów firmy niemieckie, w 90% żydowskie, i chcąc kupców naszych zdobyć, dostarczały kredytów bezwekslowych nieraz nawet na pół roku i dłużej. Orjentowano się, że jednak na wschodzie t. j. wśród polskiej klienteli kupieckiej można dobrze zarabiać na towarze dawanym na długi kredyt. Bądź co bądź, te kredyty towarowe ułatwiały Polakom byt i coraz poważniejszy rozwój. Niejeden żyd, poznawszy w poważniejszej firmie polskiego dzielnego i rzetelnego fachowca pomocnika, sam mu podsunął założenie własnej firmy, zapewniając mu kredyt dość rozległy. To pobudzało wytrawniejszą młodzież handlową do licznego zakładania firm własnych z początku w Wielkopolsce, później do osiedlania się na Pomorzu i na Górnym Śląsku. Zaczynano już na większą skalę tu i owdzie zakładać spółki kupieckie, które tak, jak „Rolniki“, szły dobrowolnie pod patronat Spółek Zarobkowych, by przez tenże uzyskiwać w „Banku Związku Spółek Zarobkowych“ niezbędne dla większych spółek dalsze kredyty, skąpe nieco, lecz tanie i oparte na dogodnych warunkach spłaty, nie podlegające nigdy żadnym wyzyskom.

Poruszam te szczegóły jaknajluźniej. Uważam, że pominięcie ich nie byłoby słuszne w ciasnych ramach mych wspomnień, że raczej przynależą do całokształtu.

Jeszcze inny, bardzo poważny ruch ożywił handel i przemysł polski, mianowicie hasło: „Swój do swego“. Początki tego hasła, krzewionego silnie przez „Straż“, organ „Rady Narodowej“ oraz prasę dzienną, nie uwydatniały się tak poważnie, jak powinny. Obojętność na to hasło panowała znaczna. Niemcy hakatyści ten pierwszy ruch pomijali milczeniem, później atoli, widząc jego pęcznienie, występować poczęli wrogo przeciw niemu. Hakatyzm polityczny pobudzał zaciekle Niemców, popieranych z Berlina jaknajżywiej i jaknajenergiczniej, w ich walce z polskimi aspiracjami nie tylko handlowymi. Systematycznie po wszystkich miastach i miasteczkach duch

ten usadawiał Niemców lekarzy, weterynarzy, adwokatów i t. d. i bezustannie wzywał wszystkich Niemców do kupowania wyłącznie u swoich. Wytworzył się na całej linii rozwydrzony bojkot antypolski, poparty wszelkimi sposobami i olbrzymim nakładem pieniężnym. Im dalej w las, tem więcej żydostwo tutejsze wszelkich odcieni szło ochoczo na rękę rządowi w jego zapędach pan-germańskich, antypolskich. Olbrzymie wysiłki rządu pruskiego za ery Bismarcka i Bülowa celem przeprowadzenia u nas osadnictwa niemieckiego na najszerszą skalę, miały bądź co bądź bardzo poważne znaczenie i uczyniły, z biegiem lat, nadzwyczajny wyłom w naszym posiadaniu ziemi. Zarządzenia władz, coraz więcej zaostrzane, szły przeciw nam złowrogo.

Z drugiej strony odporność nasza przeciw zakusom antypolskim wzmagala się z roku na rok więcej. Rosło uświadczenie potrzeby i niezbędności walki o byt z Niemcem, hartowały się w tej walce dusze polskie.

Niemcom zależało na tem, aby Wielkopolska, jako najcenniejszy dla nich śpichlerz, była nieomal wyłącznie krajem rolniczym; godzili się jedynie na to, aby zakładać i podtrzymywać fabryki związane ściśle z produkcją rolniczą, a więc gorzelnie, cukrownie, później fabryki mączki w Zbąszyniu, Luboniu i t. d., fabryki sztucznych nawozów, fabryki maszyn i narzędzi rolniczych. Inny przemysł na większą skalę prawie że nie istniał. Tu i owdzie była fabryka mebli, garbarnia, jedna i druga fabryka obuwia o niewielkiem znaczeniu, fabryka materaców i czyszczenia włósia (w Rawiczu). Powstawały następnie fabryczki chemiczne w Poznaniu, fabryka mydła w Starołęce, warzelnie wódek, najstarsza Kantorowicza, żyda, poważna, eksportująca, Bolesława Kasprowicza w Gnieźnie, Wojciecha Szmytkowskiego w Pniewach, różne większe lub mniejsze tartaki, przedewszystkiem w Bydgoszczy, królowej tartaczniwa. Istniały, nie podane tu, inne jeszcze fabryki w Wielkopolsce czy na Pomorzu, ale, na

szerokich przestrzeniach Wielkopolski i Pomorza, to tylko rzadkie oazy. Rząd pruski, gdy chodziło o założenie przez Polaków fabryk, nie złączonych wprost z produkcją rolną, utrudniał ich powstanie przez opóźnianie udzielenia koncesji czy konsensu.

Zresztą wszystkie polskie przedsiębiorstwa, może za wyjątkiem fabryki maszyn H. Cegielskiego, rozwijały się pomyślnie dzięki osobistej tężyznie założycieli i nadzwyczajnym ich wysiłkom twórczym. Odznaczyli się niezmordowaną pracą B. Kasprowicz w Gnieźnie, A. Nagórski w Starogardzie, później Stanisław Filipowski w Starołęce. Wszystkie niemal owoczesne zakłady przemysłowe istnieją do dziś, mimo fatalnych stosunków gospodarczych. Widać, że oparte są na zdrowych podstawach. Wzorowość w prowadzeniu tych zakładów zasługuje w pełni na uznanie, tem więcej, że poparcie przez społeczeństwo było daleko słabsze, niż być powinno.

Niech starczy ten maleńki obrazek jako szkic niewyczerpujący.

Z chwilą, kiedy p. Hilary Retz sprzedał swój majątek ziemski, Damasław, zamierzał ze mną wejść w kontakt handlowy, być może, iż w samym nawet Hamburgu. Nadarzała mi się wtedy, za pośrednictwem dr. W. Ungara we Lwowie, sposobność otrzymania posady szefa w przedsiębiorstwie dla przyrządów naftowych w samym Lwowie. Żądano 100.000 koron wkładki. Warunki dla mnie były arcydogodne. Miałem w tym celu razem z p. Retzem wybrać się do Lwowa. Przyjechałem do Poznania, gdzie już zamieszkał p. Retz, by się z nim naradzić. Wtem on mi proponuje spółkę z ekshizmemianinem, Andrzejem Rekow-skim. Zachwalił go, podkreślając jego obrotność, stosunki rozległe z ziemianami, i poważny zysk bilansowy, zarobiony już w pierwszym roku istnienia jego firmy. Kochany „Andrus“ umiał świetnie stan swój sportretować. Więc po pewnych wahaniach, odrzekłem, że przybędę we wrześniu i przyłączę się z p. Retzem do spółki

pod warunkiem, że „Andrusz” przedstawi mi swój bilans, zrewidowany i podpisany przez sądowego rzeczoznawcę.

Już u samych bram Poznania doznałem podwójnego zawodu, raz że przyszły mój spółnik Rekowski, wbrew naszej umowie w czerwcu, nie przedstawił mi bilansu, podpisanego przez rzeczoznawcę sądowego, a powtóre, że drugi przyszły spółnik Retz do dnia mego przybycia udzielił inicjatorowi naszej spółki 26 000 marek kredytu blanko, bez żadnej gwarancji. Ze względu na te 26 000 nie chciałem robić przykrości Retzowi i wytwarzać nowych komplikacji. Nasz przyszły spółnik Andrzej Rekowski listami, depeszami przynaglał, bym przyspieszył przyjazd ze względu na żniwa, bym przedtem jeszcze kupców i młynarzy lipskich odwiedził i z nimi wszedł w kontakt. Była to wprost farsa. Już przeszło 7 lat wyszedłem z handlu pokrewnego, nie miałem więc o cenach rynkowych pojęcia dostatecznego, zresztą handel zbożowy w Hamburgu co innego, niż handel Lipsk—Poznań. Oczywiście, że nie mogąc zaoferować w Lipsku tyle a tyle wagonów po pewnej cenie, raczej bujałem; odjechałem z Lipska bez rezultatu. Wstąpiwszy 3 sierpnia 1897 do naszego przyszłego biura około 11 godziny rano, nie zastałem ani jednego ani drugiego swego towarzysza. Przybyli natomiast dwaj ziemianie, żądając ceny na jęczmień browarowy. To znów interes osobny. Trzeba się znać na jęczmieniu i ocenie, być w dodatku au courant co do popytu i umieć wogóle podać odrazu właściwą cenę. Manewrowałem przeto jaknajdłużej, oczekując towarzyszy. Ostatecznie wykrztusiłem cenę i wywołałem silny protest. To mnie upewniło, że trafiłem w sedno, bo panowie obaj nie odeszli, tylko w targi ze mną. Twardo stanąłem na swoim, i dobiliśmy targu za pierwotną cenę. Jęczmień sprzedałem z zyskiem 100 mk. na obu wagonach. Był to przypadek szczęśliwy, mogła bowiem operacja kosztować nas 100 mk. i więcej.

Tegoż dnia podpisaliśmy układ notarialny, tworząc nową firmę A. Rekowski & Co. Odrazu wkroczyłem w wir zajęć, i nawet czasu nie było na zbadanie bilansu. Nieco później wykazał on dość poważny minus, zamiast podanego zysku w wysokości 15 000 mk. Miły początek!

Ponieważ jeden i drugi spółnik mój był ekshibicjonistą bez pojęć o kupieckiej stronie interesów, cała żywotność i odpowiedzialność spoczywała jedynie na moich barkach i to na terenie nowym, zupełnie mi obcym. Owe 26 000 nie poszło na obroty handlowe, tylko wyłącznie na pokrycie weksli krewniaków naszego spółnika. Nasz kapitał zakładowy 110 000 mk. był na owe czasy stanowczo niedostateczny, tem mniej, że nie miał oparcia o banki polskie.

Bank Związku Spółek Zarobkowych bowiem był wtedy w zaraniu swej działalności. Gdy w wiosnę r. 1899 chciałem w nim zdyskontować weksel jednego z ziemian, przyjaciela dyrektora Banku, dr. Józefa Kusztelana, na 1 000 mk., powiedział mi prokurent Tomaszewski: dziś nie mamy pieniędzy, przyjdź jutro, to ci zdyskontujemy.

Bank Przemysłowców wówczas także był w powijkach jeszcze, więc dyskontował weksle rolnicze bardzo skąpo. Zresztą, kto przyniósł weksel z dwoma podpisami w sobotę rano, temu dopiero po poniedziałkowej sesji, we wtorek, odpisywano. Ta staroświecka procedura utrudniała jeszcze bardziej pracę z tymże bankiem. Z biegiem lat w jednym i drugim banku polskim wszystko się naprawiało, upraszczało, ułatwiało.

Zbożowy interes w latach 1897 i następnych mógł się opierać jedynie o Bank Rzeszy i o „Provinzialbank“, późniejszy „Ostbank für Handel und Gewerbe“ w Poznaniu, a w mniejszej mierze o bank Kwilecki Potocki i Sp. Kiedy raz chciałem w bankach polskich zdyskontować weksel z dwoma podpisami najlepszej klasy na 17 000,— mk., odmówiły oba polskie banki i również Bank Kwilecki Po-

tock i Sp., a Bank Rzeszy natychmiast go zdyskontował. Było to w r. 1899.

Nasze przedsiębiorstwo, mimo braku kapitałów, pracowało z pewnym rozmachem i ze skromnymi zyskami bilansowymi, ale nie umieliśmy się z naszym spółnikiem pogodzić zasadniczo. Nie miał on o kalkulacji żadnego pojęcia, wszystko robił wedle widzimisię, a gdy raz w Ostrowie, gdzieśmy stworzyli oddział z Andrzejem Rekowskim naczele, w jednym miesiącu dostarczono mu 70 wagonów porośłego żyta, straciliśmy na tej operacji 15 000 mk. okrągło. Już po 3 latach wypuściłem dobrodusznika p. Retza z interesu, a po 2 latach dalszych zlikwidowaliśmy przedsiębiorstwo.

Mówiąc o zlikwidowaniu, nie szukam winy w sferach ziemiańskich, które wtedy były niemal wyłącznie w kieszeniach żydów zbożowców. Taki żyd brał od ziemianina wszelką krescencję, wzamian dostarczając paszy, ospy, kuchów, nawozów, narzędzi, maszyn i udzielając rozległych kredytów. Jaka była kontrola nad dostawcami żydowskimi, nad rachunkami dla ziemian, tego dziś nikt nie docieczy. Wiem tylko z własnego doświadczenia, że ziemianin żądał od żyda jak i odemnie kuchów bawełnianych wysoko procentowych; żyd jednakże dostarczał nisko procentowych, wskutek czego ja nigdy nie mogłem z żydem konkurować, gdyż dawałem towar wysokoprocentowy. Odbiorcy towaru ani się śniło dawać towar żydowski do analizy na procent proteiny i tłuszczu, do stacji doświadczałnej w Poznaniu. Hrabia X. np. żąda ode mnie oferty na superfosfat, a otrzymawszy ją, przedstawia ofertę żyda Bythina z Buku, rzekomo korzystniejszą od mojej. Zgadzam się natychmiast na przejęcie oferty żydowskiej, poznawszy manewr. Po dostawie wykazuję hrabiemu, że na tym interesie zarobiłem 600 mk. *extra*. Oferta bowiem żydowska polegała na odmiennym obliczeniu procentowym, które hrabiego otumanilo. Ospę najpośledniejszą sprowadzali żydzi dla naszych ziemian ze stron Kalisza od młynarzy

żydów, w najgorszych workach dziurawych, które pękały w czasie transportu. Któryż dziedzic ważył ospę? Nawet o tem nie pomyślał. Taki był żyd dostawca. A jaki był ziemianin? Poduczył się niedołąźnie handlowania po żydowsku i tak traktował niemal wszystek interes ze zbożowcem Polakiem. Wiecznie zależny od kieszeni żydowskiej, przechodził do Polaka, gdy już kieszeń żydowska dla niego się zamknęła. Sprzedawał Polakowi całą krescencję, a często nie dostarczał ani połowy, zresztą pokątnie zboże sprzedawał żydowi, by otrzymać odeń gotówkę, chociaż na tę sprzedaną krescencję pobrał już był od Polaka poważną zaliczkę, a nadto zakupił na kredyt węgle, wapno, nasiona i t. d.

Jakiś ziemianin sprzedał wagon 200 ctr. siana żydowi do Berlina, ugadając z nim 50% zaliczki kolejowej, a dostarczył tylko 100 centnarów. Ten sam pan, broniąc przed sekwestrem swego majątku, uzyskał u nas poważną pożyczkę na swoją krescencję z tem, że wolno mu na każdy wagon nam dostarczony zatrzymać 200 marek, a resztą spłacać dług. Nie przeszkadzało to, że przybył do nas, okazując dwa duplikaty przewozowe na dwa wagony żyta i wyłudzaając od nas wyłożenie mu pieniędzy na fracht kolejowy, nie przeszkadzało, że tymczasem bank Kwilecki Potocki i Sp. wspólnie z adwokatem Wolińskim oba nasze wagony zajęli, i nie przeszkadzało, że bank i Woliński nieprawnie zajęty nasz towar musieli nam natychmiast oddać. Tenże obywatel, uzyskawszy ponad kontrakt od nas 2000 marek, na co przeźornie żądałem pokwitowania, że dał weksel, doprowadził do tego, że mieliśmy z nim 7 terminów feryjnych w sądzie poznańskim o tenże weksel, a nie otrzymawszy gotówki, odnieśliśmy się do niego i do hrabiego, u którego został plenipotentem, ze stanowczym żądaniem natychmiastowej zapłaty weksla i kosztów. Hrabia zagroził mu, że jeżeli długu nie pokryje w ciągu tygodnia, postrada stanowisko. Tą dopiero drogą zdobyliśmy nasze pieniądze w 4 ratach w jednym tygodniu. Inny

ziemianin pragnie nam sprzedać 2000 ctr. ziemniaków. Był mróz. Widzę, że w naszym biurze z worków sączy się woda. Widocznie kartofle tajały. Nie kupilem. Obywatel odchodzi. Ponieważ spieszyłem do banku Kwilecki Potocki, dogoniłem go i pytam, dokąd zmierza. Odrzekł, że idzie do banku Kwilecki Potocki. Mówię, że i ja tam idę. Na Boga — woła obywatel — nie pan nie mów, że u pana byłem. Owe 2000 ctr. już dawno był zaprzedał bankowi.

Hrabia X. sprzedaje 400 ctr. pszenicy podług próby. Pokazując próbę, wyrzuca pod piec porosłe ziarna. — Niechże pan hrabia tych porostów nie wyciąga z próby. — A to tylko te dwa ziarna — mówi, pod słowem honoru. — Kupilem i sprzedałem tę pszenicę kupcowi do Świebodzina. Kupiec po otrzymaniu 2 wagonów stawia mi towar do dyspozycji, bo nie zgadza się z próbą. Ja depeszuję do hrabiego, hrabia w tajemnicy do Świebodzina, by się przekonać o tem, czy słusznie mu stawiam pszenicę do dyspozycji. Wraca do nas z próbą. Przezornie przy omawianiu transakcji w naszym biurze w oczach hrabiego zapieczętowaliśmy połowę otrzymanej próby. Hrabia oburzony nieco prosi o odpieczętowanie próby, sam wyciąga próbę z kieszeni i, widząc rażącą różnicę, zgadza się na poważne odszkodowanie, które musiałem przyznać kupcowi w Świebodzinie. Dopiero później kupiec świebodziński powiadomił mnie o wizycie hrabiego, który mi nie dowierzał.

Inny ziemianin, przyjaciel mego spółnika, był nam winien 800 marek na weksel. Zagroziliśmy protestem, gdy nie wykupi. Poleconym listem zagwarantował na słowo honoru, że najdalej na trzeci dzień wykupi, i prosi, aby zaniechać protestu. Pytam się spółnika, czy jednak w ostatniej chwili nie protestować. Na to zgoda. Donosimy więc o proteście. Poczem obywatel najbliższym pociągiem sunie do Poznania, nocuje w hotelu francuskim i strasznie w nocy wymyśla temu „łapserdakowi Filipowiczowi“, sądząc, że o proteście weksla jego przyjaciel,

a mój spółnik, nie wie. Rano do nas wpada wściekły, ale obecny spółnik uśmierzył go w zapędach ku mnie, oświadczając, że to on do podjęcia protestu mnie nakłonił. Na to amen z przyjaźnią — na kilka tygodni!

Żyd, Wasser, kupuje od nas jęczmień i dziwna, na każdym worku 2 funty manka. Spółnik mój na żydowski spichrz. Okazuje się, że robotnik ciężarek na tarę 1 kilo usadowił, z rozmysłem i naturalnie za zgodą żyda, fałszywie. Przyszedł żyd następnie do nas, a mój spółnik nader ostro potępił oszukańcze metody żyda, grożąc przytem prokuratorem. Wasser zastraszony zrezygnował naturalnie z manka fałszywie odciągniętego na pierwszym wagonie, nie obliczał manka na dalszych, bo go nie było, cofnął pretensję o gorszy rzekomo jęczmień, niż próba, zapłacił nadto 100 marek kary konwencjonalnej i poszedł.

Kupuję na giełdzie zbożowej w Poznaniu dwa wagony żyta od znanego żyda Lewka ze Środy. Worki były firmowane: W. Brodnicki. Otóż ziemianin żyto, zaprzedał Brodnickiemu, sprzedał Lewkowi, a ten mnie, przytem ja żydowi dałem niższą cenę, niż Brodnicki obywatelowi. Jakiż to interes, jakaż etyka? Takie traktowanie interesów było częste i smutnie świadczy o moralnym poziomie niejednych ówczesnych ziemian i o oszukańczych metodach żydowskich.

Wynoszenie się warstwy ziemianstwa nad mieszczaństwo należało wśród ziemian do zjawisk niemal powszechnych, czasem tylko lekceważenie jego. Do żydów odnoszono się z nadzwyczajną ufnością, powierzano im największe tajemnice, zaprzyjaźniano się nawet z nimi. Był taki pośrednik żydowski Katzenellenbogen, wytwornie się ubierający, z którym na Placu Wolności pod rękę chadzał przyjaźnie pewien hrabia. Był agent wielki na kartofle Ryczywol. Można pan listem zamówił do siebie fabrykanta z Pleszewa. Fabrykant w hall'u czeka długo na łaskawe poproszenie do biura. Zajeżdża autem żyd Ryczywol, wchodzi bez ceremonji do biura magnata i, nie za-

mykając drzwi, zaprasza, by z nim pojechał samochodem na obiad do Berlina. Magnat odesłał fabrykanta z kwitkiem, by żydowskim samochodem pospieszyć do Berlina na różne specjalny.

Różnych takich drobiazgów ciekawych można by przytoczyć dużo. Podałem niektóre jako przykre wspomnienie z owych dni, gdzie to tak lekko i lekkomyślnie wyżywano się ziemi ojczystej. A jednak wśród obywatelstwa ziemskiego istniały duże szeregi zacnych pracowników łanowych, ludzi uczciwych, prawdziwych patriotów, którym nie można było czynić żadnych zarzutów, chyba ten, że i z tych duża garść odsuwała się najwyraźniej od łączenia się z mieszczaństwem, czując do niego niesmak i niechęć. W tem chyba atawizm odgrywał swą rolę.

Naogół uznawały sfery ziemiańskie jedynie bankierów i zbożowców, daleko mniej już reprezentantów „Rolnika“, bo ziemianin zawsze był zależny finansowo od banków, od kupców zbożowych (poza żydowskimi) polskich, stale z nimi handlowo złączony, więc wypadało wtedy z kupcem Polakiem żyć się flirtowo, czasem szczerze. A gdy potem pogardzany przez ziemian cały inny świat polski składał wcale już potężne pieniądze po bankach polskich, w bankach ludowych, to ziemiaństwo, nie gardząc oszczędnościami pospolitaków, chętnie, ochoczo korzystało z kredytów bankowych, by chronić od utraty majątki, by tanim kredytem operować na swą korzyść, by zdobywać nim nowe majątki ziemskie. Przecież Bank Przemysłowców udzielił jednemu ziemianinowi naszemu 600 000 marek pożyczki hipotecznej. Jakże walczyło tę drogą mieszczaństwo swymi drobnymi oszczędnościami ziemiaństwu, mianowicie przy podnoszeniu wartości majątku przez coraz doskonalszą uprawę za pomocą sztucznych nawozów, najnowszych maszyn i narzędzi rolniczych, i ostatecznie przez coraz potężniejszą konsumpcję produktów rolnych.

W czasie istnienia niefortunnego naszego przedsiębiorstwa zbożowego w Poznaniu zaasekurowałem się moralnie, bo założyłem dla siebie i na swój rachunek import herbaty pod firmą „Fu Kien“, który przetrwał przeszło 20 lat.

Wytknąwszy niejedno dawniejszym naszym ziemianom, przyznaję im niepomierne zalety gospodarcze oraz zasługi społeczne. Ziemiaństwo stale i gorliwie zajmowało się włościaństwem przez długi szereg „kółek rolniczych“ i swą pracą w nich zawodową i oświatową. Ziemiaństwo umiało się wzniesć do wyżyn w uprawie ziemi i jej uszlachetnieniu, a narodowo współpracowało z całym społeczeństwem.

Wkrótce po osiedleniu się w Poznaniu w sierpniu 1897, prawdopodobnie w r. 1898 czy 1899 wstąpiłem do następujących zrzeszeń: Towarzystwo Młodych Przemysłowców, Stary Przemysł, Korporacja kupców chrześcijańskich.

Ostatnia budziła we mnie siłą rzeczy najwięcej zainteresowania, to też w miarę czasu uczestniczyłem w jej posiedzeniach. Zarząd jej składał się niemal wyłącznie z seniorów, nie mogących okazywać tej sprawności, która w każdym żywotnym zrzeszeniu jest niezbędna. Korporacja wtedy odznaczała się jakoby selekcją kupiectwa, gdyż członków nowych przyjmowała ostrożnie. W posiedzeniach brało udział bardzo mało członków. Prezes, zwykle ruchliwy, lecz bez inicjatywy, starał się jak umiał o ożywienie i prelegentów. Kiedy mnie prośbami zmuszano do wygłoszenia odczytu, przyrzekłem go pod warunkiem, że zjawi się nań najmniej 30 członków. Gdy nieco później młody adwokat dr. Witold Celichowski wykladał o prawie na 3 posiedzeniach z rzędu, było na pierwszym (o ile sobie przypominam) 15 słuchaczy, na drugim mniej, na trzecim tylko 5. Taką obojętność uważałem za lekceważenie prelegenta a posiedzenia ówczesne za farsę. Pod koniec posiedzeń przybywał P. z wyraźnym życzeniem, aby całe zgromadzenie poszło z nim do t. zw. „Katakomb“ na „kap-

kę“, co też się zwykle działo. Kiedym raz strofował to spieszne wymykanie się na „kapkę“, radząc, aby zebrani przynajmniej do 10½ wytrzymali, przy następnych sesjach P., wyciągnąwszy zegarek o 10½, pytał mnie, czy już się można rozejść.

Ponieważ nie znalazłem pola działania w tym zespole (a nie umiałem go rozpaść do działania), wystąpiłem niebawem z Korporacji kupców chrześcijańskich. Również nieżywością był, mimo wysiłków, „Stary Przemysł“, więc wystąpiłem z niego także. Tu nieraz w pół godziny po wyznaczonym dla zebrania terminie zjawiało się trzech lub czterech członków. Wysiłki celem uruchomienia bryły były bezskuteczne.

Z drugiej strony podkreślić należy, że Towarzystwo Młodych Przemysłowców okazywało największą żywotność, że w zebraniach uczestniczyło dużo członków, że zarząd sam i przy pomocy inteligentów umiał ich zainteresować różnymi wykładami. Przytem gorliwie korzystano z okazałej biblioteki, służyła uboższej diatwie rzemieślniczej przez urządzenie gwiazdki i ochoczo popierano rozwój rzemiosła, ducha patriotyzmu.

Więc w tem jedynie Towarzystwie pozostałem. Obecnie, po 25 latach przynależności, jestem członkiem honorowym i jako taki posiadam dyplom uznania.

Osobiście najsilniej przyłączyłem się do Związku Towarzystw Przemysłowych, powstałym w r. 1895. Wybrano mnie do zarządu tegoż tuż po osiedleniu się w Poznaniu. Byłem z kolei skarbnikiem, wiceprezesem, a od r. 1911 do 1920 prezesem.

Na dość częste zebrania zarządu Związku T. P. przyjeżdżał adwokat Czypicki, prezes od roku 1895 do 1911, z Koźmina z wielką punktualnością, żadnego nie opuszczając zebrania. Bardzo był gorliwy w podejmowaniu planów, projektów, niezawsze doznawał ze strony kolegów w zarządzie poparcia, jak również aż do początku r. 1911, czyli do swego ustąpienia, nie znalazł nigdy odpowiedniego

zespołu w zarządzie. Walne zebrania dobierały w miejsce ustępujących co rok nowych członków zarządu. Ale większość ich nie okazywała wybitnego zainteresowania się sprawami Związku. A należeli przecież do niego różni znani działacze: Seweryn Samulski, Maksymilian i Jan Zabłoccy, Ludwik Miklaszewski, Ignacy Kornaszewski, dr. Tadeusz Ulatowski, dr. Kazimierz Hacia, Stanisław Nowicki, zecer i poseł do parlamentu Rzeszy, adwokaci Wacław Wyczyński, Romuald Paczkowski. Większość rzemieślników zasiadała w zarządzie tylko krótko, dłużej Nowicki, a najdłużej Teodor Krause i ja.

Około rozwoju Związku T. P. prezes Czypicki miał bezwarunkowo najwięcej zasług, czy zachęcając Towarzystwa Przemysłowe jaknajgorliwiej do przystąpienia do Związku, czy też przeprowadzając utworzenie okręgów na całe państwo pruskie, czy to przez objazdy z odczytami, czy też przez popieranie wydawnictwa broszur różnych autorów. Ustawicznie musiał walczyć, dbać o podtrzymywanie żywotności Związku. Jako prezes sam zawsze układał dla zarządu porządek obrad, stale umieszczając coś nowego w nim, w przekonaniu, że działał najlepiej. Miał wadę, że był zbyt teoretykiem, poza tem nie miał czasu, by sprawę Związku wprowadzić na właściwe tory. Zebrania zarządu trwały zwykle długo wskutek obfitego porządku obrad, często przewlekały się mocno a niepotrzebnie. Mówiono bardzo wiele, chęci i w prezesie samym i w innych członkach zarządu były zawsze najlepsze. Tylko, że sposób traktowania spraw odstręczał nieraz członków od prezesa, pewnie dlatego, że mimo znacznych wysiłków, ani jeden członek zarządu nie zdołał w zarządzie działać pierwszorzędnie. Nie chcieli być pionkami, a mimo to nimi byli, i w tem tkwi w dużej mierze niedomaganie w rozwoju Związku. Z drugiej strony na ich uniewinnienie podkreślić należy, iż daleko łatwiej organizować n. p. Związek robotników czy Związek fabrykantów lub inne, gdyż praca w tychże i setnych innych jest

jednolita, bo zespół Związku robotników to sami robotnicy, mający w organizacji jeden cel, a zespół Związku fabrykantów to jednolita rzesza fabrykantów, mająca, co prawda, olbrzymie zadania w programie, ale w rzeczywistości zawsze zajmująca się tylko obroną i ochroną fabrykanta, popieraniem jego dążeń i jego rozwoju. Związek T. P. atoli to „u n i c u m”. Już bowiem każde Towarzystwo Przemysłowe było wtedy tworem dziwnym. Składało się ono z rzemieślników bardzo licznych zawodów, z kupców, z sympatyków-inteligentów. Więc jakże w takim zespole mówić o sprawach jakiegoś zawodu n. p. ślusarskiego wobec 15 szewców, 10 krawców, 4 stolarzy i tyluż ślusarzy obok innych zawodów rzemieślniczych. Wykłady zatem z dziedziny rzemiosła mogły się odbywać tylko tam, gdzie wśród Towarzystw Przemysłowych większych zdołano stworzyć wydziały lub oddziały. Takie wydziały istniały w Towarzystwie Młodych Przemysłowców w Poznaniu, a w Berlinie oddziały metalowców i inne.

Związek T. P., łączący w sobie konglomerat niemal wszystkich zawodów rzemieślniczych w Państwie Pruskim, nie mógł spraw zawodowych nigdy omawiać na walnych ani na innych swych zebraniach, poruszając zagadnienie, obchodzące choćby najsilniejsze liczebnie rzemiosło, nie rozbudziłby żadnego zainteresowania wśród wszystkich innych zawodów rzemieślniczych. Związek T. P. mógł tylko ideowo działać w obronie rzemiosła, ku podniesieniu go oświatowo, i ochronie stanu rzemieślniczego wobec władz, wobec prawa i t. d.

Związek T. P., o ile nie był inicjatorem, to protektorem wystaw i sądzę, że, gdyby nie był istniał Związek, wątpliwem jest, czy odważyłoby się jakiekolwiek Towarzystwo Przemysłowe na urządzenie wystawy. Związek zawsze dawał duchowe oparcie, o tyle miał dużą wartość ideową. Podziwiać przytem należy dzielność i sprawność, odwagę i poświęcenie działaczy z grona członków Tow. Przemysłowych, którzy umieli dzieło wystawy szczęśliwie

zorganizować i skutecznie bez strat finansowych. Odbyły się więc, o ile pamięć, wystawy Tow. Przemysłowych w Poznaniu, Pleszewie, Toruniu, Ostrowie, Gnieźnie, Berlinie, Bochum i gdzie indziej.

Społecznie i ideowo stanęła na przednim miejscu polska wystawa przemysłowa r. 1912 w Bochum, w Westfalji. Tam bowiem połączyły się wszystkie Tow. Przemysłowe Westfalji i Nadrenji celem urządzenia wystawy, która nie tylko objęła wychodźstwo tamtejsze, ale przygarnęła również Berlin, Wielkopolskę, Pomorze i t. d. Był to akt pierwszorzędnej wagi. Pokazano narodowi w kraju i na wychodźstwie rozwój przemysłu i rzemiosła i odwagę skupienia go na terenie wyłącznie niemieckim. Spoistość polska i jednota ducha zajaśniała tu w pełni. I lubo przy otwarciu wystawy zakazała władza pruska wszelkich przemówień, nawet powitań, jednak wszyscy zrozumieli doniosłość tej wspaniałej imprezy i pożyteczność wyczynu polskiego.

O dokonanych wystawach rolniczych w ostatnich latach przed wojną światową nie piszę, gdyż, o ile wiem, były one albo niemieckie albo mieszane. Jeszcze hakatyzm nie sięgał tak daleko, aby wysunąć otwarcie szpony antypolskie, aby się nie liczyć finansowo z wystawcami Polakami i z polską klientelą, odwiedzającą wystawy.

Dopiero poznańska wystawa przemysłowa w r. 1911 ukazała rogi hakatyzmu bez zadrżenia. A jednak wtedy Stefan Cegielski w obronie chyba i w interesie firmy H. Cegielski nie tylko wystawiał jako firma polska, ale czynił dla tejże antypolskiej wystawy propagandę. Piszący, nie uznając jej, na posiedzeniu Korporacji kupców chrześcijańskich wytoczył sprawę. Przewodnictwo oddano panu Stefanowi Cegielskiemu. Wysunąłem przeciw propagandzie na rzecz wystawy niemieckiej, zdaje się, 17 punktów, każdy dosadnie umotywowałem. Na zebraniu tem, o ile pamiętam, nie przemawiał nikt, prócz mnie i Cegielskiego. Tenże powiedział w podrażnieniu, czyniąc aluzję do mojego na-

zwiska, że uprawiam „filipikę“. Czulem, że całe liczne zebranie zgadza się na moje wywody. Ale, gdy miała zapaść uchwała: za wystawą, czy przeciw, to osobiści przyjaciele Cegielskiego, nawet taki dr. Hącia, cichaczem pod ścianą wymknęli się z sali obrad, a pozostali nie mieli dostatecznej odwagi przeciwstawienia się Cegielskiemu. Przecież on posiadał wielki mir i znaczenie, bano się narażać mu, a ze mną mniej się liczono. Przy głosowaniu jednak wygrałem.

W sprawie wystawy niemieckiej zaprosił parę dni później liczne grono osób z polskiego świata przemysłowo-handlowego na zebranie do swego mieszkania przy ul. Kantaka Zenon Lewandowski. Ku mej radości objął przewodnictwo Wojciech Trąmpczyński, późniejszy marszałek pierwszego sejmiku polskiego. Gdy wytoczyłem swe argumenty przeciw obesłaniu hakatystycznej wystawy niemieckiej, opozycja przeciw moim wywodom była dość silna, ale Trąmpczyński zajął stanowisko jasne przeciw wystawie, i tak znów wygrałem, lubo nawet i on nie ujął sprawy tak jędrnie, jak sobie życzyłem.

Zarząd Związku T. P. przez długie lata nie ustawał w szukaniu dróg i sposobów, by służyć Towarzystwom przemysłowym, a tem samem rzemiosłu. Więc urządzał w Poznaniu, po różnych miastach, odczyty, po których następowały pożyteczne dyskusje, wydawał broszury o rzemiośle, któremi się interesowano bardzo mało. Za moją inicjatywą drukował tygodnik rzemieślniczy „Przemysłowiec“, gdy mu na zebraniu zarządu zapewniłem całoroczny byt przez zdobycie ogłoszeń. Redaktorami byli kolejno Idzi Świtłała, z zawodu dentysta, później bankowiec, o wyższym wykształceniu młodzian, który jak orzekł, już po paru tygodniach z materiałem dla „Przemysłowca“ się wyczerpał i usunął. Drugi, p. Dionizy Królikowski, znany dziennikarz, przedtem nauczyciel, poliglota, marzyciel, teoretyk, słaby w propagandzie. Spóźniał się z robotą dla „Przemysłowca“ wskutek innych swych zajęć stale. Nie był pomysłowy w wyższej mierze. Zresztą zacny obywatel, któremu ani

kwestja, ani dola rzemieślnicza nie była obojętna. W całości: typowa natura słowiańska. Trzecim redaktorem był Stanisław Kucik, zdolny człowiek, o uniwersyteckiem wykształceniu, niezły mówca, nie umiejący się rwać do pracy, nieco oziębły w propagandzie dla Związku.

W ogólności nadzwyczaj trudno było o dobór redaktorów, umiejących pisać i poświęcać się dla rzemiosła, zdolnych do zapalania się i do rozpalania umysłów, łaknących pokarmu i gwałtownie go potrzebujących. Nieraz drukarnia Winiewicza w czwartek pod wieczór z zakłopotaniem prosiła mnie o tekst dla „Przemysłowca“, bo brak jeszcze 1½ stronicy druku. Więc strudzony całodzienną pracą zawodową i innemi zajęciami społecznymi, tuż po wieczery niemal co czwartek wyładowywałem ze swej mózgownicy okruczki dla „Przemysłowca“. Uciążliwe to zajęcie trwało zazwyczaj do drugiej w noc. To były moje „wieczory czwartkowe“. Ale mnie chodziło o utrzymanie „Przemysłowca“.

Kto chciał być istotnie redaktorem dla „Przemysłowca“, winien był się stale podejmować studjów rozległych a d h o c. Takiego redaktora Związek T. P. nie miał nigdy. Zresztą ku obronie naszych redaktorów niech posłuży ten argument, że cała prasa zawodowa, a także niemiecka, przed wojną nigdy nie była na wyżynie. Nawet pisma ściśle fachowe rzemieślnicze, jak „Tischler Zeitung“, „Lederindustrie“, czy inne, chromały poważnie. Zaś „Gazeta rzemieślnicza“ w Warszawie, „Przemysłowiec“ we Lwowie przedrukowywały mniej czy więcej udatne artykułiki ogólnej treści, a nie fachowe, z „Przemysłowca“ poznańskiego, za co im należy podziękować szczerze. Czasem pojawiały się w niemieckich pismach zawodowych rzemieślniczych doskonale artykuły zawodowe, które jednak nie nadawały się dla „Przemysłowca“, albo nie dotarły do niego, bo zbyt wielu pism nie można było abonować ze względów finansowych, albo były tak ciężkim pisane stylem, że trudno by je spopularyzować. Tak zwane „Handwerkerzeitung“i“ nie dawały również dogodnego materiału dla „Przemysłowca“,

bo w nich panowała raczej urzędowość: cech, rząd, zarządzenia, egzaminy, wybory.

Nie dziwić się redaktorom „Przemysłowca“, że się odstraszała od pracy nad rozwojem rzemiosła, bo ta była rzeczywiście mozolna i trudna.

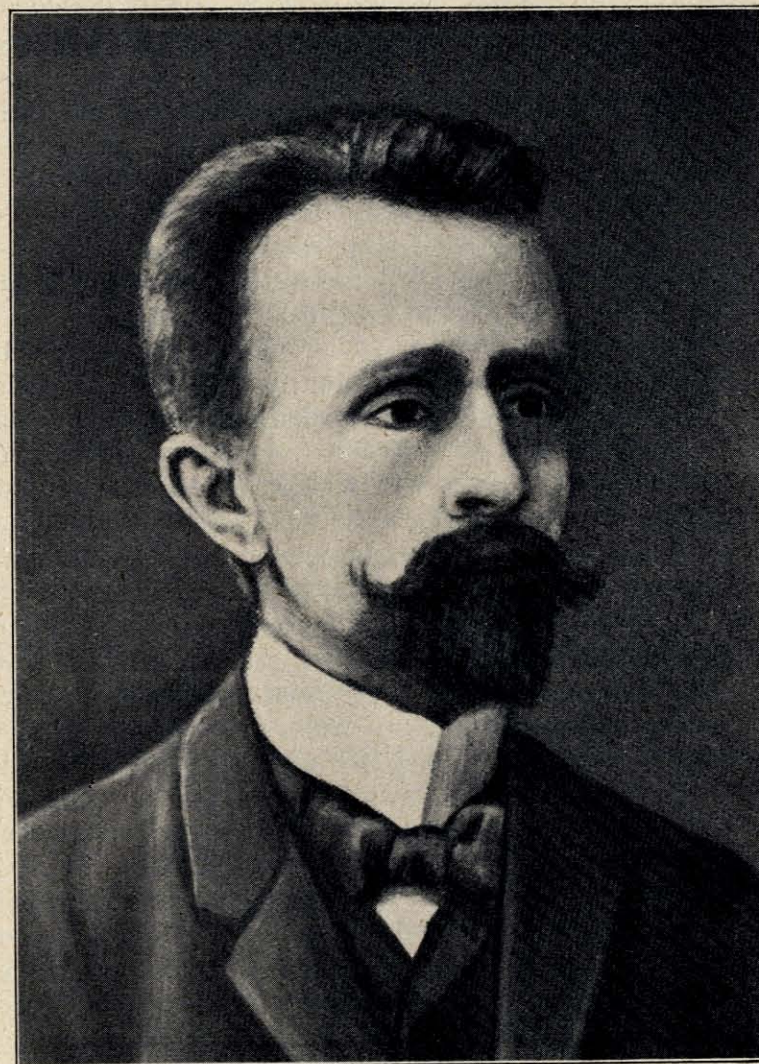
Mimo braku wszechstronnych kwalifikacyj wszystkim trzem redaktorom poważne przyznają zasługi dla „Przemysłowca“, a przede wszystkim dla rzemiosła; w pierwszym zaś rzędzie Królikowskiemu.

Trudności w redagowaniu były istotnie wielkie, bo gdy „Przemysłowiec“ np. drukował o skórach, interesował tylko skórników, obuwników i rymarzy; dla innych był to materiał zbędny; gdy pisał o drzewie, o meblach, interesował jedynie fachowców w drzewie. No i tak dalej.

W dodatku wśród rzemieślników, gdy chodziło o składki na „Zw. T. P.“, a jeszcze więcej o druk „Przemysłowca“, panowała nieuzasadniona niczem abstynencja. Składki, choćby najniższe, już wywoływały sprzeciwy. Gdy chodziło o ofiarność na cele Związku, cała rzesza rzemieślnicza, z drobnymi wyjątkami miała zamkniętą kieszeń. Starczyło na trunki, na papierosy; na Związek, na oświatę, na pisma nie poświęcano nic, albo niewiele, albo z niechęcią.

Więc i robota w Związku bez funduszy była niezmierznie trudna, niedostateczna, trzeba było objazdy z prelegentami ograniczać. Zarząd zazwyczaj podróżował bez diet. Nie było można abonować ani dla zarządu, ani dla „Przemysłowca“ pożytecznych, niezbędnych pism i druków rzemieślniczych obcych. Rzemieślnicy sami nie ze wszystkim uznawali pożyteczność istnienia Związku oraz „Przemysłowca“, woleliby coś innego, coby dawało korzyści pocho-
ch w y t n i e j s z e, materialne.

Jako następca Czipickiego od r. 1911 pragnąłem inne wytyczyć tory Związkowi, co jednakże było arcytrudnem. Najpierw wprowadziłem zawodowe wykłady, osobiście je zainicjowałem tem, że zebrałem o ślusarstwie materiał dobry, przyswoilem go sobie, a była to mozolna robota, i mie-



Poznań, rok 1911

wałem wśród mistrzów i czeladników w „Domu Królowej Jadwigi” wykłady, które interesowały. Mówiłem o ślusarstwie w Inowrocławiu i Bydgoszczy. Daleko ważniejsze zadanie widziałem w tem, że da się rzemiosłu naoczne zyski materialne, o czem niżej.

Szaro w tem wszystkim było, bo wtedy wogóle pławiono się w szarzyźnie życia. Już w r. 1898 napisałem „Testament”, w którym przeciwstawiłem Hamburg — Poznaniowi, przyziemność tu, a górność tam. Ciasno mi było nad wyraz, jakobym się z życiem i z żywotnością zapadał.

Tymczasem żywotność w społeczeństwie w walce politycznej i w walce o byt podraślała, nie tyle może wśród ziemianstwa, co wśród mieszczan. Bardzo dużo dobrego działał w owych czasach dr. Roman Szymański, przez swój organ „Orędownik”, pismo wtedy coraz więcej oddziałujące duchowo na sfery przede wszystkim mieszczańskie, pod hasłem obrony ludu. Prawdziwy przyjaciel ludu, dr. Szymański, podnosił wśród warstw średnich przy pomocy całego szeregu inteligentów, uświadczenie polityczne i gospodarcze. Jako gorący patriota, namiętny przeciwnik Niemców, naszych najzaciętszych, najniebezpieczniejszych wrogów, walczył potężnie o prawa ludu wolą, żelazną siłą, niczem niezmaconą konsekwencją. Nie zrażał się niczem. Często ciętem piórem smagał na prawo i lewo. A gdy najnędniesze, najhaniebniejsze zarządzenie rządu pruskiego wobec dzieci szkolnych we Wrześni całą Polskę przejęło i do najgłębszego oburzyło, a nawet szeroki dalszy świat europejski mocno obruszyło, wtedy dr. Szymański całą duszą podjął walkę z barbarzyńcami pruskimi. Organizował w Poznaniu wiece protestacyjne, zapalał do jaknajmocniejszego przeciwstawienia się zamachom pruskim. Wtedy to patriotyzm we wszystkich warstwach społeczeństwa wywoływał nadzwyczajne skutki. Dr. Szymański wszędzie wyszukiwał ludzi inteligentnych, by na wiecach wymownie i dobitnie przemawiali i wskazywali środki obrony i szukał także w niższych sferach pomocników patriotów, zdolnych do

przemawiania na wiecach. Pamiętam, że i mnie odwiedził i przez 1½ godziny najusilniej nakłaniał, bym stanął w szeregu mówców. Wyjaśniłem jednak, że o działaczy politycznych nie tak trudno, że ja się na takiego nie nadaję, że w Polsce, gdy chodzi o politykę, niemal każdego da się wykwaliifikować na mówcę wiecowego. Ja zaś chcę pozostać wiernym jedynie polityce gospodarczej i nie będę się rozdrabniał. Na tem polu jest u nas prawie że pusto, więc tam sięga nieodparcie moje zadanie, mój obowiązek. Mimo różnicy zdań w tej sprawie później często stykaliśmy się z sobą zawsze bardzo zgodnie.

Wówczas rozwijać się zaczęła także bardzo dodatnio działalność społeczna wśród światłych, patriotycznych kobiet. Narażały się one, przy utrudnionem przez władzę pruską nauczaniu dzieci szkolnych, na niebezpieczeństwa, na szykany, na procesy, nawet na więzienie, jak np. pp. Janina Omańkowska, Aniela Tułodziecka. Ta zbawcza praca kobiet obejmowała z czasem najszerze kręgi, docierała nawet do najdalszych wiosek zapadłych. Cały legion wybitnych działaczek, zwłaszcza w Poznaniu, jął się krzewienia wśród dziatwy nauki języka polskiego i uświadciania jej; przytoczę tylko, oprócz wyżej wymienionych, parę działaczek pp. Zofję Tułodziecką, Helenę Rzepecką, Klarę Paczkowską, Marję Kremer, Teresę Gantkowską, obok wielu innych pań wielce zasłużonych. Objęły one także inny dział owocnej pracy, by ulżyć młodszemu pokoleniu kobiet zarobkujących w handlu i przemyśle. Stworzyły dla nich „Stowarzyszenie personatu żeńskiego”, miewały w niem popularne wykłady i założyły dla młodych, ubogich krawcowych „Pracownię Sukien”, by przynajmniej drobny ich odłam uchronić od wyzysku, wtedy swobodnie uprawianego przez handel żydowski. Prowincja szła za przykładem pań poznańskich, gdziekolwiek sprzyjały warunki.

Życie gospodarcze, zwłaszcza miejskie, musiało się oprzeć o kredyty dogodne. To też później na podstawie oszczędności wyrosły poważniejsze banki ludowe, naczele

ich stanął Bank Przemysłowców, o którym napisał poważne dzieło ks. dr. Kazimierz Zimmermann. Temi oszczędnościami służyły banki z każdym rokiem więcej rzemieślnikom, drobnym kupcom, później włościanom. Udzielano w miarę wzrostu tychże banków pożyczek wekslowych także większym przedsiębiorstwom a ostatecznie, jak już powiedziałem, ziemiaństwu. Ta akcja wspierała poważnie ruch osadniczy Polaków. W pomocy ziemiaństwu wiódł prym Bank Przemysłowców, jako najzasobniejszy w kapitały, składające się: z udziałów na przeszło 8 milionów marek w r. 1913, 34 miliony mk. wkładów. Przed wojną światową Bank Przemysłowców był, jak na nasze stosunki, potentatem, a w samej rzeczy polskim bankiem hipotecznym. Bank Przemysłowców posiadał już przed wojną, od r. 1911, w Westfalji i Nadrenji oddziały, w których składali Polacy wychodźcy ręczno, z pełnem zaufaniem, poważne oszczędności. Powstanie banków polskich na obczyźnie dawało wychodźcom zasadniczo większe oparcie i budziło w nich samopoczucie narodowe. Wszyscy kierownicy oddziałów Banku Przemysłowców byli równocześnie krzewicielami uczuć narodowych, krzepicielami duchowymi wychodźstwa, uznającego wpelni współpracę naszych banków. Naczelnikiem ich był dr. Edmund Piechocki w Gelsenkirchen (Giełżykowo). Wychodźcy sami zachęcali do zakładania nowych placówek bankowych polskich na obczyźnie.

Przytem szczęśliwa era zarobkowania, wzrastająca w Niemczech potężnie, pomagała i w kraju i na obczyźnie bardzo skutecznie w gromadzeniu oszczędności, tak dalece, że Bank Przemysłowców, który stale udzielał pożyczek po niższej stopie odsetkowej, niż najtańszy w Niemczech Bank Rzeszy, w niektórych okresach czasu przed wojną posiadał nawet nadmiar pieniędzy, i trudno było ulokować dogodnie i ostrożnie wszystkie zbytni pieniądz.

Niebezpieczeństwu utraty ziemi ojczystej przeciwstawiły się wszystkie niemal żywioły polskie: oszczędności polskie, coraz potężniej narastające w bankach polskich

i w niemałej mierze poważne dopływy oszczędności od wychodźstwa polskiego w Westfalji i Nadrenji, wreszcie pożądlivość włościan polskich dokupywania gruntów i wykupywania ziemi z rąk niemieckich. W tej mocnej walce słabych z silnym wrogiem współpracowała prasa polska jak jeden mąż.

Niepodobna tu pominąć skutecznej walki o zdobywanie ziemi z rąk niemieckich przez Marcina Biedermanna jako pionjera. Sprytny ten kupiec docierał tam, dokąd nie umiał sięgnąć żaden inny Polak i rozmaitemi sztuczkami wydobywał z rąk niemieckich nieraz okazałe splezy ziemi. A zalecania jego były typowe. Wszystko, co oferował ziemiaństwu i włościaństwu polskiemu, to były same perły, skromne dwory: pałace, liche zabudowania: fortece. Za nim szli inni prywatni, którym jednak nie dopisywała dziariskość i sprawność, jaką się odznaczał Biedermann. Złem było, że niestety nie przewłaszczał naczas ziem sprzedawanych naszym osadnikom. Inną jego zasługą było, że przez swój organ tygodniowy „Pracę“ silnie występował przeciw Niemcom, narażając się na więzienie i kary pieniężne. Procesów stąd miał bez liku. W jego szkole, że tak powiem, byli Wojciech Korfanty, Maciej Wierzbński, dr. Kazimierz Rakowski, naukowo i umysłowo od niego znacznie wyżsi, ale pokonywani jego sprytem, szybkoą orjentacją, błyskawiczną działalnością czy decyzją. Nie zawsze oni z nim się zgadzali. Mimo błędów Biedermanna nie mogę mu odmówić wielkich zasług dla polskości: uświadamiania swoich o konieczności nabywania ziemi i zdobywania majątków z rąk niemieckich. Niemcy byli wściekli na niego. Już to było ważnym walorem i dużą zasługą. Bez niego osadnictwo polskie nie byłoby się nigdy tak rozrosło, nie byłoby zdolne w takich rozmiarach ziemię z rąk niemieckich wykupywać.

O ile Marcin Biedermann zasłużył się walnie Polsce pozytywnymi zdobyczami ziemi, o tyle Karol Rzepecki zdziałał również bardzo wiele jako agitator polityczny, organi-

zując wiece antyniemieckie, pracując jak wół przy wyborach do parlamentu, czy sejmu, czy rad miejskich, czy przy innych okazjach.

Jego „Czarna księga”, piętnująca najstanowczej sprzedawczyków, — ziemian i chłopów —, była owocem mozolnej pracy i wysiłków niezwykłych.

Wobec rozwielenia żydostwa tutejszego zaciętość jego była wielka. Jako współtwórca ruchu antyżydowskiego przez stworzenie „Rozwoju” był bezwzględny w potępianiu żydów tutejszych w czambuł i wszystkich tych, którzy od żydów kupowali towary lub sprzedawali im nieruchomości.

W tej trwałej i pobudliwej robocie pomagał mu zmarły zbyt wcześnie fabrykant nitraginy: Włodzimierz Krzyżankiewicz, nie ochraniający nikogo, kto przewinił narodowo.

V.

SPÓŁKA STOLARSKA - DOM PRZEMYSŁOWY
DALSZY CIĄG PRACY SPOŁECZNEJ

Opowiedziawszy w rozdziale poprzednim o swym handlu zbożem po przeprowadzeniu się z Hamburga do Poznania, przystępuję teraz do scharakteryzowania swojego udziału w innych przedsiębiorstwach handlowych i przemysłowych. Śród nich na plan pierwszy wysuwa się „Spółka Stolarska”.

Poświęcam jej wobec tego więcej miejsca. Od 19 marca 1898 r. pracowałem w niej przez krótki czas w radzie nadzorczej i już tego samego roku jako członek zarządu.

Razem z meblarzem Albinem Andruszewskim dokonałem w Spółce ścisłej, badawczej rewizji. Dotąd w zarządzie byli sami stolarze. Dotychczasowa działalność Spółki była bardzo skromna. Największy obrót roczny — około 60 000 mk.; praca niezorganizowana. — Skutkiem naszej oceny nastąpił zwrot. Usunęli się z zarządu dwaj stolarze, w których miejsce wstąpili kupcy: Ludwik Lubiński i ja. Pod umiejętnym kierownictwem Lubińskiego rozwijała się Spółka coraz lepiej. Magazyn Spółki mieścił się przy Grobli, w podwórzu, zapchanym dorożkami. Zapasy przechowywano na I piętrze starego śpichrza; biura nie było wcale. Gdyśmy następnie wynajęli parę pokoi od dozoru kościelnego farnego przy Jezuickiej 5, trzeci kolega zarządu, cechmistrz stolarski, Marcin Andrzejewski, powiedział, że to przeniesienie przedsiębiorstwa jest dla niego deską do grobu. Mimo to Spółka odtąd coraz mocniej się rozwijała. Tu początkowo dochodziłem dziennie tylko 4 godziny, później od 8—

1 i od 3—8 godziny. Głównie działał Lubiński, porządny, sympatyczny człowiek, dzielny pracownik, którego jednak członkowie stolarze nie lubili, swarzając się z nim przy lada sposobności. Szybko dobieraliśmy coraz więcej ubikacji od dozoru kościelnego; poza szerokim parterem — całe I piętro.

Gdy się sprowadziło z Berlina pierwszy budurek damski za 600 marek, wśród stolarzy zapanowało o to oburzenie. Zwolna Spółka zdobyła sobie wśród meblarzy Polaków i Żydów pierwsze miejsce, a przed wojną miała na całą Rzeszę niemiecką ze wszystkich spółek stolarskich największe obroty towarowe. Prócz mebli sprzedawano w dużych rozmiarach dywany, firany i t. d.

Wtem przedwcześnie zmarł Lubiński, a wszedł do zarządu fachowiec w meblach, Paweł Greinert z Berlina. Na jego wykształcenie w Berliniełożył był Związek Towarzystw Przemysłowych. Greinert był zdolny i aż do ożenku niezmiennie pracowity. Poczem się zmienił na niekorzyść. Zdaje się, że wtedy już kiełkowała w nim choroba, która go w czasie wojny zmogła. Przed wojną Spółka miała wspaniałą wybór mebli i imponującą stałą wystawę. Wojna wywołała w pierwszych dwóch latach kompletny zastój, poczem zwolna obroty się zwiększały. W tym czasie nabyliśmy tanio za 42 000 marek dom po K. Ignatowiczu przy ul. Jezuickiej i tam pomieszciliśmy duże zapasy tańszych mebli.

W końcu roku 1918 wynosił nasz kapitał udziałowy 87 398.— marek, odpowiedzialność 325 000.—, rezerwy 36 018.— marek. Kredyt zaś towarowy i bankowy był dogodny i tani. Już w roku 1913 płaciliśmy wszystko niemal natychmiast gotówką i zdobyliśmy sobie w Niemczech markę „First class“.

W roku 1919 piszący, który oddawna marzył o tem, aby założyć fabrykę mebli, obejrzał wspólnie z Greinertem stosowny obiekt, który kupiono bardzo korzystnie. Była to fabryka maszyn, niegdyś Napoleona Urbanowskiego,

przy ul. Gąsiorowskich. Gdy później z budowniczym badaliśmy możliwość nadbudówki, powiada w bliskości będący przemysłowiec, iż żałuje, że kupiliśmy już ten grunt, bo zna daleko odpowiedniejszy. Poprosiłem, aby nas natychmiast zaprowadził. „Bavaria“, skasowany browar, podobala mi się tak, że w 2 dni ubiliśmy kupno, a poprzedni obiekt oddaliśmy z zyskiem 32 000 marek Nitschemu na fabrykę maszyn rolniczych i t. d. O te 32 000 było więc kupno „Bavarii“ tańsze. „Bawarię“ nabyliśmy z rąk żydowskich niezmiennie korzystnie. Budynek masywny w najlepszym stanie. Przebudowanie na fabrykę mebli było stosunkowo drogie, gdyż ani Greinert ani Łucjan Hubert, o którym później, nie byli fachowcami w kierunku budowania tak wielkiej fabryki, przytem G. był wtedy, gdy za bezcen można było mieć mularzy i t. d., zbyt powolny i działał za oszczędnie, Hubert znów całkiem forsownie, z wielkim gestem, nie licząc się wcale z wydatkami, bez umiejętności kalkulacyjnej, wprost po pańsku.

Zwrócił na Huberta moją uwagę dr. Edmund Piechocki, dyrektor oddziału Banku Przemysłowców w Gelsenkirchen, polecając go jaknajgoręcej na stanowisko kierownika technicznego Spółki. Hubert był wówczas właścicielem fabryki mebli w Berlinie, lecz w czasie wojny ją sprzedał i zbudował fabrykę w Kościanie. Nie mogłem atoli zgodzić się na to, aby obok technicznego kierownika w naszej fabryce w Poznaniu, rozpoczynającej zaledwie swe bytowanie, pracował jeszcze drugi kierownik techniczny. Na to byliśmy wogóle za mali. Wierząc wszakże opowiadaniom Piechockiego o doskonałości Huberta, zainteresowałem go możliwością założenia w Patoce pod Gorzowem na Górnym Śląsku fabryki tanich mebli dla sfer robotniczych. Administratorem Patoki, 13400 mórg lasu i tartaku, był mój przyjaciel szkolny Stanisław Breliński, dzisiejszy poseł do sejmu. Wszystkie części obszer-nych lasów były połączone siecią kolejek z tartakiem. Myśl założenia fabryki mebli podał sam Breliński. Po

porozumieniu się jego z właścicielem Patoki, Chłapowskim z Turwi, i po otrzymaniu kosztorysu na fabrykę ze strony Ł. Huberta przyjechali do mnie Chłapowski i Breliński na wspólną konferencję, którą objęto wszystkie szczegóły. Ale wkrótce zabił Chłapowskiego tramwaj elektryczny w Warszawie, tak że nasze zamiary spełzły na niczem. Dobrze się zresztą stało, gdyż skutkiem plebiscytu Patoka należy do państwa niemieckiego.

Gdym bawił wakacyjnie w Patoce, było tamże dużo jeńców Francuzów, którymi się szczerze opiekowała p. Brelińska. Do opuszczonego pięknego pałacu uczęszczaliśmy co wieczór na nabożeństwo w kapliczce. Dniem objeżdżaliśmy rozległe lasy, przeważnie sosnowe, lekką bryczką o prychawym koniu karym. Lasy graniczyły w jednym miejscu wprost z Polską.

Angażując wreszcie Huberta, po śmierci Greinerta, jako kierownika technicznego, przejęliśmy jego fabrykę w Kościanie. Gdy ta później, w czasie najgorszej dewaluacji, spłonęła, a rada nadzorcza, mimo mych przestróg, że budowa będzie za kosztowna, jednak uchwaliła jej odbudowanie, wówczas Hubert zabrał się do wzniesienia dużego gmachu, całkiem nowocześnie. Nowe maszyny i narzędzia kosztowały bardzo dużo. W rezultacie fabryka w Kościanie mimo, że robocizna była znacznie tańsza niż w Poznaniu, nie wypracowała nigdy zysków. Ale i fabryka w Poznaniu, zakrojona już na poważną skalę na około 200 robotników dziwnym sposobem pracowała minusowo.

Po ustąpieniu kierownika technicznego poruczono mnie zarząd fabryki. Wtedy okazała się moja kalkulacja przy fabrykacji zdrowsza. Ale nie umiałem dociec, na czym polegały błędy czy to w kalkulacji czy w fabrykacji. Tego i następnie nie zdołano wykryć, kiedy już rządy oddałem w inne ręce. Nie wiadomo, czy błąd tkwił w nieumiejętności kalkulacji kosztów fabrykacyjnych, czy też w tem, że wskutek braku ścisłego nadzoru wykradano już

gotowe części mebli, lub inne materiały, albo wiele psuto i potem źle sfabrykowane części palono. Sam mając całokształt działalności, handlowy i techniczny, w rękę, nie miałem możliwości pilnowania stale robót w gmachu fabrycznym, bardzo rozległym, o 4 kondygnacjach, o długości 94 metrów; pochłaniała mnie raczej działalność kuciecka.

Mimo mych rozległych zajęć społecznych pracowałem w Spółce tak jak każdy pomocnik od rana do wieczora. W dzień tylko odrywałem się co pół roku 3 razy w tygodniu na godzinę na sesje kredytowe w Banku Przemysłowców. Od godziny 9 wieczorem służyłem społecznie. Wszelkie pisanie artykułów dla pism codziennych czy tygodniowych, wszelkie studia, odbywały się późnymi wieczorami aż w noc.

A posiedzeń i zajęć miałem przez całe długie lata dużo. Od r. 1904 do 1914 pisywałem wiele artykułów do gazet.

W r. 1923 wyprawiła mi Spółka Stolarska w dniu 19 marca 25-letni jubileusz mej pracy w Spółce. Nasamprzód odbyło się po mszy świętej uroczyste zebranie w lokalach naszych przy Starym Rynku, na którym przemówił serdecznie dr. Stanisław Pernaczyński, ofiarując mi imieniem Spółki jako dar: piękny pokój męski. Następnie goście Spółki przejechali się 7 samochodami do naszych wspólnych magazynów przy ul. 27. Grudnia nr. 2, poczem do fabryki naszej przy ul. Stolarskiej; po jej oględzinach zasiedli mili goście na salce, w zieleni i festony artystycznie wystrojonej. Z gości przypominam sobie pp. Heljodora Święcickiego, rektora Uniwersytetu, radcę Ludwika Cichowicza, wojewodę dra Witolda Celichowskiego, Wardejna, dyrektora Banku Polskiego, dra Stanisława Szumana, mego przyjaciela, dyr. Seweryna Samulskiego.

Obecną była cała Rada Nadzorcza Spółki, cały personel i delegacja robotników fabrycznych. Rada Nadzorcza i Hubert sprawili mi specjalną przyjemność pięknie przez Latońskiego wyrysowanym dyplomem następującej osnowy:

Panu Teodorowi Filipowiczowi

w dniu obchodu

25-letniego jubileuszu

pracy w Spółce Stolarskiej, zawdzięczając wspaniały rozkwit wyłącznie Jego zasługom składamy najserdeczniejsze życzenia pomyślności

ad multos annos

Spółka Stolarska

Zarząd

L. Hubert

Rada Nadzorcza

Dr. Pernaczyński, prezes
i cały jej zespół

Pozatem obdarzyli mnie pięknymi podarkami w srebrze i t. d. personal biurowy fabryk poznańskiej i kościańskiej, dalej personal biurowy na Starym Rynku, przy ul. 27. Grudnia nr. 2, w Katowicach, robotnicy fabryczni oraz kolega w zarządzie L. Hubert. Wszystkie miłe pamiątki przechowuję pieczołowicie.

Podczas uczty przemawiali p. i. prezes dr. Pernaczyński, rektor Święcicki, wojew. Celichowski, radca Cichowicz, delegat personalu i delegat robotników fabrycznych, prezes Samulski i inni. Dziękowałem wszystkim szczerze, przejęty głęboko. Odczytano serię telegramów i życzeń pisemnych. Miła biesiada trwała aż w późną noc.

Któżby sądził, że spośród tych życzliwych osób w 3 lata później wyrośnie grono przeciwników, którzy szarpali nawet moją cześć bez najmniejszego uzasadnienia. Ta rażąca niesprawiedliwość dotknęła mnie tak boleśnie, takim była dla mnie strasznym ciosem, że do dziś nie umiem się z tego porażenia otrząsnąć, lubo świat przejrzał i uznał, że przeciwnicy nie mieli żadnej słuszności. Ubodło mnie to tem silniej, że u mnie poczucie honoru jest bardzo wybitne, i że pracowałem dla Spółki przez 29½ roku usilnie, ciągle mając na oku jej jak najpotężniejszą rozbudowę. Gdy zaś nastą-

piło załamanie się złotego i Spółce groziło niebezpieczeństwo, użyłem wszelkich sposobów i największych zabiegów, aby grozę usunąć, co mi się rzeczywiście udało — mimo szalonych trudności i całej rzeszy bezwzględnych, niesprawiedliwych przeciwników. Przecież byli tacy, którzy powiedzieli, że nie ustaną, póki mnie nie zabiją moralnie. Zawiść ludzka była tu niecną pobudką. Zazdrozczono mi bez miary mego majątku, posądzano o miliony, gdy tymczasem był on i jest tak duży, że daje mi tylko skromne utrzymanie. A podkreślam, że oszczędziłem go jedynie swem arcy-skromnem życiem.

Dziś wymarzona moja Spółka Stolarska zaledwie wegetuje. Dobily ją szalone podatki, świadczenia społeczne, upadająca gospodarczo Polska, no i niedomaganie administracyjne i błędna kalkulacja. Gdyby nie moja pomoc kredytowa, Spółka Stolarska już w roku 1899 musiałaby być zniknąć z widowni, jak ówczesne spółki poznańskie: krawiecka i szewska.

Pociesza mnie, że fabryka Spółki została przebudowana na kościół św. Michała, i że na pamiątkę tej umiłowanej mej instytucji pozostaje ul. Stolarska.

Ze Spółką Stolarską ściśle jest związana sprawa wprowadzenia do Wielkopolski stylu zakopiańskiego, który przeciwnik Witkiewicza, Kowacz, nazwał sposobem zakopiańskim. Porozumiewałem się w tej mierze ze szkołą mebli zakopiańskich w Zakopanem i z Wojciechem Brzegą. Od pierwszej dwa razy, zdaje się, sprowadzałem tego rodzaju meble dla Spółki Stolarskiej, a od Brzegi nabyłem sporo wzorów z tem, aby na miejscu wytwarzać w stylu zakopiańskim, gdyż cło i fracht nadmiernie podrażały transport z Zakopanego. Próby moje w Poznaniu nie powiodły się. Nie było tu materiału w drzewie odpowiedniego ani też wytwórcy. Tworzono meble ciężkie, niezgrabne, przytem zbyt drogo. Nic w nich nie znalazło się szyku, pojętności. Zresztą publiczność wielkopolska nie gustowała wcale w stylu zakopiańskim. Kupowali tylko raczej księża

na swe probostwa, przeważnie jadalnie. Na piękne w rysunku i wykonaniu sypialnie zakopiańskie nie reflektowano niemal wcale. Jedynie „Zakład Miłowody“ pod Obornikami upamiętnił się nabyciem sypialni w stylu zakopiańskim, które dotąd się utrzymały doskonale i są na serjo największą ozdobą wnętrza tegoż zakładu. Nadto Bank Przemysłowców ozdobił salę posiedzeń w swym gmachu przy Starym Rynku meblami zakopiańskimi, wykonanymi przez Spółkę Stolarską, oraz boazerją w tymże stylu.

Jeśli już mówimy o branży meblowej, warto przytoczyć, że przed wojną nie wytwarzano w Wielkopolsce ani na Pomorzu lepszych mebli prawie wcale (wyjątek stanowiła Bydgoszcz — Heege — dla wytworniejszych wyrobów). Wszystko sprowadzano z Niemiec, gdzie się doszło do najsprawniejszej organizacji technicznej, a przez to do największej taniości. Jedna z największych fabryk mebli w Gelsenkirchen budowała przez cały rok tanio i świetnie tylko 4 typy sypialni i temi zasypywała całe Niemcy. Po roku znów wytwarzała 4 inne typy i co rok wprowadzała 4 nowości, które zawsze miały wielki zbyt. W Poznaniu wegetowały tylko 2 fabryczki meblowe żydowskie. W Swarzędzu ubożuchne stolarstwo meblowe nie wyrabiało nigdy sposobem fabrycznym, a pracowało przeważnie dla żydów poznańskich, eksportujących tani, lichy przytem wyrób swarzędzki do Niemiec. Żydzi wtedy wyzyskiwali Swarzędz dostawą drzewa i cenami w meblach niebywale, tak, że stolarz swarzędzki nigdy nie zdołał się wznieść, stale będąc w kieszeni żydowskiej, stale biedę klepiąc. Fabrykacja mebli w Niemczech, mianowicie w Berlinie, przed wojną zolbrzymiała. Zarzucano całe Niemcy i Wielkopolskę coraz to nowym smakiem mebli, poczynawszy od ohydneho „Jugendstil“. Konkurencja niemiecka w latach 1910—1914 zjadała się wprost. Kto kupował za gotówkę, rzucał fabrykantem niemieckim jak piłką. Fabrykant czynił jak największe ustępstwa, byle zbywać towar. Publiczność polska tak przesiąkła niemieckim gustem, że każda nowość nie-

miecka w meblach była jej dogodną. Przyznać należy, że istniały, zwłaszcza na zachodzie i południu Niemiec, fabryki mebli pierwszorzędne co do smaku i wykonania, tylko stosunkowo drogie. Meble gięte wiedeńskie, krzesła przedewszystkiem, miały wielki zbyt; Spółka Stolarska — bywało — sprowadzała je wagonowo. Wiedeń dawał krzesła gustowne, tanie i trwałe. Gdym raz był we Lwowie na wystawie meblowej poza jednym dostawcą w stylu zakopiańskim, mało wybrednym, nie ujrzałem nic, prócz brzydkiej tandety wiedeńskiej, tak, jakby się Lwów urodził na jakiejś uliczce stolarskiej Wiednia.

Rzecz ciekawa! Raz Spółka Stolarska miała zamówienie na 120 dużych szaf prostych, bez najmniejszych ozdób. Zainteresowała tem kilku tutejszych stolarzy. Cóż, kiedy wszyscy byli za drodzy, żądając od 110 do 120 marek za sztukę. Wtedy sprowadziła Spółka z Berlina 2 szafy — pożądane — po 56 mk. sztukę, i wykazało się jednak, że tutejsi stolarze za 60,— mk. z zyskiem sfabrykowali to, za co żądali poprzednio 120,— mk. Ich dotychczasowy wyrób, tych samych rozmiarów z najwstrętniejszym staroświeckim wystrojem, podrażającym szafę, kosztował w dobrem wykonaniu 54 marki. Jakaż to niemożliwa kalkulacja!

Nadmieniam, że w państwie niemieckim, prócz kilku poważnych firm typowo-niemieckich na południo-zachodzie Niemiec, fabrykacja mebli i ich sprzedaż hurtowa czy detaliczna tkwiła w olbrzymim odsetku w rękach żydowskich, a wszelkie niemal wyroby tekstylne, wszelkie obicia mebli, prawie wyłącznie były w żydowskim władaniu, fabrykacyjnie, handlowo. Co to się codziennie w Poznaniu kręciło tych żydków przed wojną na meble, na tkaniny!

Po wojnie poziom meblarstwa w Wielkopolsce i na Pomorzu wzniósł i wzmógł się znacznie, fabrykacja wydoskonalila się nawet w Swarzędzu, gdzie się dziś już wcale nie widzi przysłowiowej biedy w stolarstwie. Wyrabia się obecnie, obok tanich, lepsze i nawet stylowe meble. A największa w Polsce fabryka mebli Nowakowski Synowie

w Poznaniu, dziś znana już w całym państwie polskim, świetnie jest rozbudowana. Cały aparat, mimo najcięższych warunków bytowania, jest dobrze zorganizowany i spoczywa w pracowitych dłoniach dwóch braci Nowakowskich. W czasie wojny posiadali oni małą fabryczkę, ale wydzwignęli się usilnymi zabiegami, a wyroby ich obecne są już na wyżynie — względnej oczywiście — bo czegoż więcej żądać w upadającej gospodarczo — przejściowo naturalnie — Polsce.

Z czasem przyzwyczajono się do tego, że mnie brano do pomocy w rozmaitych przedsięwzięciach. Nie obył się bez mojej współpracy i Dom Przemysłowy. Odnośna Spółka Budowlana powstała na to, aby stworzyć gmach, w którymby się koncentrował ruch zarobkowy w rzemiośle i drobnym przemyśle. Widząc, że jest po stronie inicjatorów dobra wola, ale duża niezaradność w pochodzie do celu, a przede wszystkim zbyt nikła propaganda dla zdobycia poważniejszego udziałowego kapitału, napisałem w „Dzienniku Poznańskim“ w r. 1899 artykuł, który odrazu ożywił bryłę ludzką i nakłonił do przyciągania jak najwięcej udziałowców. Wywody moje oddziaływały niezwykle skutecznie. Po jakimś czasie zarząd i rada nadzorcza zaczęły się krzątać około kupna odpowiedniego gruntu, który niebawem nabyto przy placu Wolności nr. 18. Zbudowano potężny gmach z poważnym frontonem dla lepszych lokatorów na piętrach, dla sklepów handlowych na parterze i I piętrze.

U szczytu frontonu umieszczono wspaniałą rzeźbę Władysława Marcinkowskiego, podkreślającą polskość gmachu. Gdy nieco później Czesław Leitgeber obok tegoż gmachu wystawił dużą kamienicę, policja budowlana nie pozwoliła mu nadać jej swojskiego charakteru polskiego. O lokatorów nie było trudno, zwłaszcza, że czynsz był niski, położenie pierwszorzędne, mimo, że ta strona placu dotąd nie była wcale ożywiona. Życie handlowe po tej stronie stworzyły „Dom Przemysłowy“, niezwykle zainteresowanie się wspaniałą restauracją i kawiarnią na parterze i I pię-

trze, Grand Cafe Restaurant, o jakiej dotąd w Poznaniu nikt nie zamarzył — oraz wspomniany wyżej również poważny gmach sąsiedni budowniczego Cz. Leitgebra, urządzony na parterze i I piętrze także dla sklepów handlowych.

Ponieważ nikt nie znalazł się na objęcie największego lokalu w Domu Przemysłowym wraz z ogrodem, powstało osobne towarzystwo udziałowe: Grand Cafe-Restaurant. Mimo, że jedynie dla idei nabyłem udział w „Domu Przemysłowym“, i wcale mi się nie śniło w jakibądź sposób zarobkować w tymże domu, nalegano, abym choćby tymczasowo objął ster w „Grand Cafe Restaurant“. Przy pomocy Karola Rzepeckiego stworzyliśmy konsorcjum dostawców na udziały jako wierzycieli. Każdy dostawca czy mebli, czy porcelany, szkła, bielizny, stołowiźny i t. d. musiał przejąć stosowną część udziałów. Był to skomplikowany nieco aparat finansowy, ale sprawa się powiodła i Grand Cafe Restaurant, zwany „Grandką“, zaznaczył swój żywot pysznymi, jasnymi lokalami, wspaniałą kawą ze śmietanką, dobrymi ciastkami, wybornym mięsiwem. Pierwsze piętro mieściło bilardownię, pokój szachowy, lub na zebrania, i obszerną salę jadalną. Ruch w dniu otwarcia „Grandki“ był nadzwyczajny. Tłoczono się wprost. Cesarz Wilhelm II przyjechał właśnie na otwarcie „Grandki“, która daleko więcej zainteresowała publiczność, niż wjazd cesarza po przeciwległej stronie placu. Podjąłem się z konieczności na pierwszy okres ujęcia steru, i kiedy „Grandka“ znalazła się we wspaniałej formie, zwolniłem się od tej pracy odpowiedzialnej, trwającej od 7 z rana aż do późnej nocy.

Ponieważ ideowa praca w społeczeństwie naszym pod zaborem pruskim nie zdobywała należytej wagi i siły bez kapitałów, więc ochocze rzesze ze wszystkich sfer łączyły się, by oddawać pieniądze tam, gdzie była potrzeba. Kiedy groza przejścia ziemi w ręce niemieckie zapanowała na całej linii, stworzono Spółkę Rolników Parcelacyjnych i Bank Parcelacyjny. W tytułach tych zawarte jest zadanie obu

instytucyj. Ideowo tym instytucjom oddawano w dużych rozmiarach pieniądze na udziały. Do nich należałem i ja. Nie były jednak obie instytucje w zdobywaniu z rąk niemieckich ziemi dla parcelacji, ani też w nabywaniu ratowniczo zachwianych majątków polskich tak tęgie, dzielne, tak sprężyste i sprawne jak Marcin Biedermann. On przy całej parcelacji był jakby kulą ognistą.

W celach ideowych zapisałem się do Towarzystwa Pomocy Naukowej im. Karola Marcinkowskiego, biorąc w dawniejszych latach we wszelkich walnych zebraniach żywy choć cichy udział, współpracując także z komitetem poznańskim tejże instytucji. Jako były jego stypendysta czuję do deski grobowej pociąg do niego i wdzięczność.

Od około 30 lat jestem członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Interesowałem się „Towarzystwem Muzealnym“, odłamem tegoż Tow. Przyjaciół Nauk, w czasie wojny światowej założonem, jako członek zarządu, głównie przez zdobywanie jak największej liczby nowych członków, za co pisemną mam podziękę prof. Józefa Kostrzewskiego. W chwili obecnej najwięcej pomocy materialnej okazuje, chociaż w skromnych ramach, Towarzystwu Prehistorycznemu. Niestety, zainteresowanie się tą instytucją ze strony społeczeństwa jest bardzo nikłe. A przecież dziedzina wykopaliskowa powinna być drogą nam wszystkim. Wspomnę tutaj, że na otwarcie Uniwersytetu Poznańskiego ofiarowałem 1 000 marek niem. w złocie.

Zasiadałem jako członek sądów kupieckich już od zarażenia ich istnienia za rządów niemieckich.

Przy wyborach do parlamentu, do sejmu, do Rady Miejskiej za czasów niemieckich niemal stale byłem czynny, czasem jako przewodniczący jakiegoś okręgu wyborczego.

W czasie wojny sąd poznański porucił mi zbadanie ksiąg handlowych Rolnika w Kamieniu. Przysłano mi 4 centnary ksiąg; do pracy używałem 2 długich stołów spojonych, przy dwóch lampach. Sąd w Chojnicach oceniał rzecz całą, mojem zdaniem, niewłaściwie. Skazał bowiem

rzeczywistego defraudanta i drugiego urzędnika na tę samą karę pieniężną 150 marek, co Bogu ducha winnego włościanina, którego tylko tem nakłoniono do przystąpienia do zarządu, że niby nie będzie nic miał do czynienia ani nie odpowiadał za nic, boć to tylko forma, gdyż prawo wymaga 3 członków zarządu w Spółkach. Gdyśmy przysłuchiwali się wywodom sędziego przeciw włościaninowi, naraz tuż za nami zawalił się sufit, a za nim pędził potężny deszcz przez szeroki otwór.

Już przed wojną wstąpiłem, chcąc poprzeć omówione już tu zabiegi szlachetnych pań w niesieniu pomocy personalowi żeńskiemu, jak i kilku innych panów w szeregi Stowarzyszenia personelu żeńskiego, uczestniczyłem w obradach zarządu, miewałem zrzadka odczyty.

A i młodzież męska handlowa dzięki usilnym zabiegom rzetelnego pioniera d-ra Hąci coraz mocniej zaczęła się krzątać około swego dobra. Przy pomocy Bugzelów, Woźnickich, Weberów, Kucharskich i innych młodych kupców-organizatorów wyrosło wśród młodzieży kupieckiej niebywale, nieznane nigdy przedtem ożywienie. A Hącia kuł i kuli inni z nim dzielnie, tworząc poważną organizację „Młodzieży kupieckiej“. Niebawem ten młody prąd zdobył się na własny organ pod obecnym tytułem „Pracownika kupieckiego“.

Wiecznie ruchliwy dr. Hącia wraz z innymi gorliwcami młodzieży kupieckiej nakłonił mnie w roku 1906 do objęcia kuratorjum nad mającem powstać Towarzystwem Uczniów Handlowych. Aż do r. 1914 objawiało toż towarzystwo dużą żywotność. Ku zdumieniu kuratora i innych z nieokrzesanej przeciętnie rzeszy uczniów wyrastały bardzo często, jak grzyby, pojętne chłopaki, uzdolnione do zadań społecznych, garnące się do nauk, częstokroć samouki, którzy później jako pomocnicy handlowi byli stale uznawani jako najlepszy zarybek młodzieży kupieckiej. Niejeden z nich w handlu czy przemyśle zajmuje dziś wybitne stanowisko. Organizacja Tow. Uczniów Handlowych jako niepolityczna

nie podlegała nadzorowi policji pruskiej. Ale czujna władza przez swych szpiegów otaczała Towarzystwo Uczniów Handlowych tajną opieką, i gdy w r. 1913 wybrano nowy zarząd, poprosiła prezesa Szymańskiego na policję. Ten na jej wezwanie podał skład zarządu i statut Towarzystwa. Niebawem „politycznemu” Towarzystwu, boć się zameldowało, wytoczono proces, mocą którego w r. 1914 je rozwiązano, skazując kuratora na 25 marek grzywny, a 9 uczniów (zarząd) po 5 marek grzywny z dodaniem kosztów sądowych. Bronił adw. Władysław Mieczkowski, obecny dyrektor Banku Polskiego w Warszawie. Chciało się apelować, ale Mieczkowski słusznie odradził. Gdy miano przedtem przesłuchiwać policyjnie zarząd, doradziłem, aby każdy członek starannie usunął jakiegobądź skrypty, dotyczące T. U. H. z domu, i aby ani słowa nie zeznawali na policji więcej, niż się pytać będą, aby byli jak najdalej powściągliwi. Podczas pracy w biurach policja wszystkie pokoje 9 uczniów ściśle zrewidowała, ale nic nie znalazła. Chłopcy doskonale zeznawali na policji i pousuwali materiały. Mimo braku dowodów skazano wszystkich. Została tylko księżnica wcale bogata.

Do Towarzystwa Uczniów Handlowych mogli należeć uczniowie od lat 14 do 18. Ogół to chłopcy z małym, skromnym wykształceniem szkolnym wiejskim lub szkół powszechnych w mieście. Młodzieniec jakiś, który wstąpił z wykształceniem gimnazjalnym, wkrótce drapnął, ale po pewnym czasie zawrócił i był potem doskonałym prezesem „Towarzystwa U. H.”, odznaczającym się inteligencją i poczuciem obowiązku. Był to Kazimierz Czarliński.

Towarzystwo Uczniów Handlowych to kurator, po 2 radnych, przez Korporację Kupców Chrześcijańskich i przez Tow. Młodz. Kupieckiej wybranych, to 9 członków zarządu i zespół 60 do 120 członków. Zebrania odbywały się przez całą zimę co niedzielę od godziny 3 do 6, latem co dwa tygodnie. Wolne niedziele letnie poświęcało się przechadzkom dłuższym, wycieczkom w okolice Poznania, dalszym

do Puszczykowa i Ludwikowa. Zawsze śpiewano; w śpiewie mocnym, zapalnym ja przewodziłem, zawsze grywało się w piłkę nożną, zawsze się biegało ochoczo i wesoło. Ale ta młodzież przeważnie ze wsi, idąc piękną okolicą lub lasem ciekawym, stale spoglądała w dół. Wskazałem, że zawsze trzeba patrzeć wokół i w górę, nie na czubki butów. Zrozumiano, usłuchano.

Nawiasem dodam, że gdy widywałem pochody rzemieślników Niemców, z głową w górę, a Polaków z głową spuszczoną, zawsze mnie to bodło i raziło jako symbol niewoli Polaka.

Zimą w T. U. H. odbywały się stale wykłady, których ja najczęściej dostarczałem, ale wykładali i radni, razporaz goście, czasem uczeń. Dziedzina: zawsze handel, rozszerzanie wiedzy. Poznałem wtedy zdolność wyrabiania się wprost cudownego umysłów. Niezdary duchowe już po roku czy dwóch umiały samodzielnie myśleć, zabierać głos, rzeczowo przemawiać. Punktualność wzorowa. Z uderzeniem godziny 3 wstawałem i zagajalem posiedzenie. Wykłady obmyślałem zawsze takie, które młodzież pobudzały i zachęcały do zastanawiania się i myślenia. Byli wśród tej rzeszy miłej i młodej samoucy, późniejsi społecznicy *par excellence*, jak Franciszek Sparty, Zajacek (którego kula francuska czasu wojny na froncie zachodnim zmiotła z posterunku zaraz pierwszego dnia, a był to chłopak rzeczywiście wartościowy).

Raz radny nasz miał wykład o monetach i na zapytanie chłopczyka podaje stosunek złota do srebra. Radny posłużył się wyjaśnieniem nie całkiem rzeczowem. Na to inny uczeń: proszę pana, o ile wiem, stosunek jest taki a taki. Jeszcze przy innej sprawie poprawił uczeń tegoż referenta wcale nieźle. Po zebraniu powiedziałem sympatycznemu radnemu, że, kto miewa wykłady, musi przy dyskusji być przygotowanym na pytania, przyczem musi swój temat ogarniać całkiem, by się nie plątać. Lepiej nawet zauważyć, że się nie umie dać odpowiedzi.

Zapowiedział się w jakąś niedzielę złotousty ks. prałat Kłos z odczytem. Punktualnie o 3 rozpoczynam posiedzenie odczytaniem porządku obrad. Kiedy już omawiany punkt trzeci, zjawia się o 3.20 prałat. Mała przerwa. Wstajemy na powitanie, siadamy. Prałat po cichu do mnie, zdaje się z pewnym żalem, że się nie czekało na niego z rozpoczęciem obrad. Ja natychmiast, bez żadnej zresztą aluzji do prałata, powitawszy go, oficjalnie zaznaczyłem, że u nas obowiązkowym jest zwyczajem zagajenie posiedzenia punktualnie o godzinie 3. Wykład prałata był bardzo ciekawy, poruszał obowiązki i zadania ucznia handlowego. Po przemówieniu zaznaczyłem, że każdy z podanych nam 5-ciu punktów stosujemy skrupulatnie, a nadto nakładamy sobie 2 dalsze obowiązki. Na ten sam temat przemówili jeszcze dwaj uczniowie i umiejętnym krytycyzmem i taktem uradowali mnie w wysokim stopniu. Nie przenikałem tego dnia, że to był wstęp do łagodnego wyławiania nam ze strony duchownej najlepszych uczniów dla „Sodalicii”.

Pomieniony Fr. Sparty w gorliwości swej z łona uczniów pozaprogramowo stworzył i prowadził sekcje: dyskusyjną i deklamacyjną, które cieszyły się stale dużym udziałem.

Na zebrania niedzielne udzielono nam salki w „Domu Przemysłowym”. Był to rodzaj kiszki długiej, jasnej, nie ślepej. Na jednej kończynie salki zarząd, na drugiej piec. Zagajam raz posiedzenie i widzę, że 2 uczniów przy piecu dopala papierosy. Z uśmiechem wskazuję im, że przecież ani rada, ani nikt inny nie pali. Później już nikt przed posiedzeniem nawet nie zapalił papierosa.

Przez więcej niż 7 lat raz tylko o coś monitowałem uczniów, a drugi raz swarzących się 2 członków zarządu. Zawsze odnosiłem się do uczniów z jak największą łagodnością, a mimo to miałem posłuch. Umieli cenić mą życzliwość, sprawiedliwość i współpracę.

Kiedys uczniom powiedziałem, że będę szczęśliwym, gdy pokochają mnie tak, jak ja ich. Zdaje się, że naogół tak było.

9 listopada każdego roku na moje imieniny uwieńczono salę — naturalnie w najbliższą niedzielę, ofiarowano mi albo kosz z kwiatami, albo dyplom w ramach, albo bardzo ciekawy rysunek w typowo handlowym duchu. Prezes zarządu zagaił posiedzenie uroczystym przemówieniem, były deklamacje, śpiewy, koncert instrumentalny.

Raz do roku urządzano przedstawienie amatorskie, zazwyczaj bardzo udane, na które zapraszałem swoich dobrych znajomych, a uczniowie swoich. Wszystko: jedna szarmonizowana rodzina. Po przedstawieniu dla amatorów urządzano skromną wieczerzę. Generalna próba odbywała się pod nadzorem wytrawnego i znanego aktora-śpiewaka Kopczyńskiego. Kopczyński tu poznał pierwszy raz śpiewającą Janowską, swoją przyszłą żonę, i stworzył jej na deskach teatralnych karierę. Słynna to śpiewaczka i aktorka.

Za inicjatywą Bernarda Chrzanowskiego i innych powstało w Poznaniu około r. 1900 Towarzystwo Wykładów Ludowych A. Mickiewicza. Byłem jego członkiem. Wykłady odbywały się w Bazarze w niedziele. Prosił mnie raz Chrzanowski o wygłoszenie wykładu. Chciałem mówić o społecznym handlu, lecz Chrz. odrzekł, iż wolno tylko sprawy z lat ubiegłych omawiać. Zabrałem się więc do studjów. Przeczytałem Korzona: Dzieje wewnętrzne za Stanisława Augusta, dzieła Władysława Smoleńskiego (Grabieńskiego), Gorzyckiego i inne. Miałem, zdaje się, 3 do 4 wykłady historyczne z dziedziny handlu. Poznałem wtedy, że umiem pisać popularnie i ciężkim nawet tematem, powieściowo uchwyconym, podtrzymać uwagę prostych słuchaczy. Wykład mój pierwszy ocenił w Orędowniku dr. R. Szymański, godząc się pochwalnie na wszystko, tylko nie na mój pomysł, że gdyby królowie polscy Gdańsk byli obrali stolicą, niechybnie historia nasza, nasz rozwój potoczyłyby się

wspanialszym szlakiem. Wszelkie wykłady wygłaszane pod egidą Chrzanowskiego budziły duże zainteresowanie; sala bazarowa była stale przepełniona słuchaczami i słuchaczkami.

Powstała w owych czasach w Poznaniu Rada Narodowa z naczelnikiem Ludwikiem Mycielskim z Gałowa, która przez kilka lat spełniała gorliwie trudne zadanie. Skupiły się w niej najlepsze siły. Mimo to powodzenie jej nie było takie, o jakim marzono. Organem tej cennej instytucji była „Straż“, redagowana dobrze przez Franciszka Schroedera, zawczasie potem zmarłego. Byłem członkiem Rady Narodowej, brałem w jej obradach udział skromny. A kiedy stworzono wydział gospodarczy przy Radzie Narodowej, poruczono w r. 1913 mnie i kilku członkom jako komisji opracowanie „Skorowidza“.

Było to bardzo trudne zadanie. Chodziło o to, by zastawić wszystkich polskich kupców, przemysłowców, rzemieślników, lekarzy, adwokatów, aptekarzy i t. d. i oddać duży nakład ku usłudze całego społeczeństwa polskiego w walce z hakatystycznymi zamiarami Niemców i żydów. Ci już poprzednio jeli się dobijania nas gospodarczo przez artykuły przeróżne, a mianowicie przez wydawanie druków, podających wyłącznie firmy niemieckie, a żądających, aby Niemcy wyłącznie w tychże firmach się zaopatrywali. Obrano mnie przewodniczącym tejże komisji.

Panie z inteligencji, a mianowicie ziemianki wielkopolskie, stworzyły po długich zabiegach przy pomocy różnych panów spółkę p. n. „Znicz, Produktiv-Verein“ dla ułomnych dzieci szkolnych, celem wyrabiania przez nie zabawek i dawania im zarobków.

Jako prezesowi tegoż zbiorowiska poruczono mi zainteresowanie się szkołą zabawkarską w Jaworowie (Małopolska). Wracając w sierpniu 1908 z wywczasów z Truskawca, umówiłem się z Kazimierzem Szczepańskim, dyrektorem Bazaru Krajowego we Lwowie, by wspólnie pojechać popołudniu koleją do Sądowej Wiszni. Szczepański zamówił

w tym celu telegraficznie w fabryce zabawkarskiej konie z Jaworowa. Szczepański, będąc w stałym kontakcie z Jaworowem, dojeżdżał do fabryki zawsze rowerem. W Sądowej Wiszni, ku utrapieniu naszemu, nie zastajemy zamówionych koni. Ale zjawia się po chwili usługowy żydek, i wynajęliśmy jego powózkę. Dał nam żyd kocz dość wygodny. Ledwieśmy 5 minut jechali, aż tu oberwała się chmura i lunął deszcz potężny. Żyd wyprosił sobie mój parasol ku ochronie i ulokował się przed nami. Moim pleciem zasłoniliśmy się aż po brodę. 10 minut ulewy i cała okolica doszczętnie zalana, a droga, którą jechaliśmy, także. Widać było niemal tylko korony wierzb przydrożnych. Mieliśmy być w Jaworowie o 5-ej, a stanęliśmy o 1/2 8. Fabryka już była zamknięta. Dyrektora fabryki powitał Szczepański grzmotem wyzwisk zato, że nie przysłał do Sądowej Wiszni koni. Gdy Szczepański ochłonął, wyjaśniło się, że fabryka, otrzymawszy depeszę, wysłała Rusina do Sądowej Wiszni z paczką, zawierającą 24 koników-zabawek, nie sądząc, że trzeba posłać po Szczepańskiego furmankę. Wskutek późnej pory mogliśmy oglądać tamże jedynie wytwórnę pięknych haftów. Kiedyśmy o 1/2 9 stanęli w Sądowej Wiszni, stał Rusin przy drzwiach dworca, jak go około 4 już dostrzegłem, z konikami. Zabrał je potem z sobą Szczepański.

Z ramienia Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu brałem w r. 1900 udział w jubileuszu Henryka Sienkiewicza w Warszawie. Niewiadomo, dlaczego Poznań w ostatniej dopiero chwili wyszukał delegatów takich, którzy przypadkowo posiadali paszporty rosyjskie. Więc czy społeczeństwo, czy „T. P. N.“ wysłało jako delegatów, na ich koszt naturalnie, d-ra Felicjana Niegolewskiego, d-ra Dionizego Karchowskiego, mnie i Jana Komendzińskiego, właściciela kamienic. Trzeba było zabrać ciężki, srebrny pomniczek Miecysława i Bolesława. Podjęła się tego żona J. Komendzińskiego, ukrywając ciężar umiejętnie w szatach. Ze wszystkim zajechaliśmy szczęśliwie do Warszawy. Znany

działacz mec. Antoni Osuchowski następnego rana oczekiwał nas w hotelu. Dr. Karchowski spóźnił się o 20 minut, więc Osuchowski zlażał go o to rzetelnie.

Od niepamiętnych, zdaje się, czasów pozwoliła władza rosyjska poraz pierwszy na to, aby uroczysty obchód odbył się na sali ratuszowej. Władza uczyniła zastrzeżenie, że nie wolno po otwarciu uroczystości, prócz wymienienia delegatów i doręczenia jubilatowi darów, powiedzieć ani słowa. Wchodzimy więc gęsiego powoli na salę, świątecznie przystrojoną. Stoją przy stole z jednej strony jubilat, z drugiej biskup, który odczytuje urzędowo delegacje, podając przy każdej nazwiska delegatów. Tą drogą powitano najpierw Akademię Krakowską, Uniwersytet Warszawski i Lwowski, Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Nastrój odrazu zapanował poważny, bardzo uroczysty. Delegacyj przewijało się nadzwyczaj wiele. Sienkiewicz, po odczytaniu przez biskupa delegacji, każdego delegata powitał podaniem ręki, bez słowa. Widziałem gości na galerji i na sali. Wszystkie dusze były przejęte wysoko napiętym entuzjazmem, nikt nie mówił, ale każdą delegację obejmowały serca cichą, lecz wyrazistą sympatją. Zapełniła salę jakoby muzyka eolska, cieniowanie uczuć, wyrażane przytłumionym szmerem. Było to wymowne i melodyjne w tak wysokim stopniu, o jakim dotąd nie miałem pojęcia. Każdą bez wyjątku delegację przyjmowano owacyjnie odmienną tonacją, uczelnie wyższe podniosłe, poważnie, delegacje „Kurpiów“ rzewnie. Dla mnie ten dzień był najpiękniejszy w życiu. Po akcie uroczystym delegaci, o ile się nie rozpięchli, zostali sfotografowani. Fotografja jest piękna. Siedzi dołem 5 dziarskich Łowiczan w pysznym stroju łowickim, za nimi rzesza profesorów uniwersyteckich, następnie w 2 rzędach stoi dalszy świat delegatów w świątecznych ubraniach. Razem 44 delegatów, szkoda, że nie wszyscy. Na fotografii tej, niestety, niema Sienkiewicza.

Wieczorem odbyło się przedstawienie w teatrze, dano „Zagłobę“. Gdy na balkonie I piętra, pięknie przystrojo-

nego, ukazał się jubilat, powitano go entuzjastycznie, owacyjnie. Nas, „najwyższą uczelnię poznańską“, usadowiono na balkonie vis à vis Sienkiewicza. Pierwszy rząd objęła Akademia Krakowska, profesorowie Tarnowski, Morawski, Kostecki i t. d., w II. pomieszczono nas, oraz p. Komen-dzińską. Skoro przybył prof. Tarnowski, poprosił ją, by usiadła przy nim w pierwszym rzędzie. Byłem tem wielce zakłopotany, gdyż uczony tej miary, co T., wielki esteta, a pani K., nie umiejąca mówić wytwornie po polsku, to zespół nieharmonijny. „Zagłobę“ grano pysznie; występował najlepszy zespół aktorek i aktorów.

Poczem raut w innem miejscu. Na wstępie powitał jubilata uroczystem przemówieniem niedawno zmarły Julian Adolf Święcicki, odpowiedział dziękując Sienkiewicz. Przemówienie jego przeszło trzykrotnie cenzurę rosyjską. W tłumie gości ledwie się można było przecisnąć. Następnego ranka odbyło się zebranie w zamkniętem kole w „Re-sursie kupieckiej“. Sala była przepełniona. Przemówił, zdaje się, pierwszy ks. prałat Zygmunt Chełmicki przepysznie. Ponadto cała elita uczonych uczciła jubilata głębokimi słowy, opromienionymi wzniosłymi uczuciami. Dla poznańczyków było położenie kłopotliwe, nie było bowiem mówcy; nakłaniano więc księgarza z Opola, Koraszewskiego, a kiedy ten odmówił, pomyślano o mnie. Mimo, że mówić nie umiem, jednak lekliwie zacząłem kombinować swe przemówienie, gdy na szczęście zjawia się mój szkolny kolega, Władysław Rabski, i w imieniu Poznania i Górnego Śląska przemawia. Do najwyższego stopnia rozczulony odpowiedział Sienkiewicz, dziękując najserdeczniej wszystkim mniej więcej tak: „Dał mi naród polski dotąd bardzo wiele, cześć i sławę, miłość i mienie. Ale nie posiadałem tego, co jest i musi być najdroższem dla każdego Polaka, t. j. ziemi, dziś obdarzyliście mnie hojnie Oblęgorkiem i za ten śliczny, najmiłszy dar składam Wam najserdeczniejsze podziękowanie.“ Przemówienia niejednych potentatów pióra były

porywające, pełne poezji, cudowne perły uczucia. Nastrój niesłychanie szczytny.

Znane są sympatje Sienkiewicza dla polskiego ruchu sokolego. Świadczy o tem ogłoszona niedawno odezwa jego do sokołów w Berlinie z marca 1914 r., wobec tego nie od rzeczy będzie dodać kilka słów o znaczeniu tego ruchu dla polskości w przedwojennej Rzeszy Niemieckiej. Otóż Sokół powstał w Poznaniu w r. 1886, po pogrzebie byłego profesora gimnazjum, następnie założyciela pierwszej polskiej fabryki sztucznych nawozów Dra Romana Maya. Znani patrjoci Bernard Chrzanowski, Ksawery Zakrzewski, świetnie i gorąco przemawiający dr. Władysław Rabski, kominiarz Ignacy Andrzejewski zapalny propagandysta, spółinicyator poznańskiego Sokola, Wiktor Gładysz, długoletni, wysoce zasłużony naczelnik tegoż: wszyscy podani oraz inni panowie, gorąco krzewili ideę ćwiczeń sokolich i łączenia się pod sztandarem „Sokola”. Kiedy Sokół coraz silniej zapuszczał korzenie pod byłym zaborem pruskim, powstały w Wielkopolsce, na Pomorzu coraz liczniejsze gniazda po różnych miastach. W r. 1893 powstał Związek Sokołów, a w r. 1919 Zjednoczenie Sokołów trzech dzielnic, na którego czele stanął Bernard Chrzanowski, działacz dużej miary i na tym zagonie pracy społecznej, zapalający wciąż do umiłowania idei Sokola. On i Ksawery Zakrzewski propagowali silnie, zapalnie wychowanie młodzieży, ostatni specjalnie podjął misję skautowską wśród dorastającej młodzieży i był opiekunem skauta aż do swej śmierci w r. 1916.

Przed wojną istniały w Poznaniu 3 gniazda Sokola, obecnie jest ich 20 męskich i żeńskich. Do wojny nie było wolno przynależeć kobietom do Sokola. Dziś patrzy się z radosną dumą na szeregi sokolic, które się przyczyniają wysoce do ożywienia ruchu sokolego, z ich postaci wionie duch patrjotyczny, wszelkie ćwiczenia sokole sprawiają w nich zapal.

Przed wojną ruch i rozwój sokoli posiadał duże znaczenie dla polskości w Rzeszy niemieckiej. Wytwarzał nie-

tylko zdrowe fizycznie kadry, w których dla przyszłości Polski działała młodzież, lecz rozbudzał także ducha i patriotyzm. Zajmowali się tą pracą wychowawczą szczerze, umiejętnie i ochoczo światli działacze narodowi.

Przechodząc do spraw gospodarczych, niemniej dla naszego bytu narodowego ważnych, omówimy w kilku słowach Wydział ekonomiczny „Korporacji kupców chrześcijańskich”.

Powstał on w roku 1911 za moją inicjatywą. Zadaniem jego było oderwać się od martwoty „Korporacji” i działać. Do pomocy stanęli sami młodzi, dzielni kupcy. Z łona wydziału ekonomicznego wyrósł ogólny plan udzielania rad i wskazówek tym gałęziom przemysłu, które u nas mogłyby powstać, a których nie posiadaliśmy, tudzież spieszenia z pomocą duchową i materialną przy zakładaniu takich przedsiębiorstw.

Na pierwsze miejsce wysunęliśmy sprawę założenia fabryki bielizny, ale przeprowadzenie planu udaremniła wojna. Fabryka powstała dopiero po wojnie.

Następnie zajęliśmy się energicznie przeprowadzeniem sanacji firmy K. Ignatowicz. Wybrano w tym celu do komitetu bankierów Załuskiego, Hącię, kapitalistę J. Pankallę i mnie. Do zarządu wzięliśmy Antoniego Marwega, jako najkompetentniejszego. Przy postępowaniu ugodowym wykazało się, że jeden z członków komisji godził się z przybyłymi z Niemiec wierzycielami, przeważnie żydami o prowizję dla siebie, a inne sprawy stawiał na uboczu, że dr. Hącia, posiadający hipotekę na 25 000 marek na gruncie Ignatowicza (Stary Rynek, róg ulicy Woźnej naprzeciw Goldenringa), pragnął imieniem swego banku ochronić tenże od straty, i że tylko dwóch pozostało w komitecie, na których ciążyła cała praca i z tem odpowiedzialność. Doszło do ugody, a Turno, który dał Ignatowiczowi na hipotekę 75 000,— marek, na konferencji z nami był tak rozżalony, że nie chciał się zgodzić na względnie dobrą moją propozycję, zapewniającą mu odrazu odpowiednią gotówkę,

ofiarowaną mi na ten cel przez Bank Związku po rozmowie mojej z dyrektorem Władysławem Tomaszewskim. Turno stracił przedtem na fabryce maszyn rolniczych Moegelin & Co. bardzo poważnie. Gdyby nie dziwaczna hardość Ignatowicza przy pertraktacjach z nami, byłoby się dało tuż przed wojną wszystko przeprowadzić korzystnie dla niego, tak, iż prowadząc dalej interes pod naszym nadzorem i przy spółdziale Marwega byłby mógł snadnie wybrnąć w czasie wojny przez łatwą sprzedaż olbrzymiego zapasu wszelakich towarów. Stało się inaczej, przegrała z kretelem upartość Ignatowicza. Należy przytem podkreślić, że Ignatowicz zasadniczo nie umiał ogarnąć po kupiecku swego poważnego przedsiębiorstwa. Nadzór nad całością nie panował na St. Rynku nigdy dostateczny. Ignatowicz wolał się mozolić w swem biurze nad kalkulacjami, poświęcając im całe dnie. Wyżsi jego funkcjonariusze mieli na oku raczej własne dobro. Skutkiem własnej winy i dzięki przed wojną pogarszającym się stosunkom gospodarczym polski bazar K. Ignatowicza zamarł, a na jego zgliszczach istnieje dotąd z powodzeniem bazar żydowski Tietza z Berlina.

Najwალniejszem mojem osobistem zadaniem w Wydziale Ekonomicznym było stworzenie Banku Handlowego dla popierania przemysłu. Już zdążyłem upewnić dla niego 375 000 marek, do czego przyłożył ręki przedewszystkiem Jan Pankalla, pozatem Wojciech Nagler, a w czem ja uczestniczyć chciałem kwotą 50 000 marek. Co do istoty Banku Handlowego różniłem się z Pankallą, on bowiem z kapitałem do marek 500 000 chciał mieć bank mniejszy, prywatny, na którego czele miałem ja stanąć, ja zaś chciałem, by powstał bank na szerszem tle społecznem, z udziałem całej rzeszy mniejszych kapitalistów, bez pretensji władania nim osobiście, o kapitale 1 500 000 marek. W tym też celu urządzono publiczne zebranie, w którym poza inicjatorami zabierali głos różni wybitni panowie z Poznania i z prowincji. Wszystko szło jaknajlepiej, ale

burza wojenna udaremniła nasze zabiegi. Nagler zużył swój kapitał w ten sposób, że kupił bratu folwark koło Ostrzeszowa i obniżył kwotę wkładową, inni stracili odwagę i usuwali się zwolna, zresztą psuł poniekąd sprawę dr. Hącia, by bank ten obrócić na swoje cele, osadzając w nim Stanisława Kucharskiego jako dyrektora. Sprawa upadła, i został tylko po niej tytuł: Bank Handlowy, w który się obłócił Bank Włociański, zamieniony potem na Polski Bank Handlowy.

Przy walnej pomocy ks. patrona Piotra Wawrzyniaka powstał w Poznaniu Związek Fabrykantów, do którego należałem od założenia aż do r. 1926 jako zwyczajny członek. Przyznam się, że nie będąc sam fabrykantem, aczkolwiek chciałem pomagać, mało spółdziałalem, nie umiejąc więcej.

Związek Towarzystw Kupieckich, którego inicjatorem był Wacław Ozdowski, nie doznał w zaraniu swego istnienia w Poznaniu śród kupiectwa opieki, panowała tu zaściankowa niewiara, niechęć. Kiedy A. Marweg i piszący, jako członkowie zarządu Korporacji Kupców Chrześcijańskich zachęcali do przystąpienia do tegoż Związku, prezes Korporacji, Telesfor Otmianowski, uniósł się przeciw nam srodze. Jedyńy raz ten obywatel, zrównoważony i zacny, napuszył się gniewem, przytem całkiem niesłusznie. Później jednak „Korporacja“ przystąpiła do Związku, tem samem ułatwiając mu pochod i byt. Związek ten mimo trudności zdołał sobie wywalczyć prawo obywatelskie i dziś, razem ze Związkiem Tow. Rzem. i Przem., rozwija się lepiej, niż przed wojną. Zresztą dziś dla obu Związków panuje daleko większe zrozumienie niż ongiś, a ponadto oba Związki są obecnie władniejsze, niż dawniej i z pomocą sekretarjatów sprawniejsze.

A czas wojny światowej cóż dał?

Celem założenia fabryki bielizny zwołał Wydział Ekonomiczny do Bazaru poważne grono ziemian i kupców. Tu atoli osobnym referatem przeciwstawił się Kazimierz Kużaj założeniu fabryki bielizny (zdaje się z animozji ku

Ignatowiczowi, członkowi Wydziału) i wskutek tego założono „Hurtownię Tekstilia“ dla tkanin fabrycznych. Ale to arcydzieło po krótkim powodzeniu zawiodło; straciliśmy prawie doszczętnie nasze wkłady. Równocześnie zdetonowało się na długi okres ziemian, których nie było można odtąd zagrać do żadnego udziału w przemyśle.

Ku uczczeniu długoletniej pracy społecznej d-ra Franciszka Chłapowskiego powstał fundusz jego imienia, w którym byłem członkiem komitetu, zdołał on zebrać poważniejszą sumkę. Co się z tym funduszem dzieje, czy istnieje, nie wiem, pewnie zapadł w otchłań dewaluacji.

Myśl stworzenia Bursy rzemieślniczej w Poznaniu poruszyłem pierwszy w „Przemysłowcu“, zdaje się w r. 1918. Aby dać początek ku realizacji, zdobywałem w towarzystwach akcyjnych w latach 1919—1922 obficie marki, które jednak mocno się zdewaluowały. Od siebie nabyłem na ten cel 5% długoterminową pożyczkę państwową, która nie straciła tyle na wartości, co marki. Wszystko to oddałem po wojnie zarządowi „Bursy rzemieślniczej“ z tem, że sumka ta ma być zaczątkiem funduszu żelaznego, nie zaś służyć ku pokryciu długów.

VI.

BANK PRZEMYSŁOWCÓW I FINANSOWANE
PRZEZEŃ PRZEDSIĘBIORSTWA

Od marca 1904 r. przez więcej niż 23 lata należałem do rady nadzorczej Banku Przemysłowców i wtedy, kiedy był jeszcze spółką z ogr. odpowiedzialnością i później, gdy się przerodził w spółkę akcyjną. Poświęcam temuż bankowi więcej miejsca, gdyż wiąże mnie długa moja z nim współpraca, wyłaniająca dla mnie, za czasów Polski aż do roku 1927, dużo zajęć ciekawych, doniosłych i powiedzmy, schlebając sobie, — twórczych. Bank dał mi przez szereg lat dużo sposobności działania. — W tym czasie dla Banku z członków Rady byłem najczynniejszym, bo ciągle mi powierzano rozmaite sprawy. Do roku 1918 stale tylko zwracałem uwagę na to, aby Bank wewnątrz lepiej się organizował, aby stare naleciałości i niepotrzebne balasty usuwał, i aby sprawność swoją podnosił. Tem wszystkim zdobywałem sobie nietylko w dyrekcji i wśród kolegów uznanie, ale i wśród publiczności, tak że przy każdych nowych wyborach wszystkie niemal partje na drukowanych kartkach wyborczych wysuwały na pierwsze miejsce moje nazwisko i nigdy nie rezygnowały z mej kandydatury. Po r. 1918 funkcja moja poszła całkiem w innym kierunku.

Wszystkim nam się wydawało, jakoby Bank Przemysłowców był finansowym potentatem polskim. W każdym razie w zaraniu odrodzenia się Polski był instytucją, działającą finansowo całkiem niezależnie, nie wiedzącą nawet w początkach r. 1919, co z nadmiarem pieniędzy począć, lekliwą wciąż o utratę dużych odsetków wskutek braku

odpowiedniej klienteli. Skoro więc Warszawa objawiła wielkie zapotrzebowanie na pieniądze i odpowiednio je oprocentowywała, wówczas Bank Przemysłowców wywoził szczęśliwie (!) do stolicy pod eskortą wojskową wszystko złoto, silnie w nim nagromadzone — nawet począł udzielać rozległych kredytów warszawskim bankom prywatnym. Wtedy to odpłynęły z Poznania do głodnej, chłonnej Warszawy olbrzymie pieniądze z Banku Przemysłowców i z Banku Związku Spółek Zarobkowych. Złoto wszystko wędrowało jak szara gęś do władczych rąk rządu, bo tak nakazywała ustawa rządowa. Wędrowka ta pieniądza z Poznania — ginącego bezpowrotnie dla Wielkopolski, zrobiła z Poznania, dotąd władcy pieniężnego, powolnego służbę Warszawy. Później ten sam Poznań, te same banki poznańskie musiały w P. K. K. P., przechrzonej następnie na Bank Polski, wyzebrywać z wielkim trudem drobne kredyty dla handlu i przemysłu pod weksle. Te kredyty wekslowe, nie wystarczające nawet na skromne potrzeby, podminowały odrazu zdrowotność handlu i przemysłu na zachodnich rubieżach Polski. Z tej zabójczej pustki nie zdołano się już nigdy wyrwać.

Zanim jednak nas tak „wykiwano“, w czym najwięksi głowacze wielkopolscy mimowoli pomagali, jak Trz., Pl. i inni, był okres pomyślniejszy, gdy uchodzili po Szczypiornie z Poznańskiego a także z Prus Zachodnich przede wszystkim żydzi bogaci do Niemiec. Wtedy przy pomocy własnych oszczędności i łatwych kredytów zdobywali Polacy od nich po bardzo niskich cenach masę kamienic, nawet wartościowych i masę przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych. Ta zdobycz była i zostaje dobrodziejstwem dla Polski, bo uratowała bardzo dużo dla polskości, gdyż dała duży impuls do pracy w przemyśle i handlu, do poważnego zaangażowania się w tych działach. Ale te nasze zdobycze nie okazały się fortecami; było wojsko i robotnicy, lecz brakło wytrawnych oficerów, brakło ludzi o tegiej szkole zawodowej. Do pracy zabrały się poniekąd nawet

matolki umysłowe. To jedno. A ponieważ nagle rozkwitły, jak się nam zdawało, — niebywale przemysł i handel na zachodzie Polski, więc rzucano na giełdę na akcje przemysłowe wszystko, co się miało. Mędrsi od nas z Kongresówki i Małopolski równocześnie czując wonność pieczeni na zachodzie, cichaczem nakupili kamienic w Poznaniu i gdzieindziej za grosze, nabywali nawet większe i mniejsze majątki ziemskie, także za bezcen. Ani się zachodnia Polska nie spostrzegła, jak ją szybko wydojono. Biedacze nawet czasu nie starczyło na porządną kąpiel. Bo i skądinąd zarzucono mocne sieci na nas z takim impetem już, zdaje się od lipca 1924, że mianowicie większe przedsiębiorstwa przemysłowe nie wiedziały, jak pokryć olbrzymie podatki i świadczenia. Dodano na te podatki miesięcznie 4% za opóźnione spłaty. Surowość i bezwzględność dobijała nas szybko. Należy przecież podkreślić, że społeczeństwo zachodnie uskładało przed wojną naprawdę poważniejsze oszczędności, ale że mieszczaństwo tutaj nigdy nie było możliwe i takie, by mogło tak szaleńcze podatki ponosić. Nadto nabytki fabryk i przedsiębiorstw handlowych oraz kamienic zabrały wszelki własny kapitał, więc nie starczyło na niezbędne dalsze inwestycje, nie mówiąc już o kapitale obrotowym.

Ale i dziś jeszcze ssie się wyczerpane całkiem społeczeństwo zachodnie i ssaniu niema końca. Ustał coprawda 4% haracz miesięczny, dziś jest 1%, ale kredyt jest tak drogi i tak mało dostępny, że nic się już tutaj nie opłaca, ni rolnictwo, ni przemysł i rzemiosło, ni handel, ni bankierstwo.

Ekonomika wszechświatowa podkreśla, że wszystkie działy gospodarcze tylko wtedy mogą się prawidłowo utrzymywać i rozrastać, gdy im się nieco soków odżywczych zostawia. U nas jest zasadą naczelną: każdemu przedsiębiorcy zagarnąć całkowicie zyski bilansowe. A przecież każdy przemysłowiec musi z poprzedniego roku coś zatrzymać ze zysku, jakiś niezbędny zapas na przyszłość. Tak

patrzą, i tak się dzieje na całym świecie kulturalnym. Nam się nie zostawia nic. Państwo potrzebuje dużo, pochłania dużo, wschód daje mało, czasem nic, więc zachód musi pokrywać niedobory, na wszelkie eskpady dawać pieniądze — podatek. Jeżeli rolnik nie ma na siew pieniędzy ani odpowiednich zapasów zbóż itd., zginąć musi. Jeżeli przemysłowi i handlowi nie zostawia się żadnych rezerw, muszą również zmarnieć.

Nie tak buduje się Europę, ale tak ją się uśmierca.

Wróćmy do mojej pracy w Banku Przemysłowców, o nieco jaśniejszej, niż te rozważania.

Otóż Bank Przemysłowców, dbały o ruch pieniężny, zabrał się po wojnie śmiało i z zapalem do zdobywania różnych placówek zarobkowych, przedewszystkiem do nabywania kamienie dla swych przyszłych oddziałów bankowych w Berlinie, Gdańsku, Bydgoszczy, Toruniu, Warszawie, Lublinie, Sosnowcu, Kaliszu, Katowicach, Lublińcu, Rybniku, Zórach, Król. Hucie, Bielsku, Pszczynie i w wielu innych miejscach, dalej we Francji i w Holandji. Przeprowadzenie tej części programu Banku wymagało bardzo dużo pieniędzy, które miały dawać oszczędności; wymagało szeregu uczciwych, tęgich bankowców. Brało się takich, jakich się znalazło, nienajlepszych, nienajgorszych, byle wiedzieli, że mają tęą władzę nad sobą, nadzorującą czujnie i bacznie, nieustannie.

Ale gdzież dzierżyć silny, mądry, zabiegliwy ster ludziom mało doświadczone! Wszakże już ten jeden dział wymagał wiele zmysłu organizacyjnego, olbrzymiej pracy, ciągłych wyjazdów naczelnich dyrektorów.

A ci panowie mieli widocznie pozatem dużo czasu, do pracy na niwie społecznej czy przy częstych konferencjach z rządem w Warszawie, czy przy przeróżnych pertraktacjach z klientelą i t. d. Taki urząd prezesa Izby Przemysłowo-Handlowej, który piastował dyrektor banku, już sam krępował inne zajęcia bankierskie, wielostronnością zajęć, przyjęć, konferencyj celowych, bezcelo-

wych, cłowych, problematów trudnych zagranicznych. Niektórzy dyrektorzy banków, by podolać wszystkim zadaniom i obowiązkom, ciągle wysiadali w autach i bardzo często uczestniczyli w niezbędnych ucztach i uroczystościach. A przytem niestety smażono nieraz i własne pieczenie. To już należało jakoby do fachu.

A teraz drugi dział programu: spółdziałanie z powstającymi spółkami akcyjnymi, zakładanie ich, finansowanie, przynależenie do nich, o ile zapewniało dobre kęsy, a przede wszystkim zdobywanie stanowisk w radach nadzorczych, dobrze płatnych. Nielada to zadanie, ileż na to potrzeba umysłu i czasu! Jakoż było wszystko, jak sądzili ci panowie. Lepsze spółki akcyjne musiały, by uzyskać kredyty, dawać różnym bankom akcje, jeżeli nie gratis, to po najniższych cenach. Tylko cośkolwiek odpadło z nich dla rad nadzorczych. Zarządy zaś, pozorując swą życzliwość dla licznych urzędników, przydzielaly im sypiące się, jak z rogu obfitości, coraz to nowe akcje, co tylko było zbędne-go, czego sami pochłonać nie mogły. Przy oddawaniu akcji urzędnikom odgrywał bądź co bądź rolę minjatury altruizm.

Wielki grzech i dyrekcyj i urzędników niektórych banków polegał na tem, że oddanie się sprawom banku, było podszyte egoizmem, nieraz grubym, że często zaniedbywano sprawy bankowe na korzyść własnych, że tymże poświęcano więcej troskliwości i baczności, niż bankowym. Ten grzech odbił się jaknajfatalniej na aktywności naszych banków, bo akcje, ciągle akcje, ciągle odrywanie się od spraw bankowych dla własnych akcyjnych robótek, absorbowały i czas i nerwy.

A potem niejedne banki były wprost oszołomione potęgą posiadania jaknajwięcej akcji w portfelu bankowym. Głosili niektórzy naczelnicy banków z emfazą, że posiadanie akcji jest najlepszą, najkapitałniejszą rezerwą. Natomiast inni ludzie twierdzili, że jedynie gotówka tworzy potęgę banku i stanowi o jego coraz większej rozwojowości.

Daremne to były ostrzeżenia, jakby szal opanował wówczas wszystkich, pieniądz gwałtownie się dewaluujący (nawet o 3½% dziennie!) rósł jak na młodziach, uciekano przed nim z niebywałym lękiem, każdy kupował akcje. W sam raz nabywano różne obiekty z rąk obcych, zwłaszcza żydowskich. Banki z wielką skwapliwością zabierały się do tych nowych obiektów, tworzyły z rozmachem towarzystwa akcyjne dla przemysłu. Wydawała się im niezbędnością taka akcja jako wcielenie patriotyzmu, jako prąd zbawczy. Chodziło im o uprzemysłowienie zachodniej Polski, raczej zdobycie z rąk obcych istniejącego już na zachodnich rubieżach Polski przemysłu i o tworzenie spieszne nowych gałęzi przemysłu, by Polskę uniezależnić jak najwięcej od przemysłu niemieckiego.

W takich warunkach, przyświecających zresztą wszystkim patriotom, powstawał nowy pęd jakoby twórczy na szeroki teren przemysłu. I banki i ruchliwsi osobnicy, zwłaszcza ze świata handlowego, rzucali się wprost na stare i nowe obiekty przemysłowe. Młodzieńczy zapał unosił niemal ludzi. Sądono, że wszystkiemu się podoła, że pokona się wszelkie przeciwności. Nie pytano się o doświadczenie, najniezbędniejsze przecież w przemyśle, o rutynę, o sposoby najodpowiedniejszego, sprawnego działania. Gorączkowo zapędzano się w kozi róg. Kupowano obiekty przemysłowe pośpiesznie, bez zastrzeżeń, czy żywotne, rentowne. Najdogodniejszą formą nabywania obiektów przemysłowych było tworzenie towarzystw akcyjnych i przyciąganie znacznego odłamu społeczeństwa do giełdowego żłobu akcyjnego. Z czasem coraz szersze warstwy społeczeństwa ubiegały się, uciekając przed pieniądzem, z niezwykłą skwapliwością o zdobywanie akcji. Bankom zaś musiało być na rękę, podtrzymywanie ruchu akcjami wśród klienteli, by zdobywać jak najwięcej pieniędzy. Społeczeństwo, niebardzo zastanawiało się nad bonitetem przedsiębiorstw i akcji, banki również nie miały czasu ani możliwości badania powstających towarzystw akcyjnych na pew-

ność, żywotność, rentowność. Powstał istny szal na akcje. A przedsiębiorstwa przeróżne, niemal wszystkie, stare czy nowe, po krótkim już czasie, potrzebujące na przebudowę, rozbudowę, na duże inwestycje coraz to większych kapitałów, uciekały się jako do jedynego źródła, do podwyższania kapitałów akcyjnych. Banki naturalnie skwapliwie i jakoby w interesie i przedsiębiorstw i całej Polski pomagały i służyły pośrednictwem przy podwyższaniu kapitału akcyjnego, by jak najdalej ułatwić rozwój ukochanemu przemysłowi. Przeoczono przytem w dalszym okresie działania, w erze dewaluacji rozkwitającej olbrzymio, że towarzystwa akcyjne, puszczające w obieg nowe emisje, wyzbywały się akcji za grosze, nie wzmagające w rzeczywistości nieraz wcale zasobności pieniężnej. Jest faktem niezbitym, że wtedy niejednokrotnie akcje tysiącmarkowe, wartości 20 złotych, kosztowały na giełdzie 5 groszy. Jakże mało wtenczas patrzono trzeźwo.

Nie można mówić, aby gorączka tworzenia towarzystw akcyjnych dotyczyła jedynie zachodnich ziem Polski, przeważnie Wielkopolski, w znacznej mierze Górnego Śląska, przeciwnie szal tworzenia przedsiębiorstw akcyjnych, szal nabywania akcji opanował i b. Kongresówkę i Małopolskę. Dowód na to. Już w początkach r. 1923 należał pewien mocarz bankowy z Małopolski aż do 40 rad nadzorczych w towarzystwach akcyjnych we Lwowie, Krakowie, Warszawie i na prowincji. Prawie każde nowo przejęte przedsiębiorstwo przebudowywano, rozbudowywano nie szczędząc nakładu, przytem indywidualność i duch nowatorski tańczyły kankana. Jeszcze gorzej, gdy się różni panowie dobierali do wytwarzania nowych, dotąd nie istniejących przemysłów. Co im doświadczenie! Dyrektorski mózg dawał wykończone dzieło. Laik, człowiek bez doświadczenia wogóle, a w danym wypadku nie mający pojęcia o fachowości, decydował po generalsku szybko, zwinnie. Ale w dalszym biegu jakże trudno było o ścisłą, kupiecką kalkulację, o dobrze zorganizowaną technicznie pracę!

Nie dziwić się takim objawom. Rzuciły nas w wir różnorodnych zagadnień nieraz bardzo trudnych młodzieńcza werwa, patriotyczny zapał i rozmach, oraz pewność poczynań. Radość rosła po pokonaniu pierwszych trudności, Zresztą wszystko w odrodzonej Polsce, po wojnie światowej było nowe, wszystko się uśmiechało do nas promienną wiosną.

Więc gdy tak byliśmy świetnie uzbrojeni w czynów stal, ogarnęła nietylko same miasta, ale i wieś, gorączka spółudziału z dyrekcjami banków, z kierownikami przemysłu. Nieszczęsny taniec z dewaluacją pchał wszystkich na rynek akcji. Z napięciem i zawzięciem kupowano akcje, brano wszystko co się na giełdzie czy w bankach, czy pod ręką znalazło. W handlu akcjami z natury rzeczy prym dzierżyli ci, którzy byli u złoju. Więc posiedli dużą obfitość akcji niejedni dyrektorzy banków, cały personal, rzesza spekulantów. Otworzył się dla zarobkujących nowy świat — kwiat, ruch jakby w raj. Lada uczeń bankowy, już po 2 lub 4 tygodniach zdobył plikę akcji na swą własność. Mały urzędnik bankowy wyjechał razu pewnego na wakacje do Zakopanego własnem autem i tam paradował, robiąc konkurencję d-rowsi Józefowi Eglichowi, który podczas urlopu używał auta niewłasnego. Mnie jako dyrektora Spółki Stolarskiej stale nagabywano o akcje tejże. Bank Przemysłowców, przy wielu, przez siebie stworzonych czy fundowanych Towarzystw, zgóry sobie zapewniał pewną część akcji po mocno utargowanej cenie, inaczej nie byłby uczestniczył w założeniu towarzystwa, lub w podwyższeniu kapitału akcyjnego. Niejedni bankowcy, choćby najmłodsi, tak byli czuli na akcje, taki zdobyli na nie psi węch, tak doskonale wiedzieli, kiedy kupić, kiedy znów sprzedać, tak zawsze na każde zawołanie mieli pod ręką akcje dla ochotczych nabywców wśród klienteli prywatnej, że aż miło. Zawsze zarabiali, codziennie się dorabiali. W oczach własnych w owych dniach byli bożyszczami, wobec których klientela się wprost łasiła. Jeszcze gorzej było, gdy w rozmachu

starszy bankowiec miał rękę na kredycie dla klienteli — czy to dla nabywania akcji, czy dla innych potrzeb. Taki starszy urzędnik był władcą, niczem minister skarbu. Ale i zarządy w bankach umiały się koło swego dobra kręcić. Więc i ci panowie zdobywali majątki. Nie wszyscy, muszę sprawiedliwie podkreślić. Zresztą na etyczną stronę, na moralność wyższą nie było pory w gorączkowych czasach po wojnie światowej!

Mimo to, mimo chaosu gospodarczego, mimo powojennej deprawacji charakterów na całym świecie, wypada zaznaczyć, że w pierwszych latach po oswobodzeniu Polski nie wypełzły w świecie naszym gospodarczym takie hieny jak w Szwecji Kreuger, we Francji Ousric, Loewenstein w Belgji i inne na zachodzie Europy a również w Stanach Zjednoczonych.

Dyrektorowie banków byli wówczas we własnych oczach tak wielkimi i potężnymi, wszechpotężnymi, że uwagi, krytyki ze strony rad nadzorczych ignorowali; wpływy rad były wtedy raczej formalnej natury. Zresztą członkowie rad byli równocześnie samodzielnymi przedsiębiorcami, albo dyrektorami, częściowo urzędnikami niebankowych instytucyj i sami własnych spraw mieli wbród, tak że kolosalnego rozmachu i rozpędu banków nie mogli ogarniać umysłem i podlegali sugestjom zarządów. Gdzież ktoś, całodziennie własnym zawodem zajęty, mógł w spokoju myśleć o olbrzymich transakcjach np. Banku Przemysłowców w Polsce, w Niemczech, Francji, Holandji.

Od roku 1919—1924 poruczał mi zarząd, jak już wzmiankowałem, za uchwałą rady, całą serję różnych czynności. A więc kiedy Bank Przemysłowców pospołu z Polskim Bankiem Handlowym, miał zamiar nabycia znanej fabryki „Ćmielów“, pertraktowaliśmy Dr. Hącia i ja z ks. Druckim-Lubeckim, właścicielem Ćmielowa, w Warszawie, i dokonaliśmy kupna. Gdy nam huta „Czechy“ pod Garwolinem zaoferowała swą fabrykę szkła dętego, zabiegaliśmy o ten-

że obiekt i po oględzinach huty dobiliśmy targu przy współpracy Stanisława Rzepeckiego i mojej.

Prawo napoleońskie pozwalała w b. Kongresówce cofnięcie się od kontraktu za spłaceniem podwójnej sumy, wpłaconej przez drugiego kontrahenta. Skorzystali z tego ks. Drucki-Lubecki oraz kierownictwo huty „Czechy“. Podziwiałem sielskość i malowniczość pomieszek robotników a równocześnie ich zasobność w hucie „Czechy“.

Z ramienia Banku Przemysłowców miewałem w paru bankach warszawskich nowopowstałych, a także w jednym starszym banku, różne konferencje i bywałem jako członek rady na ich zebraniach.

Już przed wojną dość często jako członek komisji rewizyjnej badałem oddziały w Gelsenkirchen itd. w Westfalji, zawsze z radością. Widziałem bowiem na wychodźstwie wszędzie wielką ochoczość składania oszczędności, skora i ofiarną pracę społeczną naszych urzędników na obczyźnie, jeżdżących w niedziele z odczytami, wielką u wychodźców ufność do Banku Przemysłowców, ich zmysł organizacyjny, patriotyzm gorący i trwały i tęsknotę za krajem oraz dużą chęć usamodzielnienia się w handlu i czasem w przemyśle. Wszystko to musiało wywoływać szczery mój zachwyt.

Jedna tylko troska stale mnie trapiła: obawa o utrzymanie polskości dzieci na obczyźnie. Dzieci te, dopóki nie chodziły do szkół, w domu rozmawiały z matką po polsku, ale gdy ugrzęzły w szkole niemieckiej, matka, obarczona pracą domową, często nawet poza domem, nie mogła się wychowaniem dzieci, mianowicie gdy ich było więcej, należycie zajmować, a ojciec zawsze pracą wyczerpany — wcale nie. Wskutek tego wpływy szkoły i wspólne zabawy z dziećmi niemieckimi działały zabójczo, z wyjątkiem tych środowisk, gdzie polskość wychodziła w większych, zwartych żyła zespołach. Zauważyłem był już w Hamburgu, jego okolicy, w Westfalji i Nadrenji, że dużo dzieci polskich szybko niemieczało, a już prawie zawsze, gdy matka

była Niemką. Niestety, małżeństwa narodowo mieszane nie były tak rzadkie. Przytem opieka duchowna na obczyźnie, do r. 1914 i potem, była arcysłaba, często niewyraźna. Księża zaś Niemcy, którzy poduczili się języka polskiego, byli zawsze gorącymi propagatorami niemieckimi wśród powierzonego ich opiece wychodźstwa. Niestety, panowała u niejednych Polaków dorosłych kompletna obojętność na polskość; zatracili ją czasem zupełnie.

Po wojnie brałem udział w poświęceniu nowego oddziału Banku Przemysłowców w Berlinie przy Französische Strasse. Ks. arcybiskup Ropp odprawił mszę św., poczem uroczystość otworzono podwoje Banku. W bankiecie uczestniczył także ks. arcybiskup Ropp, konsul polski i inni goście. W przemówieniu swem, ku czci arcybiskupa, po przytoczeniu paru biskupów Polaków jako męczenników dla sprawy polskiej w Rosji, przyrównałem go jako męczennika do nich. W odpowiedzi arcybiskup nie chciał uchodzić za męczennika, raczej sprzeciwił się temu jowialnie i z humorem, ale nieco później zgodził się na moją opinię.

Na założenie oddziału w Berlinie zawział się wprost dr. Bajoński, wykazując nadzwyczajne jego znaczenie na przyszłość jako jedynej dozwolonej po wojnie placówki bankowej polskiej w Niemczech. Przyszłość dała jednak daleko mniej korzystne wyniki, nadto funkcjonariusze bankowi w Berlinie nie dopisali.

Kiedy po zajęciu przez Polskę Bydgoszczy wybierałem się, by tamże dla Spółki Stolarskiej poczynić dogodne zakupy, równocześnie Jan Pankalla i budowniczy Stanisław Rzepecki wyruszyli do Gdańska, by zakupić kamienicę dla nowego oddziału Banku Przemysłowców. Nakłonili mnie w drodze, bym z nimi się zabrał do Gdańska, by im pomóc. Tamże odrazu podobały mi się dwie z trzech przez agentów wskazanych kamienic, bo były bardzo dogodnie położone dla celów Banku. Mimo, że budowniczy Rzepecki co do obu obiektów wyliczył nierentowność, w chwili, gdy pertraktował z agentem, podsunąłem Pankalli myśl, aby, obojętnie,

czy rentują się czy nie, wyperswadował Rzepeckiemu, że należy oba te obiekty kupić. Tak się też stało. Kupno było dla Banku bardzo korzystne. D-rowi Bajońskiemu jednak nasze kupno na cele oddziału nie konwenjowało, bo już go wtedy zepsuła wielkopańskość. Kupiono więc większy dom od dwóch ulic i przerobiono go z dużym nakładem, a poprzednie nabytki sprzedano z zyskiem.

Wracając zakupiliśmy w Bydgoszczy dla Banku także dwie kamienice z rąk żydowskich korzystnie, ale i te obiekty, mimo, że były dogodnie położone, wydawały się d-rowi Bajońskiemu za małe, więc Bank kupił przy ulicy Gdańskiej donioślejszy obiekt, jednak z tem, że nadole pracował poważny Landesbank niemiecki, a na piętrze nasz oddział. Obiekt ten kosztował dużo pieniędzy i nie przynosił zysku.

Kiedy Bank zakładał całą sieć oddziałów na Górnym Śląsku i w byłej Kongresówce, brałem udział w różnych pertraktacjach na miejscu jako członek rady, a później jako członek komisji rewizyjnej dla niejednych nowych oddziałów. Dojazdy i objazdy odbywały się szybko dobrymi samochodami. Nie traciliśmy nigdy czasu.

Mimo wszystko ani ja, ani żaden członek rady na to, jak budowano, czy drogo, korzystnie, czy zbyt kownie, nie zdołał wpływać, omnipotentem był zawsze dr. Bajoński. Takimże wszechwładcą był w Katowicach Szaflik, jako kierownik oddziału centralnego dla Śląska i Sosnowca. Szaflik co do rozmachu był sobowtórem d-ra Bajońskiego, przytem miał osobne kombinacje, mianowicie, że przez stworzenie nowych przemysłów w formie spółek akcyjnych da się Bankowi najlepszą pewność dogodnego dojenia przez drogi kredyt z przydatkami. Więc założył na jakimś miłym folwarku w Mochalli garbarnię i pasiarnię, w Ligocie fabrykę mebli i składnicę drzewa, budując dla nich nowy gmach, nie zapominając o pięknym mieszkaniu dla dyrektora. Fabrykę pasów zbudowano kosztownie, sprowadzono najnowsze maszyny. Pasy były dobre, kredyty w przed-

siębiorstwo wpakowano duże, dające Bankowi dobry procencik. Rezultat ostateczny: jeżeli nie minus, nie zero, to tyle co nic. Oglądałem fabrykę pasów z dyr. Niedbałem z Centrali Skór i lubo tenże orzekł na niekorzyść, jednak Szaflik, bagatelizując opinię, budował bez końca.

Dr. Bajoński był szalonym optymistą. Bankowi zewsząd żydzi i Niemcy oferowali obiekty. Wszystko się oglądało. Byli np. w Czersku, by ewentualnie kupić fabrykę mebli i t. d. Schütta, dr. Bajoński, dr. Pernaczyński, dr. Karasiewicz i ja jako rzeczoznawca. Oglądaliśmy wszystko, omawialiśmy szczegóły nabycia, nie decydując się od razu. Dr. Bajoński zamierzał stworzyć duży koncern meblowy: fabryka mebli Czersk, fabryka mebli Grudziądz, fabryka mebli Spółka Stolarska Poznań, Dębienko Tartaki i Młyny, fabryka mebli i składnica drzewa Ligota i oddać mnie generalne naczelnictwo. Ani mi się śniło marzyć o takim stanowisku. Nie dorosłem do niego, nie było kapitałów na to wielkie wielomiljonowe przedsiębiorstwo, ni kredytów tanich a dostatecznych, byłaby z tem przy konjunkturze zapadającej stanowczo kłapa i blamaż mój osobisty. Odmówilem natychmiast.

Przystąpienie Banku do Browaru Huggera uważałem za niepożądane i odradzałem. Mimo to Bajoński i Pernaczyński — właściwie bez uchwały rady, do Huggera przystąpili jako prezes i wiceprezes Rady i zaangażowali Bank pieniądze.

Za tem, aby Bank się finansowo zaangażował w browarze „Kobylepole“, także nie byłem. Przejęli go z pomocą Banku dr. Pernaczyński i Albin Glabisz (członek rady n.). Huggera później objęła fabryka „Roman May“, a Kobylepole zaprzędano Niemcom czy żydom w Gdańsku. Nic nie słyszałem, aby o to kogoś ścigał „Rozwój“.

Pewnego dnia z polecenia Banku pojechałem samochodem bankowym, by zbadać żydowski młyn parowy pod firmą „Hermann-Mühlen“ w Poznaniu; ledwie wróciłem w południe, już po kwadransowym obiedzie musiałem

zwiedzić i zbadać młyn parowy Zieliniec pod Poznaniem, także żydowski. Oba młyny parowe w rzeczy samej musiały się każdemu podobać, a więc i mnie, oba są duże, mogą dużo dziennie zemleć, technicznie beznagannie nowoczesnie urządzone. Uważałem, że zaangażowanie się w obu, czy nawet w jednym tylko młynie wymagałoby olbrzymich wysiłków finansowych ze strony Banku, do czego nie dorósł. Więc stanowczo odradzałem od karkołomnego poczęcia. Krzątali się około Banku parokrotnie dyr. Hamburger i dyr. Smoszewski, żydzi, obaj reprezentanci Ostbanku przed wojną, po wojnie obywateli niemieccy z Berlina. Ta transakcja na szczęście nie doszła do skutku, mimo, że dr. Bajoński leciał na jeden i drugi obiekt.

W sprawie fabryki likierów Kantorowicza spółobradowałem w Banku parokrotnie w obecności właściciela dr. Franza Kantorowicza, rzadko mądrego, przebiegłego kupca, żyda. Ostatecznie ten obiekt Bank sfinansował, tworząc tow. akcyjne polskie i dając mu dyrektora Kontrowicza, bardzo przydatną osobistość, o charakterze czystym. Przedsiębiorstwo było duże, rozwijało się dobrze, ale monopol spirytusowy podciął jego byt. Dziś radny miejski Kontrowicz jest dyrektorem Komunalnej Kasy Oszczędności (K. K. O.) w Poznaniu, do czego się wybitnie nadaje, już przedtem całe lata mając z ramienia miasta nadzór nad nią.

Był moment, kiedy Naczelnej Radzie Ludowej Ministerstwa b. Dzielnicy Pruskiej zależało wysoce na tem, by cysterny, rozsypane po całym byłym zaborze pruskim, ujęto w ręce zdrowe. Seweryn Samulski, jako wpływowy człowiek, wszczął akcję w tym kierunku, by 4 poważne banki poznańskie dla rządu polskiego przejęły notarialne gwarancje. Złożyły je Bank Związku, Bank Przemysłowców, Bank Kwilecki Potocki, Bank Ziemian. Stworzono „Cysterny Sp. z o. odp.“, na której czele stanął obrotny dyr. Sułkoński. Ziemianie nie chcieli dopuścić do tego, a mianowicie b. minister Witold Korytowski, aby te 4 banki

objęły zarząd nad cysternami, pragnęli bowiem sami go objąć. Niemal 1½ roku trwała walka, zanim „Cysterny Sp. z o. odp.“ zostały przez rząd oficjalnie uznane. „Cysterny“ rozwijały się doskonale, ale spokoju nie było. Ciągłe utrudniał nam byt Korytowski, a za nim Podkomorski, który z Akwawitu, gdzie zasiadał Korytowski, przeszedł później na stanowisko naczelnego w Monopolu Spirytusowym w Warszawie. Zaczepiała poważnie, lecz nie słusznie prokuratorja w Warszawie. Bronił sprawy dyrektor Sułkoński, a także bardzo dzielnie Józefat Kozielewski imieniem rady nadzorczej. Ale musieliśmy się poddać. Przysłano nam nieprzyjemną rewizję ksiąg handlowych z Warszawy, która zaczęła zarząd, a Sułkoński musiał przerwać leczenie się w Truskawcu. Ale ostatecznie powiedziano urzędowo z Warszawy ku naszej pochvale, że życzyby należało, aby w całej Polsce tak wzorowo prowadzono przedsiębiorstwa i księgi jak w „Cysternach“.

Z ramienia Banku zwiedzałem niemiecką fabrykę mydła I. G. Boehlke w Bydgoszczy, która mi się wydawała marną, nie wartą wiele, budynek stary, mały, widoczne było zaniedbanie. Jednak dr. Bajoński nabył ją dla przyszłej spółki akcyjnej. Sukcesu z fabryki nie było żadnego.

Bystrzycki w Orzechowie pod Wrześnią, właściciel fabryki parkietów, prosił Bank o kredyt. Pojechałem, oceniłem przedsiębiorstwo: Bank Przemysłowców udzielił niezbyt wysokiego kredytu. Zdaje się, że fabryka później się zlikwidowała.

Na Pomorzu posiadał jakiś Niemiec większy obszar ziemi ze zwirem lepszym niż w Wielkopolsce. Byłem tam razem z prof. Antonim Szumanem, inżynierem, by wszystko ocenić. Po paru dniach odbyły się narady z upartym Niemcem w Banku Przemysłowców w Poznaniu, i nabyto habendę jego, by stworzyć „Kerament Polski“. Za inicjatywą profesora Szumana rozpoczęto fabrykację maszynowo zabarwianej ceramiki na osobno nabytym gruncie w Ławicy.

Do rady należeli z łona Banku J. Pankalla i ja. Ponieważ nie umiano sprawą odpowiednio pokierować, więc sprzedano całe przedsiębiorstwo budowniczemu Stopie, na czym Bank nie stracił.

Największą dla mnie satysfakcją i dużą korzyścią dla Banku było przejęcie z rąk niemieckich fabryki wapna w Piechcinie (dawniej Hannsdorf).

Szuman, będąc we Wrocławiu w sprawie Keramentu, polecił Brosswitzowi, dyrektorowi banku Heimanna, Bank Przemysłowców jako najdogodniejszy dla następującej operacji, liczył przytem na mnie jako ówczesnego delegata Banku. Niemcy posiadali wielkie wapienniki w Piechcinie i chcieli wejść z pierwszorzędnym bankiem polskim w styczność, by z konieczności, oddając urzędowo 70% prawa do posiadania akcji tegoż Piehcina mieć dla finansowania bank polski do rozporządzenia. Sprawą tą jednak ani dr. Bajoński ani dr. Pernaczyński nie zainteresowali się bliżej. Obrady z Niemcami trwały dwa dni. Urząd likwidacyjny w Poznaniu zezwolił tylko na 30% przydziału Niemcom, Bank miał im dać znacznie więcej. Dr. Pernaczyński przewodniczył pierwszego dnia, obawiając się jednak zbytnej uległości swojej wobec Niemców, zapowiedział, że musi wyjechać i zdał mnie na drugi dzień przewodnictwo. Przytem przyrzekł Józefowi Korytowskiemu, właścicielowi majątku Piehcin, a największemu posiadaczowi akcji Piehcina wapiennika, prezesostwo w radzie nadzorczej. Drugiego dnia jako przewodniczący wobec Niemców twardo stanąłem, nieodwołalnie z tem, że Bank im nie odda więcej jak 5%, razem więc 35% akcji piechcińskich. Niemcy, mimo usilnych zabiegów, nie uzyskali odemnie nic ponad to. Przed pójściem na obiad konferowałem z jakie 3 kwadranse z Korytowskim, by go nakłonić do złożenia przyrzeczonej mu przez Pernaczyńskiego prezesury. Nie ustąpił, tylko rzekł, że podczas obiadu w tej sprawie naradzi się z innymi akcjonariuszami, ziemianami, posiadającymi poważny portfel akcji Piehcina. Po

obiedzie zrezygnował Korytowski z prezesury. Nastąpiła ugoda z Niemcami. Stworzono Spółkę akcyjną, w której Polacy narazie mieli 65%. Do rady wybrano 7 Polaków, 4 Niemców. Zarząd tworzył dyr. Władysław Namysłowski. Firma brzmiała: Fabryki Wapna i Cementu Piehcin Sp. A. Kapitał akcyjny $\frac{1}{2}$ miliona złotych. Do rady prócz wielkich akcjonariuszów ziemian przynależeli dr. Pernaczyński, prezes, A. Szuman, sekretarz, i ja. Niemcy nie mieli w pierwszych latach do Namysłowskiego zaufania, nabyli je dopiero później. Do obecnej chwili, mimo kataklizmu gospodarczego, przedsiębiorstwo trzyma się silnie. Jedyne ostatni rok nie dopisał, gdyż ani się nie buduje, ani ziemianie nie mają finansowo możliwości nabywania wapna jako nawozu. Więc obroty obniżyły się bardzo znacznie, robotników rozpuszczono $\frac{3}{4}$ w stosunku do maksymalnej ilości poprzedniej. Jedyne to akcje, które stoją jeszcze dziś dobrze i stosunkowo wysoko. Kiedy obchodzono poświęcenie przedsiębiorstwa, ks. proboszcz Kurzawski, b. poseł do parlamentu niemieckiego, a potem do sejmu polskiego, świetny mówca, znakomitem przemówieniem uczcił dzień. Wtem podchodzi do mnie dr. Pernaczyński z propozycją, abym i ja imieniem rady zabrał głos. Niechętnie się tego podjąłem, gdyż ks. K. wszystko już poruszył, nic mi nie zostawił. Z niezwykłym trudem przemówiłem, bo nie wypadało przecież powtarzać po ks. K.

Piehcin stale dba o zdrowe mieszkania dla swych robotników, niemal co roku dobudowuje nowy dom robotniczy z ogródkiem i wszelkimi dogodnościami. Dyrektor Namysłowski wymaga wiele czy od personelu urzędniczego, czy od robotnika, ale jest sprawiedliwy i wyrozumiały i wysoce życzliwy, jakoby ojciec-opiekun. W maju r. 1932 minęło 10 lat istnienia Piehcina jako przedsiębiorstwa polskiego.

Nieco później, uczestniczyłem z ramienia rady nadzorczej Banku Przemysłowców w otwarciu fabryki czekolady i cukierków pod firmą „Hanka“ w Siemianowicach na Górnym Śląsku.

Potężny Bank Przemysłowców obudził w ks. patronie Adamskim chęć wcielenia go do Banku Związku Spółek Zarobkowych, czemu swego czasu przeszkodziłem.

Bankowi Przemysłowców jestem winien szczerą wdzięczność, że dał mi tak wiele sposobności spółdziałania i że tyle nabyłem przez to doświadczeń, miłego urozmaicenia życia. Tem głębiej odczuwam jego obecną niemoc finansową i ubolewam nad jego losem nieszczęsnym. Należy dodać, że skutkiem przynależności do rady nadzorczej Banku mogłem również być członkiem rady nadzorczej Banku Centralnego w Warszawie, członkiem komisji rewizyjnej Banku Ziemi Polskiej w Lublinie, Banku Kredytu Hipotecznego w Warszawie i podobnych, że przez Bank poznałem Westfalję, Nadrenję, Gdańsk, Górny Śląsk, Kongresówkę, co wszystko ubarwiło moje życie, mą pracę.

Jako członek Komisji Rewizyjnej Wagonu S. A. w Ostrowie pojechałem raz pewnego z ks. dyr. Antonim Ludwiczakiem na rewizję. Dowiadujemy się w Ostrowie, że w fabryce „Wagon“ poprzedniego dnia była awantura. Robotnicy pobili poważnie inżyniera i wywieźli go w taczce poza obręb fabryki. Kiedyśmy mimo to odważnie zajęliśmy na teren fabryki, na szosie zalegli robotnicy fabryczni, bo pracę przerwano, robotników rozpuszczono. Pozostalymi w fabryce, a więc i opieką nad nami zajęło się wojsko, które czasu trwania naszej rewizji czuwało pieczołowicie. Wieczorem pracowaliśmy przy świeczkach aż do 9½, razem ok. 13 godzin. Szczęście, że mogliśmy zdobyć ciepłą kielbasę na obiad, a na wieczór herbatę i chleb z masłem. W spokoju dokończyliśmy rewizji, nikt nas nie zaczepiał. Wiemy, że tylko jeden książkowy, niezbędny nam przy rewizji, odważył się zjawić w fabryce na chwilę, żaden inny z personelu, ani dyrektor, nie ukazali się dnia tego na widowni z obawy o życie.

Wiele szczegółów z okresu mej pracy w Banku Przemysłowców nie umiem sobie już przypomnieć. Nie od rzeczy będzie, gdy wspomnę, że dyr. Banku, Michał Wię-

kowski, miał zwyczaj, jeżeli członek rady obchodził imieniny, wyciągać zaraz po zebraniu komisji kredytowej, na koszt solenizanta, 2 butelki węgryna, które się przy pogawędce swobodnie wypilo. Później w 2 partjach po sześciu, rada nadzorcza, składająca się z 12 członków, częstowała całą dwunastkę, 3 członków zarządu, senjora Józefa Boguńskiego ze Środy, dr. Hącię, dobrą kolacją. Każdy z tej szóstki płacił 20 marek za kolację i dobre wino węgierskie; jedzenie było przednie, nie wykwintne, bez modnych kanapek. Raz i drugi dorobiłem słowa do jakiej piosenki, raz karykatury Hąci i innych panów, więc było i wesoło i miło. Nigdy nie zapominał zarząd o żadnych imieninach rady, ale nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek wyprawił zarząd imieniny swoje. Tak było do r. 1918.

Gdy, zasłużony dla Banku, dyr. Wincenty Bryliński, pracowity, sumienny, obchodził jubileusz 25-letniej swej pracy w Banku, odczytałem Mu podczas bankietu swój wiersz na cześć Jego, co Go tak rozrzewniło, że ze łzą w oku przyszedł do mnie i prosił, byśmy sobie odtąd mówili: „TY“. Lubiłem Go i ceniłem bardzo, chociaż umiał być kancianym.

Od Sylwestra i Trzech Króli pracowaliśmy bardzo mocno, by przejrzeć parę tysięcy weksli dla bilansu. — Wtedy każdy weksel bez wyjątku przeglądałem, wskazując niejedne błędy lub usterki. Była to kolosalna robota. Dziśbym jej nie podołał. W Trzech Króli około południa, po skończonej pracy podano (na koszt rady) kielbasę z kapustą i nieco węgryna.

Przez długi ten szereg lat żyła cała rada z zarządem w najlepszej harmonii.

Kiedy bawiłem w Szwajcarji (Rigi-Scheidegg) w roku 1913, otrzymałem ze strony dra Bajońskiego zapytanie, czy zechcę zostać obok Artura Gustowskiego w nowozałożonem tow. z o. p. „Kupiec“ drugim kierownikiem, nie tyle dla współpracy, ile dla kontroli nad tygodnikiem pod tym samym tytułem, nad sposobem redagowania. Zgodzi-

łem się na propozycję. Gustowski pragnął jedynie, abym co tydzień dał artykuł ze swoim podpisem. Przyznam się, że zobowiązanie to zdawało mi się bardzo kłopotliwym; ciągle przecież byłem w dzień zajęty pracą zawodową aż pod wieczór, a ponadto ustawicznymi posiedzeniami w najróżniejszych społecznych organizacjach. Wszakże artykuły w piśmie zawodowym powinny być poważne, o doniosłym znaczeniu, treści zawsze nowej, dobrze rzeczowo i literacko ujęte. Największy szkopał to podpis własny. Starałem się sprostać temu zadaniu; lecz współpraca moja z Gustowskim trwała tylko około roku.

Po wojnie już przyszedł do Spółki Stolarskiej agent Levy, żyd, i pyta, czy kolega mój Greinert przedłożył mi ofertę, dotyczącą tartaków i młynów „Dębienko“ pod Stęszewem. Gdy temu zaprzeczyłem, oświadczył agent, że jest nadzwyczaj taniś do nabycia po żydach Brodtmanach młyn parowy, duży tartak o 3 trakach, stolarnia poważna, cementownia, przytem duży zapas drzewa, obok 38 mórg ziemi, konie, krowy i t. d. Spółka Stolarska nie posiadała jeszcze wtedy fabryki. Więc uśmiechał mi się ten obiekt. Spotykam się tegoż dnia z dyr. Ign. Niedbałem i pytam (ponieważ Spółka nie posiadała jako spółdzielnia dostatecznych kapitałów na to kupno, a Bankowi Przemysłowców chciałem ułatwić pomoc dla Spółki), czy on, Niedbał, chciałby wejść do Spółki i z czem. Na to odrazu Niedbał podaje 50 000.— mk. udziału na akcje. Więc ja, obejrzawszy przedtem dokładnie ofertę agenta, poszedłem w te tropy do Banku Przemysłowców. Gdy mi dyrekcja oświadczyła, że Spółce na Dębienko i założenie Tow. Akcyjnego da kredyt, przyjąłem pomoc tę pod warunkiem, że następnego dnia o godz. 9 rano dyrekcja ze mną i Greinertem samochodem pojedzie ocenić obiekt. Stało się tak. Obejrzało się wszystko dokładnie, ubito cenę kupna odrazu po krótkich targach, a gdyśmy już zjedli gęś żydowską, po której jeszcze dziś czuję niesmak, otrzymali żydzi telegraficzną ofertę na kupno o 75 000 wyższą,

niż myśmy ugodzili. Powiedzieli nam, że jest zwyczajem u żydów, iż gdy się po dokonanej ugodzie u nich zjadło obiad czy wieczerzę, już nigdy się nie cofają. O godz. 12½ już akt notarialny u Cichowicza przez interesowanych był podpisany.

Kupno było doskonałe. Miałem zamiar nabycia Dębienka wyłącznie dla Spółki Stolarskiej jako przyszłej jej fabryki mebli. Już nawet mój kolega, Greinert, myślał o objęciu dyrekcji w Dębienku. Ale coś mnie tknęło, aby od takiego udziału się usunąć. Więc stworzono Tow. Akcyjne z innym dyrektorem, bez udziału Spółki Stolarskiej.

Pierwszy dyrektor zakładów, poprzednio sekretarz adwokacki, krótko tylko dzierżył swe stanowisko. Następny dyrektor, dawniej kupiec i fabrykant, a także redaktor w Westfalji, był raczej fantastą, co się w owych biljonowych czasach i u innych objawiało dyrektorów, nie umiających patrzeć w rzeczywistość. Więc Bank finansujący „Dębienko“ oraz prezes rady nadzorczej tegoż przedsiębiorstwa nagle na posiedzeniu rady nadzorczej odstąpili akcje (51%) obcemu panu, a dyrektorowi dano dymisję.

Inteligencja w Stęszewie i okolicy poszła w r. 1919 na rękę małej firmie Węclewski i Śliwiński, z którą dospołu założyła „Przędę“, Węclewski i Śliwiński T. A. w Stęszewie. Nie byli to ani kupcy wyrobieni, ani się nie znali na przędzy, ich zaś drobna fabryczka, oparta w istocie o pracę ręczną, to technicznie i organizacyjnie zero. Dostrzegłszy to prezes rady i poznawszy bliżej dyrekcję, złożył swój urząd, nie umiejąc sobie dać rady, a następny prezes, borykając się ustawicznie z całą niezaradną radą nadzorczą, z kłopotami pieniężnymi, musiał się zgodzić na likwidację.

Pewnego dnia przybył do Spółki Stolarskiej Figel z Bydgoszczy z tem, aby przy jej pomocy założyć towarzystwo akcyjne na tartaczniectwo w Bydgoszczy. Nie przyrzekłem nic, nie znając osoby. F. poszedł potem do Banku Przemysłowców, gdzie go dr. Bajoński przyjął przychylnie. Późem przyciągnięto mnie w Banku Przemysłowców do

dalszych narad. Stworzono niebawem Hurtownię Drzewa „Wisła“ Tow. Akc. przy finansowem poparciu Banku Przemysłowców, Polskiego Banku Handlowego w Poznaniu oraz Banku Stadthagera i innych w Bydgoszczy. Dyrektorem został Figel, prezesem rady Dr. Biziel, w radzie członkami Dr. Hącia, Dr. Bajoński, Rozwadowski z Warszawy, Winnicki z Gdańska, mec. Wierzbicki, ja i inni. Przedsiębiorstwo ujęto w szerokie ramy, Figel nadawał mu ton. Centrala była w Bydgoszczy, oddziały w Inowrocławiu, w Gdańsku. Figel rozwinął przedsiębiorstwo poważnie; czy szczęśliwie, to rzecz inna. Początkowo rosło wszystko w potężnych rozmiarach i z pomyślnym rezultatem. Figel stał się wkrótce wielkim człowiekiem, władcą. Nabywał w Kongresówce rozległe obszary lasów, tartacznictwo w dwóch częściach miasta wiodło się przepysznie. Filut i figlarz Figel kupił sobie najwspanialszą willę — jakoby pałac — w samym środku Bydgoszczy, podejmował radę nadzorczą i dobranych gości raz i drugi sutą wieczszą. Maluczko, a struna się przeciągnęła; banki, reprezentowane w radzie, nie dawały tych poważnych kredytów, jakich Figel żądał, więc na jakieś walne zebranie przywołał powolnych swoich sojuszników, z którymi dzierżył przeszło 50% kapitału akcyjnego. Rada, widząc, na co się zanoszą, niemal cała złożyła dobrowolnie urzędy. Weszła inna, ale nic nie pomogła. Zdaje się, że w niespełna 1½ roku Figel i tę radę wykwitował, jako zbędną. Nastąpiła ostatecznie likwidacja przedsiębiorstwa. Dalszych szczegółów nie znam.

Antonio Wiatrak zdołał stworzyć przy pomocy Banku Związku i Banku Przemysłowców, posiadających w Gdańsku oddziały, Towarzystwo Akcyjne swego imienia na import kawy i herbaty. Początek był dobry, ale banki chcąc na tem jak i na innych przedsiębiorstwach, do których akcyjnie przystępowały, zarabiać kokosy, ściągaly odsetki, których zdrowe przedsiębiorstwo nigdy nie zdoła opłacać, bo mniej zarabia, niż wynoszą odsetki. Mimo wysiłków

Antonio Wiatrak T. A. musiało się zlikwidować. Do rady należeli Józefat Koziński, Mrozowski, ja i inni. Stała się szkoda, ale była nieunikniona, z winy banków, z winy dyrekcji, nie dość oględnej w udzielaniu kredytów, — mianowicie żydom w Kongresówce, z winy także czyli nasutek niedogodnych i coraz więcej się psujących w Polsce stosunków gospodarczych. W radzie tej byłem członkiem z ramienia Banku Przemysłowców, bez udziału akcjami.

Kiedy się w Banku Przemysłowców pojawili bracia Leszczyńscy z Gdańska, przywołała mnie do obrad dyrekcja. Chodziło o nabycie 3 statków pasażerskich w Gdańsku przy pomocy finansowej Banku Przemysłowców. Ponieważ mnie żegluga morska już oddawna interesowała żywo, a szczególnie w Gdańsku, więc zapaliłem się do planu pójścia z pomocą Leszczyńskim przez Bank. Osobna komisja bankowa, do której i ja należałem, oglądała w Gdańsku 3 pomienione statki, małe lecz schludne, mające łączyć komunikacyjnie Gdańsk z dobrzeżem morskim, a mianowicie z całą polską połacją. — Urządzono objazd najlepszym, białym, sympatycznym parowczykiem, i na mocy kontraktu i kredytu Banku Przemysłowców Leszczyńscy zakupili te trzy statki. Ale przez dwa lata zrzędu nie sprzyjała wiosna i latem pogoda, nie dopisał więc ruch pasażerski, nie była też sprężysta organizacja i administracja, tak, iż ta impreza Bankowi się nie powiodła, co mnie mocno strapiło.

VII.

PRZEDSIĘBIORSTWA MNIEJ ZALEŻNE
OD BANKU PRZEMYSŁOWCÓW

Hurtownia Skór i Centrala Skór.

Kiedy rząd pruski w r. 1914 w Berlinie nie mógł z rzemieślnikiem jako jednostką co do dostaw wojennych dojść do ładu, zalecał usilnie, by rzemieślnicy zespolicili się w spółki zawodowe, którym chciał służyć kredytami. Te spółki objęły potem poważną część dostaw wojskowych i pracowały wzorowo, a zawsze w takich rozmiarach, na jakie rzemieślnik jako jednostka nigdy nie mógł się zdobyć.

Więc przygotowawszy materiał i statuty, który dałem ks. patronowi Stanisławowi Adamskiemu do przejrzenia, poprosiłem tegoż, tak samo Cyryla Ratajskiego, na zebranie wstępne, na które jako prezes Związku zaprosiłem wszystkich skórników, obuwników, rymarzy i t. d. Zainteresowanych przybyło dużo; przewodniczył ks. patron Adamski. Udział minimalny oznaczyłem twardo na 1 000 marek. Ujęcie sprawy założenia „Hurtowni Skór“ jako spółdzielni podobało się wszystkim, ale znaczna większość na tak niby wysoki udział nie zgodziła się, protestując. Prosiłem ks. patrona, aby wniósł o wyjście ze sali wszystkich protestujących. Reszta uchwaliła założenie „Hurtowni Skór“, ustawy przyjęła gładko, wybrała zarząd i radę nadzorczą. Nie chcąc być prezesem rady, wysunąłem na to stanowisko Cyryla Ratajskiego. — Oświadczyłem podczas obrad, że „Hurtownia Skór“ na parę lat nie będzie żywotną, że ta sposobność będzie, że „Hurtownia Skór“ jest przygo-

towaniem na przyszłość. I rzeczywiście, z chwilą wyzwolenia Polski zaczęliśmy pracować. Naczelna Rada Ludowa z pomocą Antoniego Marwega i czterech członków rady nadzorczej stworzyła w r. 1919 „Urząd Rozdzielczy“. Tenże urząd, na mój wniosek, zawezwał do siebie wszystkich skórników, Polaków i żydów, na zebranie. — Żydzi byli wtedy potentatami w skórach, a 7 skórników Polaków miało tylko bardzo drobne znaczenie, pracowało najniższym kapitałem zakładowym. — Urzędowi Rozdzielczemu chodziło na tem zebraniu o to, aby zmusić jedyne go na Wielkopolskę i Pomorze w czasie wielkiej wojny rozdziałcę skór garbowanych, żyda Koblinerę, do oddania pewnego odsetka rozdzielnictwa przedsiębiorstwu polskiemu. Po wielkich sprzeciwach ze strony żydowskiej i znacznych targach Urząd Rozdzielczy uzyskał 35% przydziału, zostawiając narażenie resztę Koblinerowi. — Ten przydział Urząd oddał „Hurtowni Skór“. Na czele zarządu „Hurtowni“ stał Maksymilian Zabłocki.

Dla zarządzania wszystkimi skórmi zwierzęcymi stworzył Urząd Rozdzielczy osobny wydział pod swym nadzorem, z naczelnikiem Edwardem Mazurkiewiczem, fabrykantem pasów w Poznaniu. Urząd ten dobrze się zapisał, mimo, że Kobliner zawziął się na jego działalność. Wobec skórników Polaków z Poznania za wyjątkiem 2-ch: Jana Zamiary i Jana Zabłockiego, którzy już przynależeli do „Hurtowni“, powiedział Kobliner, że nie ustanie prędeej, póki nie zmiażdży „Hurtowni Skór“. Naszych skórników, przeciwników „Hurtowni Skór“, skaptowawszy dla swojej roboty, obwoził po Niemczech na swój koszt, był nawet z nimi w centrali garbarstwa niemieckiego, w Pirmasens. Ale manewr żydowski się nie udał. Wydział bowiem uzyskał na następnem zebraniu skórników dalsze 10% przydziału skór garbowanych dla „Hurtowni Skór“, a na ostatniem zebraniu tychże znów 35%, razem 80%. Kobliner na takie dictum acerbum przeniósł się do Niemiec, zostawiając na kołku hurtowników Polaków, nie związa-

nych z „Hurtownią Skór“. Gdy potem oni zapytali zarząd „Hurtowni Skór“, czyby ich przyjęto na członków, zgodziłem się po namyśle na to chętnie. Chodziło przede wszystkim o to, aby skórnictwo, które dotąd w Wielkopolsce i na Pomorzu było niemal wyłącznie w żydowskich rękach, przeszło w ręce polskie, co się też powiodło.

Naczelna Rada oddała była Frankowskiemu z Gniezna nadzór nad skórami niegarbowanymi, ale gdy się dowiedziała, że po stronie pewnej garbarni żydowskiej dzieją się nadużycia ze szkodą dla Państwa Polskiego, poruciła mi, za pośrednictwem Urzędu Rozdzielczego, założenie Towarzystwa Akcyjnego dla skór niegarbowanych. Zgodziłem się na to z tem, że mi Urząd Rozdzielczy przydzieli do pomocy swego urzędnika i sekretarza, Józefa Pankowskiego. Przy jego pomocy ustaliliśmy ustawy i już po trzech dniach powstała „Centrala Skór T. A.“ Na zebranie konstytucyjne przybyła masa rzeźników. Poprzednio już skłoniłem dwóch czy trzech rzeźników do wzięcia akcji po 10 000 mk. każdy. Kiedy do rady nadzorczej zaproponowałem jako tego, który dotąd miał odwagę dać najwięcej, bo 20 000 mk., Ign. Niedbała, zaprotestował namiętnie przeciw temu rzeźnik Buśko. Naskutek obraźliwej zaczepki Niedbał nie chciał przyjąć urzędu. Załagodziłem sprawę z uśmiechem. Do zarządu wybrano R-ra, cechmistrza rzeźnickiego, przytem czynnego w Rzeźni Miejskiej, o którym się zdawało, że podoła zadaniu. Ale R. nie dopisał, z urzędami pracować nie umiał, psuł nawet mimowoli sprawy w Urzędzie Rozdzielczym. Więc Niedbał zgodził się na mój wniosek, aby wejść jako delegat rady do zarządu. Niewiele to pomogło. Dałem im rozwód. R. poszedł, został Niedbał, który nie bez umiejętności, z wielką energią, a równocześnie czasem zbyt ostro, kategorycznie zabrał się do pracy. Była to faza nabywania z rąk żydowskich wszelkich obiektów przemysłowych, handlowych, gruntów, kamienic. — Działo się to w czasach Szczypiorna, wskutek Szczypiorna i po Szczypiornie. Żydzi nagwałt sprzedawali swe mienie,

tanio, byle najwcześniej wymknąć się do Niemiec. Ogarnęła ich ogólna panika. — Niedbał był bardzo ruchliwy, przedsiębiorczy, więcej znacznie niż ja. Mając monopol na skóry surowe, zagarniał je Niedbał wszędzie, czasem bezwzględnie, narażając się nawet na protesty, na wyzwiska. Nieco później kupiła Centrala Skór browar w Gnieźnie i przebudowała na garbarnię, co kosztowało wiele, to samo uczyniła z innym obiektem na Zawadach w Poznaniu, nabyła od żyda fabrykę pasów, kupiła również od żyda fabrykę obuwia w Poznaniu i od żyda fabrykę obuwia w Gnieźnie. Nie dość na tem; Centrala Skór kupiła przedsiębiorstwo żyda Branna w Rawiczu i wydzierżawiła dla skór od władzy kolejowej śpichrze oraz kupiła w Toruniu przy dworcu i nad torem kolejowym grunt zabudowany. — Wszystko szło w wielkim zakroju, wszelkie nabycie było bezwzględnie tanie. Kredytów nie potrzebowano zbyt wiele. Pierwotnie starczył kapitał akcyjny. Później powiększono tenże kapitał, lecz tylko fikcyjnie, bo głupawo akcje sprzedawano za grosze, mianowicie podczas dewaluacji. Nie zorientowali się ani Niedbał ani ja, żaden bankier, żaden członek rady, żaden akcjonariusz, jak wogóle zasklepiły się wówczas oczy i mózgi wszystkim działaczom, całemu społeczeństwu. — Był w tem zarodek klęski gospodarczej, która dotknęła w wysokiej mierze nie tylko ludzi możniejszych, lecz także sfery uboższe.

Hurtownia Szkła.

W jakąś sobotę r. 1919 dowiedziałem się, że władza wojskowa odsyła przybyły z Gniezna wagon szkła z powrotem, nie wiedząc, co z nim począć. Pytam więc Marwega, kierownika Urzędu Rozdzielczego, czy, jeżeli natychmiast stworzę spółkę na szkło, mogę liczyć na tenże wagon. Gdy Marweg przyrzekł, już o godz. 6-tej tegoż dnia na zebraniu Zarządu Związku Tow. Przem. jako prezes zareferowałem i poprosiłem sekretarza Związku, Teodora Krausgo, aby zwołał na poniedziałek o godz. 3-ej wszystkich

szklarzy Polaków z Poznania, celem założenia spółdzielni. Zgromadzonym szklarzom przedłożyłem statut, który przyjęto. Wszyscy przystąpili do spółdzielni Hurtownia Szkła. Już o godz. 4 uzyskałem w Urzędzie Rozdzielczym zapewnienie otrzymania wymienionego wyżej wagonu. Nie było to rzeczą łatwą, gdyż starosta gnieźnieński, komisarz tameczny, spedytor i Niemiec, przyszły właściciel tegoż szkła, odmówili Urzędowi Rozdzielczemu zwrotu wagonu. Zażądałem, aby Urząd Rozdzielczy najkategoryczniej się przeciwstawił całej czwórce i uczynił ich odpowiedzialnymi, gdyby się ośmielono wagon szkła zatrzymać nieprawnie. Po całych 2 tygodniach walk „Hurtownia Szkła” zdobyła tenże wagon. Było to zapewnieniem dywidendy na I. rok. W drugim roku, członek rady nadzorczej, szklarz Nowak, dostrzegł przypadkowo wagon szkła, doczepiony do transportu likierów żydowskiej firmy Kantorowicza i zdołał cały wagon uratować dla naszej Hurtowni. — Zarząd nie był w powołanych rękach kupca, tylko szklarza, więc trudno było o dobre prowadzenie interesu. Moją metodą była zawsze zdobywanie własnego gruntu. Więc, aby to przeprowadzić, zaproponowałem zmianę natychmiastową spółdzielni na spółkę akcyjną. Stało się tak. Na mój wniosek obrano prezesem rady F. K. Ziółkowskiego, dyrektora Drukarni Św. Wojciecha, bardzo rozumnego i tęgiego kupca. Nabyliśmy na własność dom przy ul. Półwiejskiej, założyliśmy w nim składnicę i szlifiernię. Nowy zarząd, dyrektor G., sprawował się dobrze i podniósł spółkę p. t. „Wielkopolska Hurtownia Szkła” poważnie. Niestety przytem zbyt gorąco pracował dla siebie, ciągle żądając podwyższenia pensji, co mu się zawsze udawało, coraz więcej angażując przedsiębiorstwo czy to przez dobranie ram do obrazów, czy kupno nowego gruntu pod nową fabrykę, czy założenie, niby to bardzo korzystnie, oddziału w Bydgoszczy. Cała rada ufała zbyt jego optymistycznym referatom i zapędom uludnym oraz sprawozdaniom komisji rewizyjnej. Ale zaczęły się gorsze konjunktury, dyrektor G.

na stałe zachorował poważnie, o współpracy jego dalszej ani mowy. Wykazało się potem, że chociaż on tymczasem zdołał sobie wystawić z poważnych dochodów w przedsiębiorstwie piękną willę z ogródkiem, umeblować ją, firma wskutek nieprzezornego zaangażowania kierownika w Bydgoszczy straciła około 15 000 zł w tamtym oddziale, a wskutek nieogłędnego udzielania dużego kredytu firmom, nie zasługującym na żaden kredyt, traciła coraz więcej grunt pod nogami, dostała się pod nadzór sądowy i przez likwidację znikła z widowni.

Fabryka bielizny.

Zamiar „Wydziału ekonomicznego” założenia fabryki bielizny, o czym było wyżej, nie usnął. Po wojnie zajęli się tym zamiarem poważnie blawatnicy: Wojkowski, Adamski, Adamczewski, Klinge i inni kupcy. Po stworzeniu Tow. Akc. „Fabryka Bielizny”, objechała osobna komisja z łona rady nadzorczej z członkiem zarządu Berlin, Pragę, Wiedeń, by się bliżej zaznajomić z fabrykacją. Następnie kupiono grunt z zabudowaniami, urządzono odpowiednie lokale z dużym aparatem maszyn do szycia. — Ale nie dopisał zarząd, a jakieś zaniedbanie finansowe banku przez dewaluację sprawiło opóźnienie i podrożenie inwestycji. Późniejszy zastój w branży bielizny przyspieszył likwidację, mimo, że z początku wszystko zapowiadało się korzystnie. Akcje przejął prywatny kupiec bez dostatecznych zasobów pieniężnych i zwinął przedsiębiorstwo szybko.

Zastanawiając się nad całym szeregiem powstałych nowo przedsiębiorstw akcyjnych, stwierdzam, że likwidowanie ich zawdzięczało się w pierwszym rzędzie zarządom, brakowi kapitałów obrotowych, ciężarom podatkowym, nadmiernym świadczeniom społecznym, dalej coraz więcej przyspieszonemu tempu zaniku dobrobytu, brakowi kredytów wogóle, a tanich w szczególności, zamieraniu obrotów

handlowych, niebezpieczeństwu udzielania zbyt pohopnie kredytów.

Dyrektorom handlowo-przemysłowym należy się osobny dział, zwężły i krótki.

Ileokroć założyło się przedsiębiorstwo fabryczne w pierwszych dziesięciu latach po odrodzeniu Polski, zawsze się szybko znalazł dyrektor, a szalenie rzadko kwalifikował się raz dlatego, że nie znał się wcale na urządzeniu nowej fabryki, na maszynach, któreby należało sprowadzić, na kalkulacji fabrycznej, na rozbudowie fabryki, po drugie, że nie umiał ująć działu handlowego prawidłowo, tylko po dyletancku, że często był albo matołkiem albo zerem, nie umiejącym się uporać ani z robotnikami ani z klientelą kupującą, że się zabierał do dzieła opieszale, lekkomyślnie, że zaniedbywał swe stanowisko, dopilnowując własnego interesu i poświęcając własnym sprawom więcej ducha i czasu, niż powierzonej sobie fabryce. Wszystkie tu podane wady i wadliwości osobiste, obok wielu innych braków, tworzyły największe jądro zła, spotęgowane tem, że na stanowiska dyrektorów wysuwały się wcale często nędzne charaktery, pływacze, nawet oszuści i t. d.

Niejedne nasze nowe fabryki mogłyby do dziś istnieć, gdyby miały innych dyrektorów, zdolnych, tęgich, sumiennych i uczciwych. W dodatku co innego być zdatnym bankowcem, a całkiem co innego technicznym czy handlowym dyrektorem fabryki. — Dość często się zdarzało, że bankowcy zdobywali posady dyrektorów, sądząc, że kwalifikują się na każde stanowisko, tymczasem w przemyśle nie byli częstokroć do niczego przydatni.

Wyznaję otwarcie, że w owych pierwszych latach odrodzenia Polski, w okresie ogólnej „grynderki“, zapędzałem się zadaleko, że nie orjentowałem się należycie, że nie zdawałem sobie jasno rachunku z następstw dewaluacji. Żyliśmy wszyscy wtedy w nowych warunkach bytu, całkiem nieprawidłowych, przygotowywaliśmy się przeciętnie do zawiłych zadań, z ferworem, beztrósko, z elegancją, —

jakby na jaki bal. Wszystko nas zaskoczyło zbyt nagle, do wykonania dużych zadań nie dorośliśmy wtedy, co jest zupełnie usprawiedliwionym objawem.

Przechodzę teraz do swych spraw osobistych.

Już przed wojną należałem do różnych organizacji ideowych i społecznych, a to:

I. jako gimnazjasta w gimnazjum ad S-tam Mariam Magdalenam w Poznaniu do tajnego kółka uczenia się historii polskiej, częściowo pod wodzą Antoniego Laubitza, bardzo poważnego kolegi, obecnego biskupa. Należało przytem w stosunku do władz szkolnych być jaknajdalej ostrożnymi. Więc uczono się poza murami miasta, na łąkach i t. d. O jakichś statutach nie pamiętam już nic; nie wiem czy wogóle istniały.

II. jako student byłem członkiem:

a. Towarzystwa literacko-słowiańskiego we Wrocławiu, b. Sekcji tegoż filozoficznej jako sekretarz, później prezes. Do niej wstąpiłem tegoż dnia, co mój kolega szkolny Jan Kasprowicz. Ale sekcja ta wskutek ubytku członków i ich zajęć wtedy już się załamywała. Jako prezes czy sekretarz korespondowałem z filozofem Henrykiem Struvem, profesorem w Warszawie. W sekcji miałem wykład o żydach. Na wniosek Ignacego Klateckiego, aby na przyszłość takich tematów nie obrabiano, tylko ściśle z dziedziny filozofji, nad mym wykładem nie wszczęto dyskusji, gdyż zgodzono się na głos Klateckiego. c. „Kółka“, organizacji towarzyskiej studentów we Wrocławiu, d. Czytelni akademickiej.

„Kółko“ akademickie schodziło się co sobotę na miłą pogawędkę, śpiewy, a kolega Władysław Dalbor odczytywał „Poczwagę“, bardzo humorystyczną, nabierając obecnych kolegów srodze, lecz nie ostro, może rozśmieszająco, lecz nie zgryźliwie. Wśród kolegów panowała duża harmonja, przytem nie obywało się bez pojedynków, czasem o bilard (!), czasem o dziewczynkę, czasem o niebaczne draśnięcie słowem. — Odczyty w Tow. literacko-słowiań-

skiem były zawsze poważne, udział w tych zebraniach — duży.

Naraz zaczęto w Niemczech, po wszystkich niemal uniwersytetach zamykać akademickie zrzeszenia towarzyskie czy naukowe polskie. Potem zaległ spokój; sądziliśmy, że nas klęska zamknięcia naszych zespołów ominęła. Nagle zwołano 4 prezesów (wtem i mnie) do rektoratu. Rektor uniwersytetu wyjaśnił, dlaczego nas zawezwał, a minister oświaty z Berlina, nie pomnę nazwiska, nakazał nam natychmiast rozwiązać nasze towarzystwa i podpisać odnośną zgodę. Było to w przeddzień naszej wielkiej uroczystości obchodu 50-lecia istnienia Towarzystwa literacko-słowiańskiego. Cios ten dotknął nas srodze. O ile sobie przypominam, jakiś żyd, świetnie mówiący po polsku, student, wdarł się w nasze środowisko, pięknie przemawiał, prowokując, a potem powiadamiał tajną policję.

Cały majątek wszystkich 4 naszych zawieszonych zrzeszeń odesłaliśmy w r. 1886 do Poznania Towarzystwu Przyjaciół Nauk.

III. Jako pomocnik handlowy w Hamburgu byłem członkiem:

a. Tow. Polskiego „Nadzieja“, b. założycielem i prezesem Tow. „Kłosy“, c. Tow. rękodzielników polskich, d. Tow. robotników w Wilhelmsburgu pod Hamburgiem, e. czł. Tow. czesk. „Svornost“ w Hamburgu, f. czł. Tow. czesk. „Sokol“ w Hamburgu, g. honorowym członkiem Towarzystwa Akademików w Antwerpii.

IV. Jako kupiec samodzielny w Poznaniu od r. 1897 do 1918 włącznie — członkiem:

P o z n a ń : Korporacji Kupców Chrześcijańskich, Towarzystwa Młodych Przemysłowców, Starego Przemysłu, Młodzieży Kupieckiej, Stowarzyszenia Personelu Żeńskiego, Zarządu Związku Towarzystw Przemysłowych, Związku Towarzystw Kupieckich, Związku Fabrykantów, Towarzystwa Pomocy Naukowej im. K. Marcinkowskiego, Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zarządu Towarzystwa Muzeal-

nego, Rady Narodowej, Wydziału gospodarczego przy Radzie Narodowej, Komitetu dla „Skorowidza“ przy Radzie Narodowej, Komitetu wyborczego do Sejmu pruskiego, Komitetu wyborczego do parlamentu Rzeszy, Komitetu wyborczego do Rady Miejskiej, Głównej szacunkowej komisji podatkowej, Sądów Kupieckich (Kaufmannsgerichte), Towarzystwa wykładów ludowych Adama Mickiewicza, Towarzystwa ludoznawczego, Komitetu sanacyjnego K. Ignatowicza, Spółki budowlanej: Dom przemysłowy, Banku Parcelacyjnego, Spółki Rolników parcelacyjnej, Tekstili, Komitetu Banku handlowego (dla przemysłu), Polskiego Banku Handlowego (dawn. Włociańskiego), Rady nadzorczej „Hurtowni Skór“, zarządu „Grand Cafe Restaurant“, Drukarni Polskiej, Teatru Polskiego, Pracowni Sukien, prezesem rady „Znicza“ Produktiv-Verein, rewizorem sądowym ksiąg Spółki Rolniczej w Kamieniu na Pomorzu, rewizorem dla urzędu podatkowego, administratorem i redaktorem „Przemysłowca“, kuratorem Towarzystwa Uczniów Handlowych, prezesem Wydziału ekonomicznego Korporacji Kupców Chrześcijańskich;

Z a k o p a n e : Towarzystwa Tatrzańskiego, Związku Przyjaciół Zakopanego;

L w ó w : Towarzystwa Kolonizacyjnego;

G. Ś l ą s k : współorganizatorem fabryki mebli „Pato-ka“ pod Gorzowem.

Od roku 1919 do 1932 włącznie członkiem:

P o z n a ń : Komitetu wyborczego do Sejmu polskiego, Komitetu wyborczego do Rady Miejskiej, Komitetu dla pożyczki państwowej, Komitetu Związku Drzewnego (B. Kurzyński), Komitetu giełdowego, kandydatem na posła do I. Sejmu polskiego, inicjatorem „Bursy Rzemieślniczej“, przewodniczącym Komisji Ulgowej Kredytowej dla rzemiosła, Komitetu dyskontowego a) P. K. K. P., b) Banku Polskiego, Komitetu cywilno-wojskowego w sprawie przydziału dostaw tutejszemu rzemiosłu, Rady Szkolnej Okrę-

gowej, sędzią pokoju, ławnikiem przy Sądach karnych, ławnikiem przy Sądach doraźnych, Zarządu Związku b. uczniów gimnazjalnych św. Marji Magdaleny, Funduszu im. Fr. Chłapowskiego, Funduszu im. Romana Dmowskiego, Obrony Kresów, Związku Obrony Kresów Zachodnich, Propagandy pożyczki państwowej, zarządu Miejskiej Szkoły Handlowej, zarządu Żeńskiej Szkoły Przemysłowej, zarządu Żeńskich Kursów technicznych, Towarzystwa Przyjaciół szkół zawodowych żeńskich, Towarzystwa artykułów pierwszej potrzeby, Wojewódzkiej Komisji oszczędnościowej, Wojewódzkich sądów administracyjnych, Rady zarządzającej Krajowego Ubezpieczenia Ogniowego, dyrekcji Koła Towarzystwa, Izby przemysłowo-handlowej, Komitetu sądów polubowych przy tejże Izbie, zarządu „Aero“ linii lotniczej: Poznań-Warszawa, Aurora-filmu, rady nadzorczej fabryki „Bielizna T. A.“, rady nadzorczej fabryki „Przędza“ T. A., Wielkiego Komitetu Powszechnej Wystawy Krajowej 1929, Komitetu Loterii fantowej Fortuna przy PWC-e 1929, Izby Rzemieślniczej, Komisji Urzędu dla Handlu Zagranicznego, rady „Urzędu Rozdzielczego“, rady „Keramentu Polskiego“, rady nadzorczej Wielkopolskiej Hurtowni Szkła, rady nadzorczej wskrzeszonego „Znicza“, Rozwoju, Towarzystwa Prehistorycznego, Towarzystwa Serbo-Lużyczan, Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, Towarzystwa Przemysłu Ludowego (w zarządzie), Czerwonego Krzyża.

Gdańsk: Rady nadzorczej firmy: Antonio Wiatrak & Cie, współzałożycielem „Żegluga polskiej Bracia Leśczyńscy.

Lublin: Komisji rewizyjn. w Banku Ziemi Polskiej.

Warszawa: „Omnium“ Towarzystwo Ubezpieczeń, komisji rewizyjnej „Lewjatanu“, komisji rewizyjnej Banku Kredytu Hipotecznego, komisji rewizyjnej Banku Centralnego, komisji rewizyjnej „Wagonu“ w Ostrowie.

Krynica: „Miłośników Krynicy“ przewodniczącym Komitetu na Polskę Zachodnią: Grand-Hotel Krynica.

Siemianowice (G. Śląsk): współzałożycielem fabryki czekolady i cukierków „Hanka“.

Pozatem pracowałem zarobkowo w następujących instytucjach:

Poznań: Spółka Stolarska 1898—1927, Bank Przemysłowców 1904—1927, Centrala Skór, Cysterny Sp. z o. p.

Dębienko: Dębienko Tartaki i Młyny.

Bydgoszcz: Hurtownia Drzewa „Wisła“.

Piechcin: Fabryki Wapna i Cementu.

Z podanych zrzeszeń niektóre to efemerydy, inne znów mimo że miały na celu jedynie zarabkowanie, nie płaciły swym radom nadzorczym żadnych tantiem, żadnych diet, zwłaszcza w czasach przedwojennych. Były to przeważnie Spółki — dzisiejsze spółdzielnie, którym spółnicy przez swe udziały finansowe jak i zarządy i rady nadzorcze służyły filantropijnie. Na setkę zrzeszeń tylko trzy posiadały przywilej wypłacania zarządom czy radom najskromniejszych wynagrodzeń za pracę i odpowiedzialność moralną i finansową.

Zatrzymam się lekko tylko przy paru instytucjach. I tak w r. 1919 na specjalnem zebraniu rzemiosła wysunięto mnie dla Naczelnej Rady Ludowej jako kandydata na posła do pierwszego sejmiku. — Jako taki wyjechałem w początkach lutego własnym kosztem do Warszawy, i przez całe 8 dni brałem udział we wszystkich obradach przedwstępnych. Gdy chodziło o przyjęcie nas w poczet posłów do sejmiku, panowała w pierwszym dniu obrad dla narodowej demokracji jak i dla nas jakowaś życzliwość, która stopniowo zanikając, wygasła wkońcu całkiem. Żadnych kandydatów nowych nie przyjęto w poczet posłów, jedynie byłych posłów z trzech zaborów. Obrady były bardzo ciekawe; konszachty. Mieszkałem w hotelu przy Chmielnej, gdzie istniała czytelnia. Tam wieczorami przysłuchiwałem się rozmowom chłopów, hardych, twardych. By ich umysły i zamysły poznać lepiej, wda-

wałem się wieczorami z nimi w rozmowę. Między innymi rozmawiali tak, że obuwie jest strasznie drogie (tak było rzeczywiście); jeżeli nam dadzą buty znacznie taniej, to zobaczymy, czy i płody rolne możemy dać taniej. Zgóry nie chcieli przyznać potrzeby obniżenia cen na płody rolne.

Lubo bardzo cenię Władysława Seydę, który przyświecał nam jako kandydat na marszałka sejmu, ucieszyłem się, gdy ósmego dnia niespodzianie wypłynęła i ustaliła się kandydatura Wojciecha Trąmpczyńskiego. Narodowa demokracja wtedy jeszcze górowała, ale później wiele straciła na estymie, wpływach i znaczeniu. Już w lutym 1919 zmagaly się mocno jej siły z siłami przeciwników.

Z polecenia Naczelnej Rady Ludowej miałem 11 listopada 1919 r. dla przeszło 100 sędziów, przybyłych z Małopolski do Wielkopolski, w Domu Osadniczym, godzinny wykład o stosunkach gospodarczych w Wielkopolsce i na Pomorzu w ostatnich czasach. W sam dzień mych imienin, 9 listopada, o godzinie 11, przychodzi do mnie sędzia Cegielski z usilną prośbą podjęcia się takiego odczytu. Nie chciałem się w żaden sposób zgodzić na odczyt, wymagający podkładu naukowego, którego przez dwa dni wyszukać nie mogę. Cegielski męczył mnie z tem 1½ godziny i zmorzył. W poniedziałek szperałem w Bibliotece Raczyńskich, w rocznikach Izby Handlowej poznańskiej i bydgoskiej. Tymczasem obie Izby w czasie wojny odpowiedniego materiału nie podawały. Znalazłem jedynie w Bydgoszczy parę cyfr statystycznych o tamtejszym ruchu wodnym; te wypisałem. Był to jedyny dla mnie materiał na wtorek. W dzień ten od 8—2 bez przerwy opracowywałem wykład. Wróciwszy o godzinie 3 z obiadu chciałem pisać dalej, ale takie nagle mnie uchwyciło zniechęcenie do rannej swej pisaniny, tak mi się w tej chwili nie podobala, że przestałem dalej pracować. Wykład — ladażaki — miałem z pamięci, posługując się jedynie okruszyną statystyki z Bydgoszczy. Oklaskiwano mnie po odczycie, była jeszcze de-

bata, ale odszedłem z niesmakiem. Jakże było można żądać, abym dla tak wyborowego forum, jakimi byli sędziowie z Małopolski, którzy naogół posiadali studia akademickie z ekonomiki, miał oparty o statystyki wykład naukowy!

Kiedy od początku 1919 r. królował w handlu drzewem w Gdańsku Jewelowski, bardzo wpływowy żyd, najlepszy znawca stosunków drzewnych, zorganizował fachowiec Bolesław Kurzyński w Poznaniu zjazd tartaczników i pokrewnych zawodowców Polaków z drobnym przydatkiem Niemców (dla pozorów). Na tym zjeździe omówiono szeroko sprawę drzewną, lasy, spławianie Wisłą drzewa, tartaki w Bydgoszczy, działalność żydowską w tej olbrzymiej gałęzi gospodarczej Polski. Po referacie Kurzyńskiego i dyskusji stworzono związek drzewny, przytem zaraz sekretarjat. Na czele stanął Kurzyński. Wszystkich obecnych związano przyrzeczeniem, że narazie nikomu, a mianowicie żydom, nic się nie będzie mówiło o tej całej sprawie. Tymczasem już na drugi dzień wiedział o tem Jewelowski, natychmiast pojechał z Gdańska do Warszawy, i w ministerstwie, które popierało naszą sprawę, całą naszą akcję przebiegle sparaliżował. Już uchwaliliśmy, za moją inicjatywą, aby Kurzyński, Jan Pankalla, znający dobrze język angielski, jako reprezentant Banku Przemysłowców, i jakiś trzeci pan, znawca terenu londyńskiego, wyjechali po porozumieniu się z tymże Bankiem do Londynu, celem nawiązania stosunków z tamtejszymi importerami drzewa. Tak to jakiś gaduła zepsuł imprezę.

Ponieważ Ministerstwo w Warszawie z inicjatywy stanu rzemieślniczego szukało sposobów ulżenia doli rzemiosła przez udzielanie mu kredytów, przeto stworzyło w Warszawie, Lwowie, Krakowie, Poznaniu w r. 1920 „Komisję ulgowe kredytowe dla rzemiosła“. Mianowano mnie, jako prezesa Związku Tow. Przemysłowych, przewodniczącym. Dziwne, że rząd, popierając tę sprawę, pragnął nie angażować się pieniężnie. Więc musiałem się sam starać o kredyt w Banku Przemysłowców po 5%.

Zorganizowałem całą komisję w Poznaniu, dobrawszy najlepszych przedstawicieli rzemiosła do pomocy. Z Bankiem Przemysłowców zawarłem ugodę co do kredytu dla rzemiosła. Na jego salce miewała komisja stale posiedzenia. Ministerstwo ustaliło maksymalną wysokość pożyczki dla jednostki 5 000 mk., dla spółdzielni 10 000 mk. Dużo pracy wymagało zwiedzanie przedsiębiorstw, łaknących kredytu ulgowego, suma atoli 5 000 mk., wobec już poważnej dewaluacji marki, była tak niska, że nie opłacała się rzemieślnikowi. Więc razem ze Lwowem stawiłem wniosek do ministerstwa o podniesienie sumy maksymalnej do mk. 25 000. Nic to nie kosztowało, bo ministerstwo nie angażowało się żadnym udzielaniem kredytu, — a mimo to długo czekaliśmy za odpowiedzią, która swoją drogą nie poszła nam na rękę, wbrew przyrzeczeniom wysłannika ministerstwa, inż. Hauszylda.

Hauszyld imieniem ministerstwa przyrzekał dla rzemiosła w Wielkopolsce tani węgiel. Związek Tow. Przemysłowych wysłał nawet w interesie rzemieślników, należących do Związku, jakąś sumę na stempel. Wiedzieliśmy, że warszawskie rzemiosło węgiel dostaje, tymczasem tą drogą nie uzyskała Wielkopolska ani jednego wagonu. — Byłem nawet osobiście w tej sprawie w ministerstwie, gdzie mi mocno przyrzekano.

Powstało w Poznaniu towarzystwo lotnicze „Aero“, popierane przez rząd i poznańskie Starostwo Krajowe. Wciągnięto mnie do rady nadzorczej. Na czele był generał Kazimierz Raszewski. Stworzyliśmy maszynami Farmana linię lotniczą Poznań—Warszawa i odwrotnie. Chciano nam koniecznie wkręcić Junkersa niemieckiego. Dla idei dałem 300 zł. na udział w „Aero“ i te „wsiąkły“. Gen. Raszewski, mój kolega szkolny, dla „Aero“ pracował mocno i starannie, ale dr. Julian Hubert w Starostwie przez swoje wpływy uzyskał ustąpienie Raszewskiego, który bądź co bądź lepiej sprawiał urząd prezesa w Radzie niż jego następca. Niebawem „Aero“ znikło.

Kiedy miano w nowoorganizowanym „Kurjerze Poznańskim“ urządzić księgowość amerykańską, dr. Roman Szymański, jako udziałowiec, biedząc się nad jej założeniem, poprosił Bank Związku o wzór. Gdy go otrzymał, odrzucił, jako nieznośnie przewlekły, i poprosił mnie o pomoc. Już wtedy chorował obłożnie. Za moją radą „Kurjer“ urządził u siebie stosowną księgowość, której, zdaje się, dotąd nie zmienił. Później dobierał mnie „Kurjer“ do rewizji ksiąg, do innych narad gospodarczych wspólnie z zarządem czy z radą nadzorczą. — Przytem odkupiłem od członka rady, dra Celestyna Rydlewskiego, za 500 mk. udziałów. Mimo sympatii dla „Kurjera“, którego w czasie wojny wysoce ceniłem, nie należą do partji narodowej demokracji, ani też do żadnej innej, lubo uznają niezbędność przynależenia do jakiegoś, zorganizowanego politycznie, odłamu społeczeństwa.

W r. 1922 nasunął mi podczas pobytu w Krynicy dr. Wirski (Neuberg) z Nowego Sącza myśl założenia pierwszorzędnego hotelu w Krynicy. Obrady wybitniejszych gości krynickich na salce dra Zarzyckiego dokonały tego, że wybrano na 3 dzielnice i na Warszawę osobno, czterech delegatów dla propagandy, mnie na Zachodnią Polskę jako wiceprezesa rady nadzorczej Banku Przemysłowców. Wydrukowano odnośną odezwę. Jako delegat zacząłem żywo pracować, zachęciłem Bank Przemysłowców do poparcia projektu, zwołałem tych panów, którzy już w Krynicy w obradach wzięli udział. Nie wszyscy zaproszeni przybyli. Początkowo był animusz, ale że państwo polskie coraz więcej gospodarczo zaczęło kruszeć, więc animusz zwiął, — a Bank Przemysłowców skreślił później złożony na ten cel fundusik. Rzecz upadła całkiem.

Przystępowałem do przeróżnych nowych towarzystw akcyjnych jak „Len“, „Przędza“, tylko dla poparcia z najniższym udziałem w akcjach. Takich zrzeszeń było około tuzina. Były to raczej efemerydy, niż twory żywotne, więc już dawno po ich pogrzebie. Przy wszystkim interesowała

mnie stroną gospodarczą społeczeństwa, byłem z początku wielkim optymistą, który potem przy patrzeniu okulary zwieszał często na czub nosa. Dziś z tychże tworców akcyjnych pozostał mi tylko jeden, w którym jako członek rady biorę udział; jest to wapiennik Piechcin pod Pakością. — W innych uiszcza się za przechowanie akcji w schowku bankowym co rok opłaty, ale dywidend już się nie ogląda.

Chciałbym dodać, że zachęcanie ubogich sfer przez banki, czy przez Spółki akcyjne, do nabywania akcji było niedorzecznością, jak wogóle jest nonsensem dla niezamożnych ludzi bawienie się w posiadanie akcji; gra taka stoi tylko o 1 stopień niżej od groźnej spekulacji na giełdzie.

Przed wojną figurowałem raz w szopce poznańskiej jako ten, który nigdy nie miał czasu, bo zawsze pędził na posiedzenia. Tak było rzeczywiście. Wieczorem nieraz musiałem z 3 posiedzeń być na 2, a z jednego zrezygnować.

VIII.

PRÓBY PIÓRA I PODRÓŻE

Poraz pierwszy odważyłem się napisać w r. 1892 do Kurjera Poznańskiego o kapłana Polaka do Hamburga, niezbędnego tamże duszpasterza dla paru tysięcy Polaków w Hamburgu i bliższej okolicy.

Mieszkając już w Poznaniu jako kupiec, zredagowałem w „Dzienniku Poznańskim“ odezwę gorącą w sprawie „Domu Przemysłowego“, która odniosła duży skutek, ożywiając zainteresowanych i szersze społeczeństwo.

Do roku 1908 tylko rzadko pisywałem do pism politycznych, bo nie było na to czasu.

Mój pobyt w Truskawcu w r. 1908 upamiętniłem we lwowskim „Słowie Polskim“ życzliwymi uwagami o tem zdrojowisku. Artykuł ten przedrukowała „Nowa Reforma“ w Krakowie, przeciwstawiając równocześnie artykuł, przechwalający Karlsbad, i ciesząc się moimi rozważaniami.

Natomiast w apolitycznych artykułach przeróżnej treści próbowałem sił od powstania tygodnika „Przemysłowca“ przy Związku Towarzystw Przemysłowych. — Czasem umieszczałem artykuły wcale niepolityczne w „Dzienniku“, ale raz tenże zauważył, iż mój artykuł p. t. „Omni-bus“, w którym skarykaturowałem nieco naszą inteligencję, wygłaszającą mało stosowne zazwyczaj wykłady dla towarzystw przemysłowych, nie trafia w sedno, a natomiast przyjąłby chętnie mój opis o Abacji, dokąd się wybierałem. Więc wyjaśniając, że o Abacji umie pisać każdy, tylko nie ja, pożegnałem się z redaktorem naczelnym, Kazimierzem Puffkłem, bardzo uprzejmie i na zawsze. Na-

stępnego już dnia umieścił „Kurjer Poznański” mój „Omni-bus” z doskonałą adnotacją. Odtąd — mianowicie w latach 1909—1911 — pisywałem do „Kurjera” przeróżne artykuły, zawsze pod tytułami zaciiekawiającymi, lecz dostosowanymi całkiem do treści. „Kurjer” umieszczał je najczęściej na naczelnym miejscu, nawet codziennie. Wiem, że zaciekały czytelnika. Szczególnie młodzież akademicka interesowała się niemi żywo. A i wieś nie gardziła niemi. „Kurjer” dosyłał mi listy dziękczynne swoich abonentów. Ziemianin (Rzewuski z Arcugowa) uzupełnił doskonale me uwagi p. t. „Ugór”, gdzie przeprowadzałem analogję pomiędzy dawnymi ugorami w trójpolówce a ówczesnem zaniedbaniem przemysłu rolniczego przez ziemian. Pisywałem zawsze w szczerzej intencji, mniej chwaliłem, raczej wytykałem błędy, potrącając o słabostki ludzkie.

Wskutek różnych przesiedleń nie dochowałem niestety bardzo wielu listów ważnych i ciekawych. Gdzieś poginęły. Nie mam też zszeregowanych druków tych artykułów, które pisałem. Nie myślałem, że kiedyś zajdzie potrzeba czy zachęta, bym spisał swe wspomnienia, że kiedyś zapotrzebuję różnych szczegółów o mych przeżyciach, które poniekąd wywietrzały mi całkiem z głowy. Nie sądziłem, aby kiedykolwiek mógł mnie ktoś odpowiedni nakłaniać do pisania o sobie.

Zawsze dotąd pisywałem artykuły krótkie. Do pisania obszernego elaboratu o sobie nie czuję pociągu, bo nie lubię tak obszernych wywodzeń, jakich potrzeba przy „wspomnieniach”. W niejednych sprawach jestem może za rozlewny, innych nie zdoła już pamięć skleić. Poetyzować nie będę. Piszę, jak mi pióro poddaje, jak nastrój pozwala. Niema żadnej ciągłości w pisaniu. Raz piszę kilkanaście bitych stron na dobę, raz 3 do 4 tygodni milczę. W rzeczywistości nieraz walczę ze sobą, czy mi wolno pisać, boć nie należę do ludzi sławnych, wysoce zasłużonych, bogatych w przeżycia, ale mój „Czuj Duch”, który się ciągle dopomina o pisanie, jaknajwięcej, jaknajwcześniej,

nie pieści mnie, tylko dręczy. Nie wiem, czy takie poganianie na co się zda. Poprostu poczynam się stosować do życzenia osoby drugiej. Oby tego nie żałowała razem ze mną!

Jedyny raz zdobyłem się nawet na wydrukowanie jednego ze swoich wierszy. Umieściła go „Literatura i Sztuka”, dodatek literacki do przedwojennego „Dziennika Poznańskiego”.

Bardzo rzadko tylko znalazły się artykuły moje w Warszawie, Lwowie, chyba jako przedruki, o których wiem mało. Pisanie, acz doraźne, szybkie, sprawiało mi zawsze pewne zadowolenie, mianowicie, gdy się wyczuwało wspólnotę z czytelnikami. Nigdy mi nie odrzucono artykułu, każdy wydawał mi się aktualnym. Najwięcej mnie cieszyło, że reagowano na moje myśli i wywody.

Jako prezes Związku Tow. Przem. na poważne jubileusze wysyłałem artykuły do pamiętników, i tak do Berlina na 25-lecie Tow. Przemysłowców, na którego czele był Władysław Berkan, do Bochum w r. 1912 na wystawowe wydanie księgi pamiątkowej, a już później na 25-lecie istnienia bardzo ruchliwego Tow. Młodych Przemysłowców, na 25-lecie „Pracownika Kupieckiego” w Poznaniu i t. d. Na Wystawę toruńską wysłałem tylko życzenia pisemne. Wystawę pleszewską zwiedziłem osobiście, moje przemówienie jako prezesa drukowały nasze dzienniki.

Jak już pisałem, u schyłku 19. wieku nie udzielano pomocnikom handlowym żadnych urlopów. Fortelem zdobyłem 10 dni na to, by jesienią r. 1895 mieć odczyt: „O eksporcie polskim” we Lwowie, Warszawie i Poznaniu.

Na dwa dni wyjechałem do Poznania z ekspertem, by w cechu szewskim omówić sprawę eksportu obuwia do Hamburga.

W r. 1892 byłem obecnym na Zjeździe Przemysłowym w Poznaniu, na którym adw. Czypicki motywował konieczność stworzenia Związku Towarzystw Przemysłowych.

Ostatecznie pozwoliłem sobie na przyjazd na ślub do Gniezna. Więc przez 10 lat pobytu w Hamburgu nie miałem wakacyj żadnych.

Dopiero jako samodzielny kupiec zdobyłem się na wyjazd z konieczności, dla zdrowia: do Zakopanego, Truskawca, Krynicy; do Kissingen, Niederlössnitz, Abacji, Rigi Scheidegg, Marienbadu, do Połagi, do Miłowód, lub też na wieś na wywczasy do znajomych.

Pamiętny jest mój pierwszy pobyt w Zakopanem. — Mieszkaliśmy razem z X. Kazimierzem Zimmermannem i dr. Stefanem Waszyńskim w willi „Jordanówce“. Miałem budkę jako mieszkanie, za to doborowe towarzystwo, wyśmienitą kuchnię, miłe wyjazdy ekwipażami pensjonatu zawsze w inne strony, najdalej do Morskiego Oka. Robiliśmy wycieczki.

Drugi mój pobyt był bardzo ciekawy. Razu pewnego „Praca“, tygodnik, dowiedziawszy się, że wywczasuję w Puszczycowie, pisała do mnie przez Macieja Wierzbńskiego, abym dla niej napisał jakiś artykuł. Rozmawiałem o tem z p. Marją Kremer. Właśnie wtedy zaczął wybijać się jako rzeźbiarz Wojciech Brzega z Paryża. Poprosiłem więc, aby p. Kremer, jako artystka malarka, o Brzedze dla „Pracy“ coś napisała. Ku memu strapieniu widzę pod artykułem o Brzedze swój podpis. Zaszła przykra pomyłka. W Zakopanem zaraz zaznajomiłem się z Brzegą, który mi gorąco za artykuł w „Pracy“ dziękował. Nie śmiałem powiedzieć, że podpis był fałszywy, ale grubo mnie moralnie ta omyłka, czy pomyłka, kosztowała. Przez Brzegę poznałem odrazu całą młodą Polskę literacką, tem łatwiej, że znalazł się wśród niej mój kolega szkolny, Jan Kaspro-
wicz.

wiczem; warczały pioruny, sypały się oślepiające błyskawice. W tę straszną niepogodę Kaspro-
wicz pędził hen ku Kościeliskiej Dolinie, chyba jakąś godzinę. Mieszkał u żyda. Obok gnał wartki potok, Dunajec, w który Kaspro-
wicz z lubością codzień rano się zanurzał. Ciągłe namawiał żyda, by raz zakosztował rozkoszy. Nareszcie żyd uległ i za przykładem Kaspro-
wicza wskoczył w okrutnie zimną wodę, ale w tej samej chwili już go znów nie było i już nigdy potem.

Razem z Przesmyckim, który mi imponował swą wiedzą, byłem w pracowni Brzegi, który właśnie z gliny formował jakąś wielką rzecz. Tegoż roku odwiedziłem 2 razy Stanisława Witkiewicza w Zakopanem, chcąc za jego przewodnictwem zaprowadzić meble w Poznaniu w stylu zakopiańskim. Do Witkiewicza wtedy — latem — zapędzała się codziennie wielka gromada ludzi, chodziła, jak do Mekki. Później z Witkiewiczem korespondowałem z Poznania. Polecał mi ostatnio, dla przeprowadzenia mej myśli, obecnego profesora Marcellego Gosienieckiego, mieszkającego wówczas w Gnieźnie. Spotkałem się później jeszcze z Witkiewiczem w Lovrano, w bliskości Abacji, już bardzo schorzałym i wycieńczonym. Miałem dla tego krytyka, literata i ideowca nadzwyczajne uwielbienie.

Przebywałem później parokrotnie na wywczasach w Zakopanem, ale już nigdy nie doznałem tak wielkich, tak silnych wrażeń, jak wtedy, gdy w całkiem prymitywnej kawjarence Płonki bawiłem codziennie wśród elity poetów, literatów. Słyszało się razporaz różne kawały, czasem mocne, ale wszystkie bawiły. Było się świadkiem ciekawych sporów literackich.

W Kissingen przypadkowo czytałem jakiegoś lata urywki z kroniki zdrojowej, bardzo ciekawe. Pisano w niej, że około r. 1810 przebywało tam dużo Rosjan, że oni stanowili gros gości, że bywało, iż magnat jakiś zjechał z Rosji, a nie znalazłszy pomieszkania, musiał przenocować z całą rodziną we własnym ekwipażu i dopiero koło połu-

dnia następnego dnia znalazł na piętrze dwa schludne małe pokoje u ślusarza. Ta magnateria rosyjska w oku Niemca, to niemal wyłącznie Polacy, na co wskazują nazwiska znanych polskich rodów. Mieli wtedy goście w małym, a już rozgłośnem na świecie Kissingen kłopoty nietylko o pomieszkanie, ale także z powodu zalewania deptaku przez nieuregulowaną Sołę (Saale), która po znacznych opadach zamulała przytem źródła wielebnego „Rakoczego”. Więc bywało, że tydzień i dłużej ani nie było deptaku, ani Rakoczego, ale polskie pieniądze przyływały tu silnie. W owych latach przeważnie Polonja podtrzymywała Kissingen.

Ciekawa była moja podróż do Krakowa na obchód grunwaldzki w r. 1910.

Ponieważ w pochodzie nie dostrzegłem żadnego zapалу, żadnego entuzjazmu, zacząłem witać gromko słowem: „Czołem” każdą nową partję. Odrazu był kontakt z nami i z wielkim obchodem. Wszystkich elektryzowałem przez jakie dwie godziny. Ciągłe płonęło „Czołem”. Weszliśmy nareszcie w szeregi i w marsz. By go ożywić zacząłem dziarsko śpiewać. Pod nasz sztandar cisnęło się coraz więcej mężczyzn, wyłącznie Wielkopolan. Kiedym stanął pod balkonem biskupa Władysława Bandurskiego, zaśpiewałem wielką mocą „Boże coś Polskę”. Wtórowały mi gorąco wielkopolskie dusze. Ks. biskup serdecznie podziękował. Gdyśmy w dalszym pochodzie zaśpiewali pod balkonem Paderewskiego potężnym głosem „Z dymem pożarów”, odezwał się i on z podziękowaniem. Świadkowie i ja sam stwierdziliśmy, że miałem tego dnia głos nadzwyczajny. Rzeczywiście brzmiał on potężnie i działał. Zdawało mi się w zapale, że pękne. A już miałem ze sobą 200 śpiewaków, których byłem dyrygentem. O ile mimo rozgwaru nie śpiewano w pochodzie, fala głosu mego „Czołem” biegła aż na trzecie piętra. Wszystkie żydki i żydówki przytem znarodowiały. Nie ustawałem ani chwili, żadnego nie czułem przemęczenia mimo nieprzespanej nocy. O 4 godz. byliśmy na Wawelu; zrobiono mnie już kapelmistrzem; 4 razy

musiałem tamże dyrygować chórowi, złożonemu z 200 chłopów. Gdy to widział Korfanty, zawołał ku mnie zdala: Nie wiedziałem, że pan taki radykał. Nie rozumiałem, skąd wpadł na to. O $\frac{3}{4}$ 5 skończył się pochód. — Ćwiczenia wieczorem drużyn sokolich z przeróżnych stron były wspańnię, entuzjazm rósł, aż nakońcu ukazała się krakowska konnica sokola. Zapal nie znał granic.

Najmilszym był mój pobyt na Śląsku u kolegi Andrzeja Rekowskiego, właściciela Skrońska. Z Olesna (Rosenberg) jechało się szosą wśród lasów około 8 kilometrów. Dworek mały na wzgórzu, dawny klasztor, idyllicznie położona wieś wśród lasów, parowem przepływająca rzeczka, otoczona po obu brzegach wysokim splotem przeróżnych drzew, szybko rosnących; 900 mórg lasu własnego, w sąsiedztwie lasów olbrzymich królewskich. W lesie zwierzyny huk. Na nas linijką w dwójkę jadących patrzą spokojnie milemi, niewinnemi oczęty zgrabne sarenki, tam znów zapędza się do nory sporo królików spłoszonych, albo nagle porywa się pięknym lotem w górę parka bażantów. Żerują po polach nocą jelenie, dziki. We wsi mieszka kilkunastu zamożnych włościan Polaków i Niemców. Każdy dom mieszkalny, ogrodzony od drogi płotem; w podwórkach stale duże, stare drzewo lipa, dąb, daje wśród skwaru miły chłód. Kościółek na 20 osób, naprzeciw dworku, za drogą, wiodącą ku wsi. Wieś dla malarzy, dla poetów! Zwyczajem śląskim przylega do dworu bezpośrednio podwórze. Dziedzic odrazu ma wszystko przed okiem. Do lasu blisko, jakie 400 kroków, jagód w nim pełno, w innej części moc orzechów, u skraju lasu rozciąga się pyszna dolina z widokiem ku Częstochowie.

Olesno ma stary, drewniany kościół o pięciu częściach, jakoby nawach, dokąd na św. Annę pielgrzymują co rok olbrzymie rzesze nabożnych Polaków. Wogóle w okolicach Gorzów — Olesno i w ich sąsiedztwie pełno jest kościołów drewnianych, architektonicznie cennych. Najciekawszy z nich może w Zarzyskach, najstarszej pono zagrodzie sło-

wiańskiej. W sąsiedztwie Skrońska idylicznego: Więkowo (właściciel Krzysztoporski), Duczew (Kozłowski), Kozłowie (Dr. Antoni Grabski), Olesno 600 mórg tuż przy mieście (Laskowski) i inni. Duża, nie całkiem zwarta, oaza polska! Tak było przed wojną. Teraz tą ziemią władają wyłącznie Niemcy. — Żadna wieś w Polsce nie podobała mi się tak, jak Skrońsk.

Gdy w r. 1908 zajechałem do Truskawca jako gość kąpielowy, mało Wielkopolan bawiło tam przedemną. Tem bardziej uznawano i ceniono przybycie Wielkopolan, a więc i moje. Znalazłem się w willi „Janinie“, pierwszorzędnym wtedy pensjonacie. Truskawiec wniosła jako wiano żona Żółtowskiemu z Niechanowa. Administratorem był Kierski, mieszkający opodal w Pomiarkach.

Przyjechałem w dzień po zapaleniu się wskutek uderzenia piorunu największego szybu „Oil city“ w Borysławiu, o 4 kilometry od Truskawca. Cudowny i przepiękny widok sprawiała ognista kula, daleko większa niż Bazar poznański. Ciągłe z dwóch przeciwległych boków syczała siarka, regularny wybuch płomieni z głębi dawał silny łoskot, donośny w dalekim promieniu, nocą bardzo silnie się wydawał. Akcja ratownicza znalazła się pod znakiem zapytania. Długo nie umiano stłumić potężnego ognia, wszelkie środki zawodziły. Osatecznie worki mokrego piasku, podsuwane przez robotników, po 6 tygodniach dobiły smoka. Podobno dziennie ubywało ropy około 70 cystern. Rzeczka była ciągle zalana cieczą czarną. Wybuch był tak silny, że żaden wiatr na 2 kilometry wysokości nie umiał rozruszyć potężnego słupa dymu. Widowisko piękne artyzmem i grozą. Z Truskawca wybraliśmy się do Urycza. Jazda w lesie po wyboistej drodze, zalanej wodą była niewygodna, więc puściliśmy się dalej pieszo i przeszliśmy kładką rzeczulkę. Nagle odsłania nam się wspaniały Urycz. Na lewo skalne wysokie sklepienie, dołem w niem jakoby siedzenia, jak mówią, dla zbójców, środkiem ognisko. Od skały na prawo wiedzie ku drugiej stronie skały jakoby

ganek. Pomiędzy obu skałami duży otwór z najwspanialszym widokiem, przypominającym widok z Hradczyna na Pragę. Napoiwszy się wśród cudownych blasków słońca urokiem krajobrazu, zasiedliśmy w najlepszych humorach do uczty. Herbatka, kuraki i t. d., potem krótki wypoczynek, odwiedziny dwóch chat ruskich, jednej bardzo schludnej, drugiej niczem nie interesującej.

Kiedym w Połędzie poznał się z ziemianinem z pogranicza Prus Wschodnich i żyłem z nim, codziennie używając spólnych przechadzek, i t. d., opowiadałem mu raz, że redaguję „Przemysłowca“. Wiedział już, że jestem kupcem. Przy sposobności przedstawia mnie on jakiemuś bardzo poważnemu mecenasowi z Wilna, jako redaktora, co zaraz poprawiłem na — kupca. — Później pytał, dlaczego ja to uczyniłem. Odpowiedziałem, że dla mnie jest zaszczytem być kupcem. Na to on: Widzi pan, u nas kupca dziwnie się traktuje, redaktor to lepsza marka.

Kiedy Jan Paczkowski, właściciel fabryki sztucznych nawozów dra Romana Maya, na zjeździe ekonomiczno-prawniczym w Krakowie chciał być przez sekretarza zapisanym jako kupiec, to sekretarz tego nie zapisał mimo monita, a gdy się potem Paczkowski z tem zwrócił do prezesa zjazdu, Benniego, tenże udał, że nie słyszy. W Poznaniu Jan Paczkowski zapisywał się stale, jak i inni wtedy, nie jako fabrykant, ani przemysłowiec, tylko jako kupiec.

Kiedym się umieścił w willi „Janinie“ w Truskawcu, i dowiedziano się, że z Poznania przybył, wprawiało to aż w pewien podziw. Zainteresowano się mną odrazu. Podkreślam, że w „Janinie“ zamieszkała magnateria polska, 2 Dzieduszyckich z rodziną, Stadnicki, minister Filip Zaleski, pozatem wyżsi urzędnicy polscy, arystokracja mieszczańska. Na 32 pokoje ja jeden byłem bez tytułu. Znajac postępowanie kupca zapisałem się w liście gości właśnie jako kupiec. W pierwsze dni pobytu zainteresowali się moją osobą urzędnicy galicyjscy, mianowicie nadradca szkolny Michałowski. Chodziłem z nim codziennie na „naftusię“,

codzień do kąpieli, na przechadzkę. W jakiś 6-ty dzień wyszła lista gości z druku, widniał w niej Filipowicz — kupiec. Rano na śniadanie mówię do nadradcy Michałowskiego: „dzień dobry“, powtarzam to, on nie reaguje, tylko dalej rozmawia z jakimś W., z którym poprzednio, jako „idjotą“, nie chciał rozmawiać. Tak samo inni goście odsunęli się ode mnie odrazu. Wiedziałem dlaczego. Przy obiedzie nikt się ze mną nie witał, nikt nie rozmawiał z kupcem, jedynie sąsiadka schorzała K., szlachcianka. W 2 dni później przybywa dyrektor cukrowni z Kongresówki Mayzner, żyd czy nie żyd, ale fizys żydowska. Przedstawia się tuż przed obiadem na salce, chce podawać przytem rękę, ale nikt wogóle na to nie idzie, jedynie ja podaję mu dłoń. Odrazu wśród obiadu Mayzner, nadzwyczaj inteligentny człowiek, osobisty przyjaciel Aleksandra Świętochowskiego, znający doskonale stosunki i ludzi w Galicji, płomiennie zaczyna krytykować tę dzielnicę i panujące w niej stosunki. Przytem, chociaż z oddalenia, odzywa się jedynie do mnie. Musiałem co chwilę potwierdzać: tak. Truchlałem z początku na jego nadzwyczajną śmiałość, lecz widząc, że na codzienne, bardzo ciekawe, nieraz cierpkie ataki nikt się nie odzywa, po paru dniach zacząłem i ja, znający z Hamburga i skądinąd Galicję niezgorzej, pomagać Mayznerowi w krytyce. Raz jedyny rozmowa nas obu podczas obiadu była tak interesująca, że Stadnicki wypił z nami po obiedzie *extra* kawę i rozmawiał.

Swego czasu wypisałem sobie w zeszyciku z „Krytyki“ krakowskiej ocenę zjazdu prawników i ekonomistów pod tytułem dwa światy. Inteligentny socjalista w mocnych słowach ujął krytycznie świat szlachecki i świat urzędniczy galicyjski. Zmusiły mnie trzy panie, abym rzecz o „dwóch światach“ przeczytał. Zacząłem na salce, krótko po 1½ przy otwartym balkonie wśród deszczu i błyskawic czytać rozprawkę, zakrojoną na 5 minut. Tymczasem treść rozprawki tak wszystkich zainteresowała, raczej ciągle oburzała, że kiedy o ¾7 dzwoniło na wieczerzę, jeszcze nie

przeczytałem pierwszej części o szlachcie. Na odgłos dzwonka wstaje, lecz żądano, bym dalej czytał. Nie chciałem czytać o reżimie urzędników jako gorszej części artykułu, bardziej ich smagającej niż szlachtę, ale do tego mnie zmuszono. Otoczony wokół przez kilka godzin w przepelnionej salce krytykami gorącymi, zapalnymi płci obojga, tak byłem rozpalony, że nie zdołałem jeść. Najwięcej, najnieumiejtniej krytykował rozprawkę, potępiał mnie, rzekomego autora, nadradca Hobgarski ze Lwowa. Swoje wywody opierałem zawsze o historję, a zwłaszcza o dzieło Tadeusza Korzona p. t. „Dzieje wewnętrzne Polski za Stanisława Augusta“ i inne. Hobgarski twierdził ciągle bez dowodów historycznych, więc go zbijałem.

Drugiego dnia wczesnym rankiem siedzi Hobgarski w ogrodzie, a widząc mnie także siedzącego, kiwa ku mnie łaskawie, więc i ja dygnitarzowi odkiwnąłem również łaskawie. Widząc, że nie chcę pójść doń, przybył do mnie i powiedział: „Wie pan, całą noc mi pan popsuł, czyli pana odczyt, ale przyznaję teraz panu słuszność“. Nikt nie chciał wierzyć, że to cudzy referat, wytykano mi tylko, że w referacie wyziera ciągle socjał — niby ja.

Przewidywałem swą walkę w willi „Janinie“. Zgóry powiedziałem sobie, że muszę sobie zdobyć prawo obywatelskie, jako przedstawiciel kupiectwa, wśród tych „dwóch światów“. Była to przykra zaiste walka, i z trudem zwyciężyłem. Gdybym był się zapisał w Truskawcu jako przemysłowiec, byłoby mi łatwiej znaleźć się wśród otoczenia magnaterji i wyższej urzędniczej galicyjskiej. W Galicji kupiec — to żydek — handlarz, wyczekujący przy sklepiu marnym, zabrudzony, obdarty, to przekupa żydowska, handlująca śledziem i t. d. Dla takich kupców czuło się wzgardę w Galicji. Do tej kategorii zaliczono i mnie, kupca, intruza w willi „Janinie“.

Doznałem później podobnego despektu jako kupiec w Abacji ze strony przełożonej wyższej uczelni we Wiedniu, bardzo inteligentnej damy, z którą poprzednio codzien-

nie mile gawędziłem. Wiedenka sądziła, że z kupcem nie należy się wdawać i omijała później rozmowę ze mną, sądząc przedtem, że mam tytuł doktora.

W willi „Auguście“ i w innych, w Abacji każdy niemal szlachcic polski zapisywał się jako „Ritter von...“, łada nauczyciel miejski rozpierał się jako wielkość, a każdy przytem radca-nieradca galicyjski tkwił po szyję w długach. Jakiś nadradca kolejowy w Zakopanem oburzył się na mnie za to, że krytykowałem, iż zna nietylko „Wideń“ i całą Austrię, nietylko Italję i Paryż i Południowe Niemcy, Monachjum i t. d., ale nie ma pojęcia o Warszawie, o Poznaniu.

Wszędzie zagranicą, wszędzie u wód, gdy się stykałem z Polakami, zawsze się daleko lepiej i daleko prędzej porozumiewałem z obywatelstwem byłej Kongresówki. Jakoś to świat realniejszy, więcej zbliżony do Wielkopolski.

Jako niedoszły filolog miałem ucho na błędy językowe przez wszystkie lata. Raził mnie i do dziś dnia rani i obraża sposób Wielkopolan mówienia po polsku, raził mniej język ludzi prostych, obrażał język inteligentów, najwięcej adwokatów.

Gdy był w Połędzie K. Ignatowicz, butny wtedy, wielomówny, mówiący po polsku pod wszelką krytyką, jeżeli chodzi o język literacki, to po jego odjeździe z Połogi, już po przybyciu radcy Stanisława Rzepeckiego, mówiącego językiem literackim, raz jakiś adwokat z Kongresówki mocno przy obiedzie potępiał Wielkopolan za ich język polski. Kiedy skończył, pytałem kolejno siedmiu kolegów biesiadników, czy tak a tak mecenas się wyraził. Jadałem wtedy wyłącznie przy tym stole z inteligentami. Kiedym skończył pytania, mówię do mecenasa, krytyka Wielkopolan: „Pan mecenas tak ostro przed chwilą nas skrytykował, a wykazał, jak to przez pytania udowodniłem, w krótkim przemówieniu aż 13 błędów językowych. To, jak na krytyka językowego, trochę za wiele.“

Chcę przy tej sposobności przytoczyć, że jako niedoszły filolog nieodmiennie czuję pociąg do języków i staram się pracować nad poprawnością języka ojczystego. Brzydzą się do najwyższego stopnia używaniem każdego zwrotu niemieckiego, w czym jeszcze dziś przodująca inteligencja poznańska grzeszy.

Omówiłem raz przed wojną w „Kurjerze Poznańskim“ niemożliwe wprost dla ucha polskiego ustawiczne używanie przez naszych adwokatów wyrażen prawniczych niemieckich. Wszystko uważam za lekceważenie polskości, za zaśniedziałą słabość do Niemców, za brak szacunku dla siebie samych. Wszystko mnie mierzi, a ich etycznie obniża, wszystkie naloty niemieckie są wstrętne.

Antoni Marweg za moim impulsem miał na Zjeździe Związku Towarzystw Przemysłowych w r. 1912 odczyt o „wytwórniach“ rzemieślniczych, by temu memu nowotworowi językowemu otworzyć drzwi do prawa obywatelstwa. Słowo „wytórnia“ odrazu się rozpowszechniło i dziś jest w całej Polsce znane i uznane, co mi sprawia radość. Mam jeszcze zapas innych wyrazów-nowotworów, które mogą usunąć obrzydliwe określenia niemieckie, np. wrzon = werk, szkliniec = glaspapier, smaźnia lub smaźnica = brytwanna, lecz dotąd nie postarałem się o ich uobywatelenie. Uważam, że obowiązkiem nauki polskiej jest jak najspieszniejsze usunięcie całej rzeszy wyrazów, przejętych z języka niemieckiego, obrażających nas i kompromitujących w wysokim stopniu. Takie oto chwasty jak: meldować, winszować, sztuka jako „Kunst“ należy wyrwać z naszego językowego parku, tak cudownego. Każdą obronę tych wyrazów uważam za słabość narodową, za niedołęstwo nie schlebiające nam wcale. Taki „werk“, „lejtmotiv“, „mam pecha“, „buterbroty“, szlafrok i setne inne brzydoty należy wymieść! Nie naruszam: zegara, gwałtu, gmachu i tylu innych, bo już w pisowni odmiennych od niemieckich określić. Niech was „szlak“ trafi!

Lubię morze, daleko więcej niż góry. Chętnie przebywałem nad burzliwym morzem północnym, chętnie nad spokojną zatoką morską w Abacji, najchętniej nad małym brzegiem Bałtyku w Połędzie. Poznałem tam Władysława Stanisława Reymonta, a szczególnie poetę Tadeusza Micińskiego, jedząc z nim przy jednym stole. Albo nie mówił, albo takim językiem, tak górnym, że niezawsze go się rozumiało. Kąpał się w morzu tam, w stronę Niemiec, gdzie się nikt nie kąpał i zazwyczaj wtedy, gdy najchętniej się przechadzano nad piaszczystym brzegiem morskim. Szaty „Adam” zostawiał po drugiej stronie drogi i po kąpielu, krępując panie, ubierał się bez żony. Tuż nad morzem sterczała zalesiona skała, zwana Birutą. Raz M. w koszulinie siedzi na obwisłej, niskiej gałęzi sosny i poprzez gałęzie zatapia wzrok w dalekie, tego dnia mniej spokojne morze. Raz pędzi ktoś galopem przez zażydżone miasteczko Połęgę, na małej zwinnej szkapie. Patrząc — znów Miciński.

Na 2000 gości w Połędzie w roku mego tamże pobytu (1905) był tylko 1 żyd inteligent z żoną i córką, prof. uniwersytecki z Warszawy Samuel Dickstein, reszta sami Polacy. Ze wszystkich kąpielisk była dla mnie Połęga najprzyjemniejsza dla piękności, dla otoczenia. Tonąłem co prawda raz w morzu, ale to tylko nastrój obecny jeszcze podnosi. Dodam tu, że tonąłem także w Hamburgu, w Abacji i w Poznaniu.

Jakież to urozmaïcenia dawała gościom Połęga! Wygodne wspaniałe wille, w willi centralnej mieściła się wielka jadalnia. Wszystko bieluteńkie, czyste, jakby świeżo malowane. Czytelnia o jasnych tapetach, barwnych i pięknych, o meblach stylowych, lekkich, jasno obitych w drogie materje francuskie. Wille Tyszkiewicza w pięknym parku. Zarząd: 3 panie Kolonna-Walewska, Miecznikowska i trzecia. Kuchnia wyśmienita, bardzo obfita. Wyborna kawa w kawiarni tuż nad morzem. Piasek morski: chodziło się po nim boso jak po aksamicie. Nadzór nad zakładem z ramienia rządu rosyjskiego miał tęgi gruby Moskał. Poproszono z Warszawy akademików, by za wolny pobyt

przyjmowali ranem świeżo przybyłych gości, wieczorem bawili panie. Tańce były codziennie. Moskał miał brzydką młodą córę, ochotną do tańca, z którą atoli akademicy nie chcieli tańczyć. Oburzyło to Moskala. Wobec tego zarząd poprosił akademików, aby jednak ze względu na groźnego Moskala z jego córką tańczyli. Więc młodzież odtąd dziewczuchnę obtańcowywała należycie. Ojciec był w siódmym niebie i pił ósmego koniaka.

Kto nie tańczył, wybierał się nawet o północy, śród pogody, nad morze na pomost, kędy popołudniu urządzano małą kawiarenkę. Pomost długi odrazu prostokątnie się łamał. W tem miejscu karmiono niemal codzień czyli co wieczór, co noc liczne delfiny bułkami, ciastkami. Strasznie się bawiono, gdy żerne delfiny po falach się przesuwały, goniąc chciwie za darami. Lśniące cielska sunęły jedno przez drugie. Noce były w lipcu tak jasne, że można było czytać.

Wszystko było piękne, tylko administracja niedołężna. Gdy był wiec gości, mówił Ignatowicz, że widzi w zarządzie dużo nóg, żadnych głów. Ignatowicz, Siewicz i ja, skarżyliśmy się listownie Tyszkiewiczowi, który paniom, ku ich oburzeniu, pokazał nasz list. Na wiecu każdy zabór miał delegata, Ja przemawiałem za Wielkopolską i Pomorze. Więc przekonał się arystokratyczny zarząd, że nawet taki Ignatowicz, którego panie nie umiały przedtem znieść, był życzliwy i sprawiedliwy.

Jakiejs niedzieli urządzono nam w lesie kawę. Miała też być wieczera. Nagle alarm — pożar. Popłoch śród nas ogólny. Właśnie mieliśmy zasiąść do wieczery. Oto w naszej nieobecności Łotysze podpalili drewnik na folwarku, kóry szybko spłonął. Tak to, czy Litwini, czy Łotysze szanowali gości, którzy im przecież co roku swoim dłuższym w Połędzie pobytom dawali miły zarobek.

Widocznem było podjudzanie ciemnych mas przez nieprzyjazne Polsce żywioly. Nawet świeże polskie tablice przyuliczne w kąpielisku Połędzie srodze raziły Litwinów.

Gdym raz się wybrał do Meklemburgji z dwoma Warszawiakami, zwiedzaliśmy Mölln i Ratzeburg. Kiedyśmy nieco strudzeni nad drogą na murawie odpoczywali, słyszemy zbliżających się ku nam dwóch Polaków, z czego wzajemna radość. Poczęstowaliśmy ich wódką Kasprowiczą i dali każdemu bułkę z wędlinami. Obaj pracowali w pobliżu w roli. Zwiedzałem nadbrzeże Bałtyku z Lubeką na czele. Byłem stamtąd pieszo w Travemünde w liczniejszym towarzystwie. Gdzieś tam w lesie powitały nas z nad bagnisk setki tysięcy hałaśliwych mew. Nigdy nie widziałem takiego zboru ptaków. Okolice przepiękne. Zwiedzałem z Hamburga także Holsztyn: Glücksburg, Oldesloe i inne miasta. Ciekawą podróż zrobiłem do miasteczka Lennep w Nadrenji na ślub kolegi. Później jeździłem po Westfalji i Nadrenji przeważnie dla Banku Przemysłowców, przytem zwiedziłem wielką wystawę w Kolonji w dniu jej otwarcia. Daleko jej było do wykończenia. Cudowną z wagonu oglądałem „Porta Westfalica”. Zwiedziłem Halle, Lipsk, piękne Drezno, które mi się bardzo podobało, najwięcej zaś słynna galerja obrazów. Przebywałem także w Norymberdze, starożytnej, wielce ciekawej, oryginalnej, zawróciłem do Frankfurtu nad Menem z wspinałym dworcem kolejowym. Nie piszę o koszarowym Berlinie, ani o Wiedniu, ani o Trieście czy Fiume, ani o Szwajcarji itd., bo musiałbym o samych tych przeróżnych podróżach dać osobny tomik. Zresztą nie umiałbym amatorów, smakoszów niczem zainteresować poważniej. Co do Szwajcarji wiadomo, że posiada największy urok, dla mnie także; gdy widzę nasze kochane Tatry, to i one zachwycają, zwłaszcza Polaka, nadzwyczajną pięknoscia, czarem przyrody. Szwajcarja to osobliwość inna. Tatry to świat odrębny, a że swój własny, tem cenniejszy i milszy. Nie zapomnę jazdy koleją cudownym Semmeringiem Wiedeń — Abacja.

IX.

MOI SPÓŁCZEŚNI

Kilka uwag o osobach, z któremi częściej albo w ważnych momentach się stykałem; pomijam te, o których przy innej sposobności już mówiłem.

Jarogniew Drwęski. Poznałem go równocześnie z późniejszym docentem d-rem Stef. Waszyńskim, w wagonie kolejowym Berlin - Poznań. Widywałem się z nim przy różnych okazjach w Poznaniu. Chętnie ze sobą gawędziłem.

Pod koniec r. 1918 siedzieliśmy w czytelni Koła Towarzystwa: Drwęski, Wł. Krzyżankiewicz i ja. Politykowaliśmy, poczem w dwójkę natarliśmy silnie na Drwęskiego, że się nic nie robi, że się nic nie organizuje, a powinno być tak, iżby, w razie nagłej potrzeby, były dla pewnego zespołu obywateli - działaczy zgóry stanowiska czy posterunki oznaczone, że on, Drwęski, powinien tę pracę zainicjować. Już po tygodniu powiadamia mnie zawsze ruchliwy działacz Krzyżankiewicz, że w myśl naszej z Drwęskim rozmowy już się coś dzieje, że na ten cel zbierają pieniądze. W r. 1919 zdaje się gościł u Drwęskiego jako mówca Wacław Sieroszewski. W pokojach Drwęskiego było tak ciasno, żeśmy się wprost dusili, uważnie słuchając wykładu i dyskusji.

W styczniu r. 1919 skarżyłem się wojewodzie Witoldowi Celichowskiemu i prezydentowi miasta, J. Drwęskiemu, pisemnie, że w komisji głównej szacunkowej zasiada 9 żydów kupców, a tylko jeden Polak kupiec, jeden Polak rzemieślnik i jeden Niemiec ziemianin. Zaproponowałem

usunięcie wszystkich i podałem naszych 12 kandydatów Polaków. Przytem przewodniczącym Komisji tej był jeszcze urzędnik pruski, Dr. Pippo. Więc i tegoż natychmiast usunąć należy. A że nie dali obaj panowie przez parę tygodni odpowiedzi, poszedłem do wojewody, by osobiście przynaglić sprawę. Wojewoda chciał mi zaproponować objęcie stanowiska przewodniczącego, ale zaraz wymiarkował, że nie chcę zostać urzędnikiem. Powiedziałem tylko, że na pół roku przyjmę bezpłatnie funkcję, by przygotować następcę Polaka. Niebawem obrano Komisję polską, a na jej czele stanął Idzi Światała.

Stefan Cegielski. Nie mogę o nim mówić jako o towarzyszu swoim, bo nim nie był, tylko że to był towarzysz pierwszej klasy, dobrze się czujący wśród książąt, tak samo jak w ciasnym naówczas lecz miłym otoczeniu kupiectwa polskiego. Żałował on, że był po pańsku wychowany, że skutkiem tego nie umiał później być tem, do czego go stanowisko, stosunki, charakter i zdolności mogły powołać i wznieść. Żałowano powszechnie, że człowiek tej miary, co on, przez całe życie nie umiał zdobyć należytego postęunku. Cegielski był świetny przewodniczący, na jakichkolwiek zebraniach, pysznie umiał reasumować treść przemówień, pięknie zamykać posiedzenia. Zawsze przebijająca wyższa umysłowość, ozdobna w salonową gładkość i uśmiech serdeczny. Żadnej buty, żadnej dumy nikt w nim nie dostrzegł.

Gdym go o wystawę niemiecką atakował w r. 1911, a on mnie ujął za bary o to, powiedział mi po paru tygodniach w restauracyjce pani Duchowskiej przy św. Marcinie: „Wie pan, dlaczego ja pana wtedy atakowałem? Uwzięłem się na pana jako domniemanego kandydata na posła do parlamentu niemieckiego“. Był otwarty i szczery.

We Lwowie poznałem arcyznanego patriotę działacza dra Stanisława Kłobukowskiego, współtwórcę „Gazety handlowo-geograficznej“ we Lwowie, współredaktora „Przeglądu Wszechpolskiego“. Był bardzo ruchliwy, przebywał

około 3 miesiący w Paranie, studjując tamże stosunki polskie. Jadąc do Ameryki, odwiedził mnie w Hamburgu a w powrocie już w Poznaniu. Zainteresował mnie soją czarną z Parany i herwamatą brazylijską. Znajomi w Poznaniu jeszcze dziś sadzą tę soję ku swemu zadowoleniu. Harwamata, której 20 centnarów wysłał mi dr. Kł. Łabą z Hamburga, gdzieś tam zatoneła, zachowała się tylko torebka z nadrukiem, lecz bez zawartości.

W Poznaniu miał Kłobukowski zapalny wykład o czarnej soi, mówiąc, że przez 6 tygodni żywił się nią jedynie, że syciła, była smaczna, nie budziła nigdy pragnienia. Widywałem się z Kł. jeszcze 2 razy we Lwowie i Warszawie. Był to działacz optymista - utopista. Stale mieszkiał we Lwowie.

„Gazeta handlowo-geograficzna“ jak i „Przegląd Wszechpolski“ interesowały mnie od samego zarania istnienia i spletały silnie z osobami w nich pracującymi. Dużo korespondowałem z wymienionym Kłobukowskim, jeszcze więcej z drem Wiktorem Ungarem o najróżniejszych sprawach, przeważnie gospodarczych. Pisywałem za namową Ungara artykuły do „Gazety handlowo-geograficznej“ z dziedzin, które musiałem sobie przyswajać, np. o ruchu światowym w kawie.

Profesor Franciszek Piekosiński miał w Poznaniu ciekawą odczyt o monetach; widywałem się z nim wtenczas, rozmawiałem. Po paru latach znów stykałem się z nim podczas wywczasów w Zakopanem. Był to arcyjowialny człowiek, którego się odrazu polubiło, a cziło równocześnie dla nauki. Na pożegnanie jego poszedłem na dworzec na wczesny pociąg. A tu widzę pełno pań, jego znajomych, każda mu radośnie doręcza piękny bukiet z anielskim uśmiechem. Co on to nacałował rączek, jak się rozrzewniał! Ale bo też pensjonat napawał się wprost jego osobą. Na tyle zalecania się pożegnalnemu starszemu panu ze strony młodych, pięknych pań, aż mnie miała zazdrość.

Dla Towarzystwa Wykładów Ludowych im. A. Mickiewicza, nieco nauką i historią się zajmując, odwiedziłem, nie pamiętam dlaczego, kustosza Biblioteki Krasieńskich w Warszawie, sędziego Tadeusza Korzona. Miałem z nim dłuższą rozmowę. Wtem przybywa Stefan Żeromski, wspa- niale i zdrowo wyglądający, a przecież przed 6 laty że- gnałem go w Zakopanem jako ostatniego cherlaka, prze- konany, że do zimy nie dożyje.

Stanisław Przybyszewski. Pamiętam go dobrze ze Lwowa. Był wtedy jeszcze otoczony aureolą. Prof. Pawli- kowski miał odczyt o „Królu Duchu” Słowackiego, korefe- rentem miał być Przybyszewski. Skąd ja się tam wzię- łem — nie wiem. Po świetnym referacie Pawlikowskiego Przybyszewski jednak nie przemawiał, gdyż był „urzęnięty”. Bardzo późno wszedł na salę, przystanął, chwiejąc się, przy drzwiach, po chwili usiadł na najbliższym krześle, poczem doszedł chwiejnie do Kasprowicza, prosząc, by go zastąpił. Nieprzygotowany koreferat Kasprowicza był pierwszorzędny. Wywiązała się niezwykle interesująca dyskusja. Obecna była przeważnie „młoda Polska” lite- racka. Przemawiali z wielkim przekonaniem jedni za Mickiewiczem, inni za Słowackim, sprzecając się, kogo uznać pierwszym. Walka była duża, zacięta chwilami, ale jako wytwór literacki tak mnie zajęła i przejęła, jak żaden wykład przedtem i potem. Był Stanisław Brzozowski z bratem, przemawiał cudownie, w samych kwiatach, w sa- mych wspaniałych przenośniach. Nigdy nie miałem takiej uczty duchowej. Był i Żuławski i wielu wybitnych innych literatów, których nazwisk nie pomnę.

W roku 1884 po zdaniu matury, będąc u ojca kochanego w Krakowie, przeczytałem z największym przejęciem „Ogniem i mieczem” Henryka Sienkiewicza. Osobiście ze- tknąłem się z nim podczas jego jubileuszu 22 i 23 grudnia 1900 r., a potem przypadkowo siedziałem z nim i rozma- wiałem na dworcu w Toruniu, kiedy wracał z polowań w Afryce. Był razem z nim podróżnik, jego towarzysz,

Potocki. Tego wieczoru obaj panowie nie rozmawiali ze sobą wcale. Tylko Potocki razporząz odezwał się po nie- miecku do swego psa olbrzymia ciemnej maści. Później w drodze do Warszawy dostrzegłem, że służący Potockiego, jadąc ze mną drugą klasą, odnosił się do psa po polsku. Czyżby psi inteligent aż dwa rozumiał języki?

W r. 1913 podczas wystawy przemysłowej polskiej w Bochum poznałem młodego adwokata Banaszaka. Tenże wieczorem dyrygował wyborową podwójną orkiestrą woj- skową z Essen i Bochum z takim temperamentem, że po- dziwiałem i dyrygenta i kapelę. Grała nawet mazura, nie- miecka wojskowa kapela w Bochum!

Nie wolno mi poskąpić kilku słów o znanym dzielnym działaczu Józefie Kużaju, który przez długi swój żywot, po zwolnieniu ze służby nauczycielskiej w szkole pru- skiej, na terenie Poznania zdziałał dla uczącej się mło- dzieży polskiej nadzwyczaj wiele. Jego pracowite życie, jego szczerą współpracą narodowa, jego częste i doskonałe artykuły dziennikarskie, jego broszury dla rzemiosła, jego poświęcanie się domaga się wprost monografii, tak samo jak życie i czyny Bronisława Śniegockiego, drogerzysty.

Chciałbym jeszcze wspomnieć o Zygmuncie Świa- topełk-Słupskim. Otóż ten działacz patrijota zaznaczył się pokaźnie literacko, przełożył bowiem z rosyjskiego A. Czechowa humoreski, satyry, karykatury; z angielskiego „W obronie świątyni”. Sam napisał: „W raju” — humo- reskę nagrodzoną, „Garść śmiechu i łez”, „Politykiera” — powieść, „Szkic z dziejów sztuki naszej”. Ponadto wydawał pismo humorystyczne „Komar”, album „Mapy” oraz „Album Przemysłu i Handlu Wielkopolski, Prus i Śląska”, „Album zabytków” i inne. We wszystkim wytrawne pióro, talent i miłość ojczyzny. Słowem Z. Św.-Słupski był wzorem pracowitego Polaka patrijoty; umysł krytyczny, wielo- stronny, mól roboczy.

Podczas Powszechnej Wystawy Krajowej, czy przedtem polecono mi urzędowo, aby obywatela amerykańskiego

i wielkiego działacza w Ameryce Półn., Smólskiego wraz z małżonką, oprowadzać po Poznaniu. Kiedyśmy zwiedzali kościoły, zauważyłem, jak wysoce kulturalnym był ten pan, jak czytany w historii polskiej. Jakże żałuję, że tak tęgi, inteligentny Polak, wybitny organizator, wskutek nieprzyjaznych stosunków tak młodo zeszedł ze świata.

Żyli i żyją po wsze czasy ludzie nadzwyczajni, wysoce zasłużeni, patrjoci, wynalazcy, działacze społeczni, którym skąpono wszelkiego uznania, których gnębiono, nawet zabijano i, którzy z żalem poszli do grobu. Są inni, których mimo największych zasług dopiero późno po śmierci czci się wdzięczną pamięcią, kwiecistymi nekrologami, nawet orderami, które ich dochodzą, gdy już nie żyją, ale którym nie szczędzono przykrości nieraz stale, napastliwie, nikczemnie, niesłusznie, niesumiennie. Co do siebie — śmiem twierdzić, że mimo niewielkich zasług wobec społeczeństwa doznawałem zawsze czy na obczyźnie, czy w kraju, szacunku i tego zachętlivego uznania, które pcha do pracy.

Niedość na tem.

W dniu swego 25-letniego jubileuszu poznańska Izba Rzemieślnicza, na osobnem, uroczystem zebraniu, uczciła prócz wielu innych i mnie cennym dyplomem.

Nieco później wręczyła mi Izba Przemysłowo-Handlowa w Poznaniu uroczyście dyplom uznania.

W roku 1923 zrobiła mnie tutejsza Korporacja Kupców Chrześcijańskich wraz z innymi swym członkiem honorowym, uczciwszy mnie przytem dyplomem.

Wielce cenny jest dla mnie dyplom Towarzystwa Uczniów Handlowych w Poznaniu, którego przed wojną przez lat 7 byłem pierwszym kuratorem. 8 listopada 1931 roku obchodziła uroczyście ta żywiołowa, młoda instytucja, pełna młodzieńczego zapału, swoje 25-lecie, a po bardzo uczuciowo nastrojonem przemówieniu do mnie wręczył mi uczeń Winkler, członek zarządu, wśród niemilkącego zapału młodzieży, dyplom, piękny w wykonaniu artystycznym i w treści. Jestem członkiem honorowym Towarzystwa Akade-

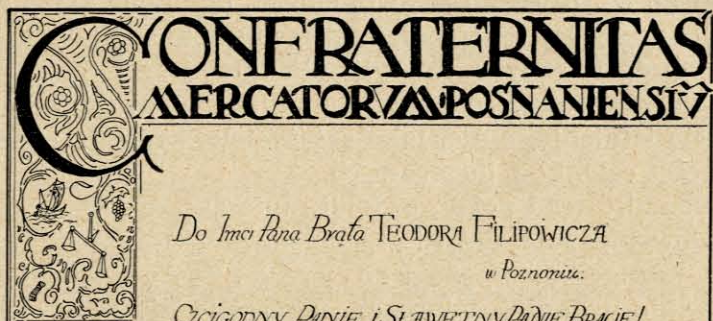
mickiego w Antwerpii za swój odczyt, temuz na zjazd akademików wysłany na temat: „Przeniesienie szkoły w Battignolle do Parany w Brazylii dla tamtejszych Polaków“. A towarzystwo „Kłosy“, w Hamburgu w dwudziestopięciolecie istnienia, mnie, jako założyciela, zapisało również w poczet członków honorowych.

Ponadto rząd polski ozdobił mnie „za zasługi na polu narodowem, społecznem i przemysłowo-handlowem“ wysokim odznaczeniem, bo złotym krzyżem zasługi.

Takie uznania podnoszą, uszczęśliwiają w wysokim stopniu i wywołują szczerą, najwyższą wdzięczność.

Podjąłem się powyższego rachunku sumienia bez zapału, zachęcany przez innych. Czy za uciążliwą bądź co bądź pracę, w której starałem się iść ściśle po linii prawdy, spotka mnie pokuta, jak przy spowiedzi wielkanocnej, nie wiem. Powinna mnie spotkać, boć pisanie wspomnień jest — że tak powiem — rodzajem mimowolnej nawet samochwały. A każde takie wysuwanie swej osoby jest — mówiąc językiem religji — grzesznem. Nieraz mówiłem o osobach prawdę, za co mnie potępiać można, ale prawdy się nie wymaże.

Na zakończenie ciekawy szczegół z r. 1875. 31½ roku byłem w szkole miejskiej w Lesznie, doszczętnie niemieckiej. Kiedym w niespełna rok potem w dyktandzie napisał „schlachta“, ordynarjusz Cybichowski ostro potępił moją polszczyznę, mówiąc, że „ze mnie nigdy nic nie będzie“. Ten srogi wyrok utkwiał mi na całe życie w głowie.



Do Imci Pana Brata TEODORA FILIPOWICZA
w Poznaniu.

CZCIGODNY PANIE I SŁAWETNY PANIE BRACIE!

BACZĄC na Two, CZCIGODNY PANIE, zasługi położone dla Wspólnoty Kupieckiej, mamy rozkazać złożyć Ci w dani napływającą godność, jaką w naszej SŁAWETNEJ KORPORACJI posiadamy, to jest Charakter CZŁONKA HONOROWEGO. Ty bowiem, CZCIGODNY PANIE BRACIE, uścisnąwszy w październiku 1899r. w poczet CZŁONKÓW Sławetnej Korporacji naszej, zaletami swego charakteru i umysłu, przysłużyłeś na terenie WIELKOPOLSKI czynie i zaiskanie WSPÓLBRAĆI kupieckiej i stawiając także chętnie i skora na wezwanie społeczeństwa DZIAŁAŁES we wielu organizacjach, a myśl Twoja głęboko, zrozumiała, że przysłużyć nam się może i w rzemiośle TOŻEŻ, stanowiącym o rozwoju przemysłowo-rzemieślniczym, stałeś się kierownikiem i roztępnym nauczycielem, propagując dziesiątkami broszur i pism ulotnych i doś uprządkowania kraju. Oddając swą najdroższą część naszej Sławetnej Korporacji, zamieniłeś ideę w czyn, stanowiący w roku 1909/10 na ciele Komisji ekonomicznej w KORPORACJI, rozpatrującej podstawowość mo- żności uprzemysłowienia WIELKOPOLSKI. BĘDĄC wielkim w swojej skro- minacji, nie wyświadczyłeś się nigdy, to też niech nam będzie wolno złożyć Ci ten hołd publiczny.

DAN w Poznaniu, w dniu 12. września 1925r.

KORPORACJA KUPCÓW CHRZESCIJAŃSKICH

K. Chmielewski
I Starzy

R. Kiciński
II Starzy

W. Jędrzejewski
Starzy

A. Łukaszewski
Pisarz

PANOWIE RADA

Janina Gęga

Andrzej Krawiec

Stefan Piłski

Michał Walicki

Włodzisław

IZBA RZEMIEŚLNICZA w POZNANIU

uznając zasługi

Pana *Teodora Filipowicza*

około rozwoju rzemiosła polskiego

wręcza z okazji 25-lecia swego istnienia niniejszy

DYPLOM HONOROWY

Poznań, dnia 12. września 1925

K. Jędrzejewski
PREZES

K. J. Jędrzejewski
SYNDYK

WIELCE SZANOWNEMU PANU
TEODOROWI FILIPOWICZOWI
CZŁONKOWI IZBY PRZEM.-HANDL. w POZNANI
HONOROWEMU CZŁONKOWI KORP. CHRZEŚC. w POZN.

W UZNANIU WYBITNYCH ZASŁUG
POŁOŻONYCH NA POLU ROZWOJU
PRZEMYSŁU I HANDLU KRAJOWEGO
KRZEWIENIA UMIŁOWANIA PRACY
I DOBRYCH OBYČZAJÓW W ŻYCIU HANDLOWYM

NINIEJSZY
DYPLOM HONOROWY
Z OKAZJI JUBILEUSZU
75-LETNIEGO SWEGO ISTNIENIA
PRYZNAJE
IZBA PRZEMYSŁOWO-HANDLOWA
W POZNANI

POZNAŃ, DNIA 12 PAŹDZIERNIKA. 1926

PREZES:

H. Kunynginski

S. Kozłowski

TOWARZYSTWO
MŁODYCH PRZEMYSŁOWCÓW
W POZNANIU (ZAŁOŻ. W R. 1874)

NADAJE

PANU *Teodorowi Filipowiczowi*
JAKO CZŁONKOWI JUBILATOWI

NINIEJSZY

DYPLOM

W DOWÓD UZNANIA I ZASŁUGI DLA ROZWOJU
TOWARZYSTWA W MINIONYM ĆWIERĆWIECZU

POZNAŃ, DNIA 25 listopada 1929.

Zarząd

Przewodniczący: Andrzej Piotrowski, Główny Zarządca: J. Kozłowski
Wiceprzewodniczący: J. Kozłowski, Skarbnik: J. Kozłowski
Przewodniczący: J. Kozłowski, Główny Zarządca: J. Kozłowski
Wiceprzewodniczący: J. Kozłowski, Skarbnik: J. Kozłowski

DYPLOMY UZNANIA

KRZYŻ ZASŁUGI

Nr. 6099/Or.

Do

Pana TEODORA FILIPOWICZA

Kupca

w Poznaniu

Stwierdzam, że Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej
zarządzeniem z dnia 16 stycznia 1930 r. Nr. 5552/Or.
nadał Panu po raz pierwszy

ZŁOTY KRZYŻ ZASŁUGI

za zasługi na polu narodowym, społecznym i prze-
mysłowo-handlowym.

Warszawa, dnia 18 lutego 1930 r.

PREZES RADY MINISTRÓW:

W. Bartel

LIST Z HAMBURGA

DODATKI

Z czasów pobytu swego w Hamburgu przypominam sobie, że zainteresowany narzeczem kaszubskim zamierzałem ogłosić konkurs na sztukę ludową teatralną ze śpiewami. Tymczasem pp. Pałędzki i Danielewski, z którymi w tej sprawie konferowałem, odradzili od utworu w kaszubszczyźnie. Na konkursie zdobyła pani Anna Karwat z Wichulca na Pomorzu nagrodę konkursową swą pracą w literackim języku polskim: „Na naszej glebie“, a kompozytor Bolesław Dębiński w Poznaniu, dorobił do tejże sztuczki ludowej partyturę orkiestrową.

Ponieważ ani sztuczka ani muzyka nie wydawały mi się odpowiedniami, więc nigdy jej nie odgrywano. Tekst i partyturę złożyłem w Bibliotece Raczyńskich w Poznaniu.

Przekład listu byłego szefa mego w Hamburgu, multimilionera.

Hamburg, 14. 2. 1899.

Szanowny Panie!

Zechciej Pan przyjąć moje najszczerze podziękowanie za łaskawy list z dnia 31. 12. 98. jak i za życzenia noworoczne, które i ja panu, chociaż z opóźnieniem składam również szczerze. Cieszę się bardzo, że panu służy zdrowie i że pan zawodowo jest zadowolony. Jak mi opowiada (nasz prokurent) p. Hamm, musi pan mocno pracować, ale gdy się widzi oczekiwane rezultaty, to i chętnie się pracuje.

Pan Breuer ma się obecnie nieco lepiej i ufam, że jeszcze niejedną rolę przetrwa, lubo już zdrowia poprzedniego całkiem nie uzyska.

Z najszczerzszym życzeniem, aby i w przyszłości Panu się wiodło najlepiej kreślę się szczerze oddany

J. N. Moeller.



SKOROWIDZ

- Abacja (Opatja) 19, 159, 162, 163
 Adamczewski, Bolesław 147
 Adamski, ks. Stanisław 136, 142
 — Włodzimierz 147
 Affeltowicz 22
 Altona 55
 Amsinck, G. & Co 28
 Andersz, ks. 15
 Andruszewski, Albin 93
 Andrzejewski, Franciszek 62
 — Ignacy 114
 — Marcin 93
 Antwerpja 65, 150

 Bajoński, Kazimierz 129 — 133,
 137, 139, 140
 Banaszak 179
 Bandurski, ks. Władysław, bi-
 skup 164
 Bartel, Kazimierz 186
 Batignolle, Szkoła polska 65
 Battaglia, Roger 64
 Bederski, Antoni 19
 Bergedorf 60
 Berkan, Władysław 161
 Berlin 26, 69, 75, 78, 82, 83, 94,
 95, 100, 101, 114, 116, 122, 129,
 132, 142, 147, 150, 174
 Biedermann, J. 45, 46, 48, 49
 — Marcin 91, 104
 Bielecki 55
 Bielewicz, ks. 3
 Bielsk 122
 Bilski, Stefan 182
 Bindseil 4, 5
 B.(iniaś), ks. Dr. 51
 Bismarck, Otto 5, 40, 61, 70
 Biziel 140
 Blankenese 37

 Bochum 83, 161, 179
 Boehlke, I. G. 133
 Boguliński 137
 Borysław 166
 Brann 145
 Brelińscy 11
 Brelińska 26
 Breliński, Stanisław 95, 96
 Breuer, Henryk 28, 66, 187
 Brodnicki, Witold 77
 Brodtmann, Zofja 138
 Brosswitz 134
 Brownsford, Marja 14
 — Witold 14
 Bryliński, Wincenty 137
 Brzega, Wojciech 99, 162, 163
 Brzozowski, Stanisław 162, 178
 Budnowski 53
 Buelow, Bernhard 70
 Buffalo 36
 Bugzel, Czesław 105
 Buk 7, 11, 74
 Burkert 45
 Buśko 144
 Bydgoszcz 70, 88, 100, 122, 129,
 130, 133, 139, 140, 146, 153—155
 Bystrzycki 133
 Bythiner 74

 Cegielski, sędzia 154
 — Hipolit 12, 71
 — Stefan 83, 84, 176
 Celichowski, Witold 79, 97, 175
 Chełmiecki ks. Zygmunt 113
 Chicago 36
 Chłapowski, Turew 96
 — Franciszek 118, 152
 — Kazimierz 16
 — Mieczysław

Chojnice 104
 Chrzanowski, Bernard 109, 110, 114
 Cichowicz, Kazimierz 24, 44
 — Ludwik 97, 98, 139
 Cwojdzinski 4, 5
 Cybichowski, Bronisław 2, 3, 6, 7
 Czajkowski, Michał 13
 Czarliński, Kazimierz 106
 Czechow, A 179
 Czechy p. Garwolinem 127, 128
 Czempin 43
 Czepczyński, Józef 68
 Czersk 131
 Częstochowa 165
 Czywicki, Czesław 65, 66, 80, 81, 86, 161
 Ćmielów 127
 Dalbor, Władysław 18, 149
 Damasław 17, 71
 Danielewski, Ignacy 187
 Danyszówna, Anna 14
 Dąbrowski, M. 35
 Deiters 8
 Dębienko 131, 138, 153
 Dębiński, Bolesław 187
 Dickstein, Samuel 172
 Dmowski, Roman 152
 Dobrowolski, Franciszek 20
 Drezno 174
 Drucki-Lubecki, książę 127, 128
 Drwęski, Jarogniew 175
 Duchowska 176
 Duczew 199
 Dzieduszyccy 167
 Echaust, Jan 8
 Englich, Józef 126
 Essen 179
 Etienne 58
 Fahle 3, 4, 5
 Fajkowski, Marjan 52, 53
 Figel 139, 140
 Filipowski, Stanisław 71
 Fischer 4
 Fiume 174

Flajszer, Karol 7
 Franke 6
 Frankfurt n. M. 26, 174
 Frankowski 144
 Fredro, Aleksander 59
 Fuetterer, Kuno 4, 5
 G. 146
 Gałowo 110
 Gantkowska, Teresa 89
 Garwolin 127
 Gdańsk 109, 122, 129, 131, 140, 141, 152, 155
 Gelsenkirchen 90, 95, 100, 128
 Giese 4, 5
 Glabisz, Albin 131
 Glücksburg 174
 Gładysz, Wiktor 114
 Gniezno 17, 62, 83, 144, 145, 162, 163
 Goldenring 115
 Gorzów 95, 151, 165
 Gorzycki 109
 Gosieniecki, Marcei 163
 Grabieński (Smoleński Władysław) 109
 Grabowski, Kazimierz 24, 35, 44
 Grabszy 7
 Grabski, Antoni 14, 166
 — Bronisław 11
 — Julian 12
 — Stanisław 14
 — Stefan 60
 — Witold 11
 — Władysław 12, 14
 Greger, Kazimierz 182
 Greinert, Paweł 94, 95, 96, 138
 Guenther, Anton 22
 Gustowski, Artur 137, 138
 Guttry, Leon 17
 Halle a. S. 174
 Hamburg 22, 24, 25, 30—32, 35, 37—42, 44, 45, 50, 51, 55, 56, 58—62, 64—66, 71, 88, 93, 128, 150, 159, 162, 168, 172, 174, 177, 181, 187

Hamburger 132
 Hamm 187
 Hannsdorf 134
 Harburg 22, 24, 44, 60
 Harling, ks. prymariusz 50, 57
 Hauszyl 156
 Haćia, Kazimierz 81, 84, 105, 115, 117, 127, 137, 140
 Heege 100
 Helcel, Zygmunt Antoni 19
 Hobgarski 169
 Hubert, Julian 156
 — Łucjan 95, 96, 97, 98
 Ignatowicz, Kajetan 68, 94, 115, 116, 118, 151, 170, 173
 Inowrocław 88
 Jacobi 37
 Jakowicki, Teodor 3, 4
 Janowska 109
 Jankowska, Eleonora 35, 57, 61
 Jarczewski, W. 182
 Jarochoński 18
 Jaworowo 110, 111
 Jentsch 11
 Jewasiński 183
 Jewelowski 155
 Junkers 156
 Juszcak, K. W. 183
 Kackowski, Edward 6
 — Zygmunt 13
 Kalisz 74, 122
 Kamień (Pomorze) 104, 151
 Kantorowicz, Franz 70, 132
 Karasiewicz, Kazimierz 131
 Karchowski, Dionizy 111, 112
 Karlsbad 159
 Karłowski 6
 Karwat, Anna z Bardzkich 187
 Kasproicz, Bolesław 70, 71, 174
 — Jan 10, 11, 19, 63, 149, 162, 163, 178
 Katowice 122, 130
 Katzenellenbogen 77
 Kaźmierz 14
 Kasinowski, Bronisław 18

Kielce 43
 Kierski 166
 Kijok 18
 Kilonja 28
 Kissingen 162, 163, 164
 Kiszewski 19
 Klatecki, Ignacy 19, 149
 Klinge, Jan 147
 Klobukowski, Aleksander 64
 — Stanisław 176, 177
 Klos, ks. Józef 108
 Kobliner 143
 Kochańska, Marcelina 61
 Kociałkowska Górka 15
 Koczalska, redaktorka 63
 Koczalski, Raoul 61
 Kolanowski, Władysław 3, 14
 Kolonja 15, 174
 Komendzińscy, Janostwo 111
 Komendzińska 113
 Kontrowicz, Władysław 132
 Kopaszewo 16
 Kopczyński 109
 Koraszewski 113
 Korfanty, Wojciech 91, 165
 Kornaszewski, Ignacy 81
 Korytowski, Józef 134, 135
 — Konstanty 5, 6
 — Witold 132, 133
 Korzeniowski, Józef
 Korzon, Tadeusz 109, 169, 178
 Kostanecki, Kazimierz 8, 9, 10, 113
 Kostrzewski, Józef 104
 Kościan 95, 96
 Kościusko, Tadeusz 16, 52, 57
 Kovač 99
 Kozielski, Józefat 141
 Kozłowie 14
 Kozłowski 166
 Koźmian, Ks. Jan 3
 Koźmin 65, 66, 80
 Kraków 16, 17, 36, 125, 155, 159, 164, 167, 178
 Kraszewski, Józef Ignacy 13
 Krause, Teodor 81, 145
 Kreitzmann 53

Kremerówna, Marja 89, 162
 Kreuger, Ivar 127
 Król, Huta 122
 Królikowski, Dionizy 84, 86
 Krynica 152, 157, 162
 Krzesiński 3
 Krzysztoporski 166
 Krzyżankiewicz, Włodzimierz 92, 175
 Kucharski, Stanisław 105, 117
 Kucik, Stanisław 85
 Kulas 8
 Kunowo 7, 11, 14, 15
 Kurcewo 14
 Kurzawski, ks. poseł 135
 Kurzyński, Bolesław 151, 155
 Kustelan, Józef 73
 Kużaj, Józef 179
 — Kazimierz 117
 Landowski 50, 52
 Laskowscy 3, 9
 Laskowski, Lucjan 60
 Latosiński 97
 Laubitz, ks. biskup Antoni 9 10, 11
 Lausanne 14
 Leitgeber, Czesław 102, 103
 — Jan 60
 Lennep 174
 Leszczyńscy, bracia 141, 152
 Leszno 1, 2, 7, 13, 20
 Levy 138
 Lewandowski, Zenon 84
 Lewek 77
 Liebig 20, 21
 Ligota 130, 131
 Likowski, ks. Edward 3
 Lindner, Karol 3, 15
 Lipsk 72, 174
 Loewenstein 127
 Loga, Wiktor 59, 60
 Londyn 155
 Lossow 16
 Lovrano 163
 Lubasz 11
 Lubeka 174
 Lubiński, Ludwik 93, 94

Lublin 42, 122, 136, 152
 Lubliniec 122
 Luboń 70
 Ludwiczak, ks. Antoni 136
 Ludwikowo 107
 Lwów 110, 125, 151, 155, 156, 161, 169, 176, 177
 Łabendziński, Dr. 182
 Ławica 133
 Łęgowski 48, 49, 52
 Łuczak, Jan 68
 Malinowski, M. 182
 Maliński, St. 185
 Manchester 26
 Maracaibo 26
 Marchwicki 63
 Marcinkowski, Karol VII, 14, 17
 — Władysław 102
 Marienbad 162
 Marseille 26
 Marweg, Antoni 115, 116, 117, 143, 145, 171
 Masłowski 7
 Matejko, Jan 16
 Mayzner 168
 Mazurkiewicz, Edward 143
 Meinerts 2, 4
 Michałowski 168
 Miciński, Tadeusz 172
 Mickiewicz, Adam 178
 Mieczkowski, Władysław 106
 Miecznikowska 172
 Mierzwiński, Władysław 21
 Miklaszewski, Ludwik 81, 185
 Miłowody 162
 Minlos, Roberto 28, 30, 66
 Miriam, ob. Przesmycki, Zenon
 Miśkiewicz 6
 Mittelstaedt 6
 M.(izgalska) 59
 Mochalla 130
 Moeller, J. N. 187
 Moelln 174
 Moliński 3, 4
 Monachium 170
 Morawski, Kazimierz 113

Mrozowski 141
 Mycielski, Ludwik 110
 Nagler, Wojciech 116, 117
 Nagórski, A. 71
 Namysłowski, Władysław 135
 Napierała, T. 185
 Nawrocki, Bolesław 60
 Nehring, Władysław 18—20
 Neuberg, ob. Wirski
 New York 28
 Niechanowo 166
 Niedbał, Ignacy 131, 138, 144, 145
 Niederlössnitz 162
 Niegolewski, Felicjan 111
 Nikulski 44
 Nitsche 95
 Norymberga 174
 Nowicki, Hipolit 18
 — Stanisław 81
 Nowy Sącz 157
 Obłęgorek 113
 Oborniki 100
 Oldesloe 174
 Olesno 14, 165, 166
 Omańkowska, Janina 89
 Opatja, ob. Abacja
 Opole w Lubelskiem 35
 Opole (Śląsk) 113
 Orzechowo 133
 Ostrów 74, 83, 136, 152
 Ostrzeszów 117
 Osuchowski, Antoni 112
 Otmianowski, K. 182
 Otmianowski, Telesfor 117
 Oustric 127
 Ozdowski, Wacław 117
 P., cukiernik 65, 79, 80
 Paczkowska, Klara 89
 Paczkowski, Jan 167
 — Józef 10
 — Romuald 81
 Paderewski, Ignacy 164
 Pakość 158
 Pałędzki 187

Pankalla, Jan 115, 116, 129, 134, 155
 Pankowski, Józef 144
 Paryż (stolica Francji) 23
 Paryż (Wielkopolska) 170
 Patoka 95, 96
 Pawlikowski, Jan Gwalbert 178
 Perkowski, Mieczysław 58
 Pernaczyński, Stanisław 97, 98, 131, 134, 135, 184
 Pędziński, ks. 3
 Pfuhl 7
 Piechcin 134, 135, 153, 158
 Piechocki, Edmund 90, 95
 Piekosiński, Franciszek 177
 Piotrkowice 17
 Piotrogród 36
 Piotrowski, Adam 185
 Pippo, Dr. 176
 Pl. 20
 Pleszew 77, 83, 161
 Płonka 162, 163
 Pniewy 70
 Połaga 162, 170, 172, 173
 Pomiarki 166
 Potocki 179
 Poznań 2, 7, 13, 20—22, 27, 35, 40, 42, 62, 65—67, 70—74, 76, 77, 79, 82—84, 88, 89, 93—96, 99, 100—103, 109, 112—114, 116—118, 120, 121, 131—134, 140, 143, 145, 150—153, 155, 156, 159, 161, 163, 167, 170, 172, 175, 177, 180
 Praga (czeska) 147, 167
 Priem 4
 Przesmycki, Zenon (Miriam) 162, 163
 Przybyszewski, Stanisław 178
 Pszczyna 122
 Puffke, Kazimierz 159
 Pukacki, Adam 3
 Puszczykowo 107, 162
 R. 144
 Rabski, Władysław 10, 113, 114
 Radoński, Seweryn 15, 16
 — Wiktor 17

Rajewski 7
 Rakowski, Kazimierz 91
 Raszewski, Kazimierz 156
 Ratajski, Cyryl 142
 Ratzeburg 174
 Rawicz 70, 145
 Raysky 4
 Rekowski, Andrzej 71, 72, 73, 74, 165
 Retz, Hilary 17, 71, 72, 74
 Reymont, Wład. Stan. 172
 Rigi Scheidegg 137, 162
 Robiński 182
 Ropp, ks. arcybiskup 129
 Rothenburgsort 56
 Rozwadowski 140
 Rybnik 122
 Rychlewicz 18
 Ryczywół 77
 Rydel, Lucjan 162
 Rydlewski, Celestyn 157
 Rydzyna 2
 Rzepecka, Helena 89
 Rzepecki, Karol 91, 103
 — Stanisław 129, 130, 170
 Rzetnia 14
 Rzewuski, Henryk 13
 — z Arcugowa 160

 Sady 14
 Samulski, Seweryn 81, 97, 98, 132
 Sądowa Wisznia 110, 111
 Schiffbeck 53
 Schoen, Antoni 8
 Schroeder, Franciszek 110
 Schuett, Hermann 131
 Schulte 37
 Schumann, Robert 21
 Seyda, Władysław 154
 Sęcka 12
 Sęcki, Dr. 12
 — Feliks 12
 Shelley 10
 Siemianowice 135, 153
 Sienkiewicz, Henryk 16, 111, 112, 113, 114, 178

Sieroszewski, Wacław 175
 Siewicz 173
 Skirmunt 20
 Skrońsk 165, 166
 Slany 4
 Słowacki, Juliusz 178
 Słupski, Zygmunt Świątopelk 179
 Smoleński, Władysław, ob. Grabieński
 Smoszewski 132
 Smólski 180
 Sokolnicka, Zofja 14
 Sokołowski 48, 49
 — Wiktor 6, 7, 9, 10, 11, 15
 Sosnowiec 122, 130
 Sparty, Franciszek 107, 108
 Stadnicki 167, 168
 Stanjek 18
 Starężyn 17
 Starogard 71
 Staroleka 70, 71
 Steiner 5
 Stępkowski 45, 46
 Stęszew 139
 Stopa 134
 Struve, Henryk 149
 Stuermer, Leon 182
 Stychel, ks. Antoni 65
 Suligowski, Adolf 64
 Sułkoński 132, 133
 Swadzim 14
 Swarzędz 100
 Szafflik, Baltazar 130, 131
 Szczecin 25
 Szczepański, Kazimierz 110, 111
 Szczypiorno 120, 144
 Szela 6
 Szeptycki, ks. metropolita Andrzej 19
 — generał 19
 Szmytkowski, Wojciech 70
 Szoldry 1
 Szulc, Marcelli 3, 4, 8
 Szukalski 43
 Szuldrzyński, Kazimierz 11
 — Tadeusz 9, 10, 11
 — Zygmunt 11

Szuman, Antoni 133, 135
 — Stanisław 19, 97
 Szymański, Kaz. 106
 — Roman 88, 109, 156
 Szynkowski, Aleksy 44, 45
 — Władysław 24, 44, 45
 Ś., ks. 51, 52, 54, 55, 57
 Śliwińska 11
 Śmietana, Jan 47, 48, 57
 Śniegocki, Bronisław 68, 179
 Śrem 1
 Środa 59, 77, 137
 Świebodzin 76
 Święcicki, Heljodor 97, 98
 — Julian Adolf 113
 Świętochowski, Aleksander 168
 Świtła, Idzi 84, 176

 Tarnowo 14
 Tarnowski, Stanisław 113
 Tetmajer, Kazimierz Przerwa 162
 Tietz 116
 Tomaszewski, Władysław 73, 116
 Toruń 83, 122, 145, 161, 178
 Travemünde 174
 Tramczyński, Wojciech 84, 154
 Triest 174
 Truskawiec 110, 133, 159, 162, 166, 167
 Trz. 120
 Trzemeszno 19
 Tuliszka 52, 53
 Tułodziecka, Aniela 89
 — Zofja 89
 Turew 96
 Turno 115, 116
 Tyszkiewicz 172

 Ulatowski, Tadeusz 81
 Ungar, Wiktor 71, 177
 Urbanowski, Napoleon 94
 Urycz 166

 Wache, Leon 44
 Walczak, Michał 182
 Walewska, Kolonna 172

Wardejn 97
 Warszawa 60, 64, 96, 106, 111, 120, 122, 125, 127, 133, 136, 140, 149, 152, 153, 155—157, 161, 170, 172, 177, 179
 Waschko, Dr. 184
 Wasser 77
 Waszyński, Stefan 162, 175
 Wawel 16
 Wawrzyniak, ks. Piotr 117
 Weber 105
 Wende 18
 Wiatrak, Antonio 140, 141, 152
 Wichulec 187
 Wiedeń 101, 147, 169, 170, 174
 Wiegandt, Ryszard 49
 Wierzbński, Maciej 10, 91, 162
 Więckowice 166
 Więckowski, Michał 136
 Wilak, Wł. 185
 Wilhelm I 9
 Wilhelm II 103
 Wilhelmsburg 43, 50, 52, 53, 56, 150
 Wilkoński, Zbigniew 24, 44
 Wilno 167
 Winiewicz 85
 Winkler 180
 Winnicki 140
 Wirski (Neuberg) 157
 Witkiewicz, Stanisław 99, 163
 Wituski, Leon 3, 4, 5
 Wojciechowski, ks. 3
 Wojkowski 147
 Woliński, Adam 75
 Woźnicki 105
 Wrocław 7, 17—21, 134, 149
 Wróbel, Stanisław 58, 64
 Wróblewski 43
 Września 88, 133
 Wyczyński, Wacław 81

 Zabłocki, Jan 81, 143, 185
 — Maksymilian 81, 143
 Zahn 7
 Zajacek 107
 Zakopane 99, 151, 162, 163, 177, 178

SKOROWIDZ

Zakrzewski, Ksawery 114
Zaleski, Filip 167
Załuski 115
Zamiara, Jan 143
Zapolska, Gabrijela 20
Zaremba 59
Zarzycki, Dr. 157
Zarzyska 165
Zawady 145
Zawiszanka 57
Zbąszyń 70

Zenzes 4
Zieliniec 132
Zielke 2
Zimmermann 4
— ks. Kazimierz 90, 162
Ziółkowski, F. K. 146
Zurych 65

Żeromski, Stefan 162, 178
Żory 122
Żółtowski z Niechanowa 166
Żuławski, Jerzy 162, 178



156889

